

HENRYK SIENKIEWICZ

RODZINA

POŁANIECKICH

Henryk Sienkiewicz

Rodzina Połanieckich

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843378

Rodzina Połanieckich:

Аннотация

Popularna wśród czytelników powieść obyczajowa Henryka Sienkiewicza o tym, jak miłość potrafi zmienić człowieka. Stanisław Połaniecki, bohater utworu Sienkiewicza z 1894 roku, przedsiębiorca w średnim wieku, poznaje piękną córkę swojego dłużnika, Marynię Pławicką. Mężczyzna nie stroni od towarzystwa kobiet i z wieloma łączy go więzi uczuciowe, uważa jednak, że do pełni szczęścia brakuje mu żony, na którą wybiera sobie właśnie Marynię. Początek tej historii nie wskazuje na pozytywne i romantyczne zakończenie oraz nie zapowiada „happy endu”, ale okazuje się, że mimo rozterek, słabości, pokus i problemów codzienności, a może właśnie dzięki nim, można dojrzeć do miłości i stworzyć szczęśliwy związek.

Содержание

Tom I	4
I	4
II	15
III	53
IV	73
V	89
VI	97
VII	116
VIII	126
IX	139
X	151
XI	166
XII	176
XIII	188
XIV	207
XV	219
XVI	227
XVII	230
XVIII	236
Конец ознакомительного фрагмента.	251

Henryk Sienkiewicz

Rodzina Połanieckich

Tom I

I

Była godzina pierwsza po północy, gdy Połaniecki zbliżał się do dworu w Krzemieniu. Za swoich dziecinnych lat był on dwukrotnie w tej wsi, dokąd jego matka, daleka krewna pierwszej żony dzisiejszego właściciela Krzemienia, woziła go na wakacje. Połaniecki usiłował teraz przypomnieć sobie tę miejscowość, ale przychodziło mu to z trudnością. Po nocy, przy księżycu, wszystko brało kształty odmienne. Nad zaroślami, łąkami i grudzią leżał nisko biały tuman, zmieniając całą okolicę w bezbrzeżne jezioro, które to złudzenie powiększały jeszcze odzywające się w tumanie chóry żab. Noc była lipcowa, bardzo pogodna i oświecona pełnią. Chwilami, gdy żaby milkły, słysząc było derkacze, grające po rosie, a czasem z daleka, od błotnistych stawów, ukrytych za olszynami, odzywał się, jakby z pod ziemi, głos bąka.

Połaniecki nie mógł się oprzeć urokowi tej nocy. Była mu ona jakaś swoja i tę swojskość odczuwał tem lepiej, że dawniej

nieczęsto bywał w kraju, a dopiero przed dwoma laty powrócił na stałe z za granicy, gdzie spędził pierwszą młodość, a później zajmował się sprawami handlowymi. Teraz, gdy wjeżdżał do tej śpiącej wioski, przypomniło mu się także własne dzieciństwo, pamiętne ze względu na matkę, która od pięciu lat nie żyła, i dlatego, że przykrości i troski tego dzieciństwa, w porównaniu do dzisiejszych, wydawały się zupełnie błahe.

Bryczka wtoczyła się na koniec do wsi, którą poczynał krzyż, stojący na wydmie. Pochylił się on już bardzo i groził upadkiem. Połaniecki pamiętał go dlatego, że w swoim czasie pochowano pod tą wydumą wisielca, którego znaleziono na gałęzi w pobliskim lesie, a potem ludzie bali się tamtędy nocą przechodzić.

Za figurą poczynały się pierwsze chaty. Ale ludzie już spali. W żadnym oknie nie było światła. Jak okiem sięgnąć, połyskiwały tylko na nocnym tle nieba oświecone księżycem dachy chałup, które w tym blasku wydawały się srebrne i siwe. Niektóre chałupy były umazane wapnem i świeciły jasno-zielono, inne, ukryte w sadkach wiśniowych, w gąszczu słoneczników lub tyczkowej fasoli, zaledwie wychylały się z cienia. Po podwórkach czekały psy, ale jakby przez sen, dając wtór rzechotaniu żab, graniu derkaczy, bąków i tym wszystkim wołaniom, którymi odzywa się letnia noc, a które potęgują jeszcze wrażenie ciszy.

Bryczka, posuwając się zwolna sypką, piaszczystą drogą, wtoczyła się na koniec w ciemną aleję, popstrzoną tylko tu i owdzie światłem, wdzierającym się przez liście. Na końcu tej

alei poświstywali stróże nocni. Przy ujściu bieleł się dwór, w którym kilka okien było oświeconych. Gdy bryczka zaturkotała przed gankiem, z domu wybiegł służący chłopak, który począł pomagać Połanieckiemu przy wysiadaniu, a oprócz tego zbliżył się stróż nocny i dwa białe psy, widocznie bardzo młode i łagodne, gdyż, zamiast szczekać, jęły łaścić się, wspinać się na gościa i okazywać z jego przybycia radość tak wielką, iż stróż musiał miarkować jej wylew za pomocą kija.

Chłopak zdjął z bryczki rzeczy Połanieckiego, on sam zaś znalazł się po chwili w jadalnym pokoju, gdzie czekała na niego herbata. Przy jednej ścianie stał orzechowy kredens, obok zegar z wielkimi wagami i kukułką, z drugiej strony dwa liche portrety kobiece w strojach z ośmnastego wieku, na środku zaś stół, nakryty białą serwetą, otoczony krzesłami o wysokich poręczach. Pokój ten, oświecony jasno, pełen pary, unoszącej się z samowara, wyglądał dość gościnnie i wesoło.

Połaniecki począł przechadzać się wzdłuż stołu, ale skrzypienie własnych butów raziło go w tej ciszy, poszedł więc ku oknu i patrzył przez szyby na oświecone księżycem podwórze, po którym te same dwa białe psy, które witały go z takim wylaniem, goniły się teraz ze sobą.

Po niejakiem czasie drzwi przyległego pokoju otworzyły się i weszła młoda osoba, w której Połaniecki domyślił się córki właściciela Krzemienia, urodzonej z drugiej jego żony. Na jej widok wyszedł więc z framugi okna i, zbliżywszy się w swoich skrzypiących butach do stołu, skłonił się i powiedział swoje

nazwisko.

Panna wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

– Wiedzieliśmy z depeszy o pańskim przyjeździe. Tatko trochę chory i musiał się położyć, ale jutro rad będzie pana zobaczyć.

– Nie moja wina, że przyjechał tak późno – odpowiedział Połaniecki – pociąg przychodzi dopiero o jedenastej do Czerniowa.

– A z Czerniowa jeszcze dwie mile do Krzemienia. Mówił mi ojciec, że pan tu nie pierwszy raz.

– Przyjeżdżałem tu z matką, gdy pani nie było jeszcze na świecie.

– Wiem. Pan jest krewny ojca.

– Ja jestem krewny pierwszej żony pana Pławickiego.

– Ojciec bardzo ceni związki rodzinne, choćby najdalsze – odrzekła panna.

I zaczęła nalewać herbatę, odganiając od czasu do czasu drugą ręką parę, która, podnosząc się z samowaru, przesłaniała jej oczy. Gdy rozmowa się przerwała, słysząc było tylko tyk zegara. Połaniecki, którego interesowały młode kobiety, przypatrywał się pannie Pławickiej. Była to osoba średniego wzrostu, dość wysmukła; włosy miała ciemne, twarz łagodną, ale jakby zgaszoną, płeć nieco opaloną od słońca, oczy niebieskie i prześliczne usta. Wogóle była to twarz kobiety spokojnej i delikatnej. Połaniecki, któremu nie wydała się brzydka, ale też nie wydała się piękna, myślał jednak, że jest dość miła,

że może być dobra i że pod tą powierzchownością niezbyt świetną może posiadać mnóstwo tych rozmaitych przymiotów, które posiadają zwykle wiejskie panny. Jakkolwiek był młody, życie nauczyło go jednej prawdy, że kobiety, przy bliższem poznaniu, wogóle zyskują, mężczyźni wogóle tracą. Słyszał także o pannie Pławickiej, że całe gospodarstwo w Krzemieniu, prawie zresztą zrujnowane, polega na jej głowie, i że to jest jedna z najbardziej zapracowanych istot na świecie. Otóż w stosunku do tych kłopotów, które musiały ją obarczać, wydała mu się spokojną i pogodną. Prócz tego pomyślał, że zapewne jej się spać chce. Widać to było nawet po jej oczach, mrużących się mimowoli pod światłem wiszącej lampy.

Egzamin byłby wypadł wogóle na jej korzyść, gdyby nie to, że rozmowa z nią szła trochę trudno. Ale tłumaczyło się to tem, że się widzieli po raz pierwszy w życiu. Przyjmowała go przytem sama, co dla młodej panny mogło być kłopotliwe. Nakoniec wiedziała, że Połaniecki przyjechał do nich nie w odwiedziny, ale po pieniądze. Tak było w istocie. Matka jego oddała przed bardzo dawnym czasem dwadzieścia kilka tysięcy rubli na hipotekę Krzemienia, które Połaniecki chciał teraz odebrać, raz dlatego, że zalegano bardzo z procentami, a powtóre, że, będąc współnikiem domu handlowego w Warszawie, wszedł w rozmaite interesa i potrzebował kapitału. Z góry też obiecał sobie nie czynić żadnych ustępstw i swoje koniecznie odzyskać. W tego rodzaju sprawach chodziło mu zawsze o to, by okazać się człowiekiem nieugiętym. Nie był on nim może z natury, ale

uczynił sobie z nieugiętości zasadę, a zarazem sprawę miłości własnej. Skutkiem tego często przesadzał, jak czynią zawsze ludzie, którzy coś w sobie wmawiają.

I teraz więc, patrząc na tę pannę miłą, ale widocznie senną, powtarzał sobie wbrew współczuciu, które się w nim budziło:

– Wszystko to dobrze, ale musicie zapłacić.

Po chwili rzekł:

– Słyszałem, że pani wszystkim się tu zajmuje: czy pani lubi gospodarstwo?

– Lubię bardzo Krzemień – odpowiedziała.

– I ja lubiłem Krzemień, gdy byłem chłopcem. Ale gospodarzyćbym w nim nie chciał... Takie trudne warunki...

– Trudne, trudne... Robimy też, co w naszej mocy.

– To jest, pani robi, co w pani mocy.

– Pomagam ojcu, który często jest cierpiący.

– Ja się na tych rzeczach nie znam, ale z tego, co widzę i słyszę, wnoszę, że większa część rolników nie może liczyć na przyszłość.

– Liczymy na Opatrzność...

– To wolno, ale wierzycieli nie można do niej odsyłać.

Twarz panny Pławickiej pokryła się rumieńcem – i nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia.

A Połaniecki powiedział sobie:

– Skoroś zaczął, to idź dalej.

I rzekł:

– Pani pozwoli sobie wyjaśnić cel mego przybycia.

Panna spojrzała na niego wzrokiem, w którym Połaniecki

mógł wyczytać: „Dopieroś przyjechał, godzina jest późna, ja ledwie żyję ze zmęczenia – że też najprostsza delikatność nie wstrzymała cię od rozpoczęcia takiej rozmowy”.

Głośno zaś odrzekła:

– Ja wiem, dlaczego pan przyjechał, ale może będzie lepiej, gdy pan z ojcem o tem pomówi.

– Dobrze; przepraszam panią – odrzekł Połaniecki.

– To ja przepraszam pana. Ludzie mają prawo dopominać się o swoje i ja jestem do tego przyzwyczajona. Ale dziś jest sobota; w sobotę ma się tyle roboty. Zresztą w tego rodzaju sprawach, pojmuje pan... Czasem, gdy przyjeżdżają żydzi, układam się sama... Ale tym razem wołałabym, żeby pan mówił z papą. Będzie nam obojgu łatwiej.

– Więc do jutra – rzekł Połaniecki, któremu zabrakło odwagi do powiedzenia, że w sprawach pieniężnych chce być traktowany, jak żyd.

– Może pan pozwoli jeszcze herbaty?

– Nie; dziękuję. Dobranoc pani.

I, wstawszy, wyciągnął rękę; panna zaś podała mu swoją daleko mniej serdecznie, niż na powitanie, tak, że dotknął zaledwie końców jej palców.

Odchodząc, rzekła:

– Służący wskaże panu pokój...

I Połaniecki został sam. Czuł pewien niesmak i był niezadowolony z siebie, choć nie chciał wewnętrznie tego przyznać. Począł nawet wmawiać w siebie, że dobrze zrobił, gdyż

przyjechał tu nie dla prawienia grzeczności, ale po pieniądze. Co mu panna Pławicka? Ani go grzeje, ani ziębi. Jeśli go będzie miała za gburę, to tem lepiej, bo zwykle tak się dzieje, że im wierzyciel jest bardziej przykry, tem się go starają spłacić prędzej.

Ale niesmak silniejszy był od tego rozumowania, albowiem jakiś głos szeptał Połanieckiemu, że tym razem nie chodziło tylko o dobre wychowanie, ale trochę o litość nad zmęczoną kobietą. Odczuwał przytem, że, postępując tak obcesowo, czyni zadość swej pozie, nie swemu sercu, ani swym wrodzonym instynktom. Był zły także i na pannę Pławicką, tem bardziej, że mu się podobała. Jak w tej uśpionej wiosce, jak w tej nocy księżycowej, tak i w tej pannie znalazł coś swojskiego, czego napróżno szukał w kobietach zagranicznych, a co wzruszało go więcej, niż się spodziewał. Ale ludzie wstydzą się często uczuć bardzo dobrych. Połaniecki wstydził się często wzruszeń, więc postanowił być nieubłagany i przycisnąć nazajutrz starego Pławickiego z pominięciem wszelkich względów.

Tymczasem chłopak zaprowadził go do sypialni. Połaniecki odprawił go zaraz i został sam. Był to ten sam pokój, który mu dawano, gdy za życia pierwszej żony pana Pławickiego przyjeżdżał do nich z matką. Więc wspomnienia opadły go znowu. Okna wychodziły na ogród, za którym był staw; w wodzie przeglądał się księżyc – i staw widać było lepiej, niż za dawnych czasów, bo wówczas przesłaniał go wielki stary jesion, który musiała złamać burza, gdyż w tem miejscu sterczał tylko pień ze

świeżem odłamaniem na wierzchu. Światło księżycza zdawało się zbierać na tem odłamaniu, które też błyszczało bardzo mocno. Wszystko to razem czyniło wrażenie ogromnego spokoju. Połaniecki, który żył w mieście wśród zajęć handlowych, zatem w ustawicznym natężeniu władz umysłowych i fizycznych, a zarazem w ustawicznym niepokoju, mimowoli odczuwał ten nastrój otaczającej go wsi, tak, jak się odczuwa ciepłą kąpiel po wielkim trudzie. Wnikała w niego ulga. Próbował myśleć o swoich sprawach, o tem, jak się one obrócą, czy dadzą straty, czy zyski, wreszcie o swoim wspólniku Bigielu, i o tem, jak on załatwi rozmaite interesa podczas jego niebytności – ale nie mógł. Natomiast zaczął myśleć o pannie Pławickiej. Osoba jej, jakkolwiek uczyniła na nim dobre wrażenie, była mu obojętną, choćby dlatego, że dopiero co ją poznał. Ale zajęła go, jako typ. Miał lat trzydzieści kilka, był zatem w wieku, w którym instynkt z siłą niemal nieubłaganą popycha mężczyznę do założenia ogniska domowego, pojęcia żony i stworzenia rodziny. Największy pesymizm jest bezsilny wobec tego instynktu; nie broni od niego ani artyzm, ani żadne zadania życiowe. Skutkiem tego żenią się mizantropi, pomimo swej filozofii, artyści, pomimo sztuki, jak również wszyscy tacy ludzie, którzy twierdzą, że swoim celom oddają nie pół, ale całą duszę. Wyjątki potwierdzają zasadę, że ogół nie może żyć konwencyonalnem kłamstwem i płynąć przeciw prądom natury. Po większej części nie żenią się tylko ci, którym do małżeństwa stanęła na przeszkodzie ta sama siła, która małżeństwa tworzy,

to jest ci, których miłość zawiodła. Stąd starokawalerstwo, jeśli nie zawsze to najczęściej, jest ukrytą tragedią.

Połaniecki nie był ani mizantropem, ani też człowiekiem, wygłaszającym przeciwne małżeństwu teorie. Przeciwnie: chciał się ożenić i był przekonany, że powinien to uczynić. Czuł, że przyszedł na niego czas, więc szukał naokół siebie kobiety. Z tego wypływało to ogromne zajęcie, jakie budziły w nim kobiety, a zwłaszcza panny. Jakkolwiek spędził kilka lat we Francji i w Belgii, nie szukał miłości u mężatek, chyba u nazbyt łatwych. Był to człowiek żywy i czynny, który utrzymywał, że romansować z mężatkami mogą tylko próżniacy, i że wogóle obleganie cudzych żon jest możliwe tam, gdzie ludzie mają bardzo wiele pieniędzy, mało uczciwości, a nic do roboty, zatem w społeczeństwach, gdzie istnieje cała klasa od dawna zubożona i pogrążona w wytwornej beczynności towarzyskiego a zarazem i szelmowskiego życia. On sam był istotnie bardzo zajęty, że zaś kochać chciał po to, by się ożenić, więc tylko panny budziły w nim zarówno psychiczne, jak i fizyczne zaciekawienie. Gdy spotykał jakąś na swej drodze, przedewszystkiem i od pierwszej chwili zadawał sobie pytanie: „Czyby nie ta?” – albo przynajmniej: „Czyby nie taka?” Obecnie myśli jego kręciły się w podobny sposób koło panny Pławickiej. Poprzednio słyszał o niej wiele od jej krewnej, zamieszkałej w Warszawie – i słyszał rzeczy dobre, a nawet wzruszające. Obecnie jej cicha, łagodna twarz stawała mu przed oczyma. Przypomniawszy sobie jej ręce, bardzo ładne, o długich palcach, choć nieco opalone; jej

ciemno-niebieskie oczy, oraz małe, czarne znamię, które miała nad ustami. Podobał mu się także jej głos. Przytem, jakkolwiek powtarzał sobie przyrzeczenie, że nie poczyni żadnych ustępstw i musi swoje odebrać, jednakże zły był na los, który przyprowadził go do Krzemienia, jako wierzyciela. Mówiąc do siebie językiem kupieckim, powtarzał w duchu: gatunek jest dobry – ale nie będę „reflektował” – bom nie po to przyjechał.

Jednakże „reflektował” i to tak dalece, że rozebrawszy się i położywszy, długi czas nie mógł zasnąć. Koguty poczęły pisać, szyby blednieć i zielenieć, on zaś widział jeszcze pod zamkniętymi powiekami pogodne czoło panny Pławickiej, jej znamię nad ustami i ręce, nalewające herbatę. Potem, gdy już sen począł go morzyć, zdawało mu się, że trzyma te ręce w swoich i przyciąga je ku sobie. Nazajutrz zbudził się późno i, przypomniawszy sobie pannę Pławicką, pomyślał: „Aha! to ona tak wygląda!”

II

Właściwie zbudził go chłopak, który przyniósł mu kawę i wziął do czyszczenia rzeczy. Gdy z nimi powrócił, Połaniecki spytał go, czy niema w domu zwyczaju schodzić się w jadalnym pokoju na śniadanie.

– Nie – odpowiedział chłopak – bo panienka rano wstaje, a starszy pan śpi do późna.

– A panienka wstała?

– Panienka w kościele.

– Prawda: dziś niedziela. A panienka nie jeździ ze starszym panem?

– Nie; starszy pan jeździ na sumę, a potem idzie do kanonika, więc panienka woli jeździć na ranną mszę.

– Co państwo w niedzielę porabiają?

– Siedzą w domu. Na obiad przyjeżdża pan Gątownski.

Tego Gątownskiego Połaniecki znał małym chłopcem. Za owych czasów przezywał go „niedźwiadkiem”, był to bowiem chłopak tłusty, niezgrabny i mrukliwy. Służący objaśnił, że ojciec pana Gątownskiego umarł od lat sześciu i młody sam gospodarzy w sąsiednim Jałbrzykowie.

– I przyjeżdża tu co niedziela? – spytał Połaniecki.

– Czasem i w powszedni dzień wieczorem.

– Konkurent! – pomyślał Połaniecki.

Po chwili spytał:

- Starszy pan wstał już?
 - Musiał pan dzwonić, bo Józef poszedł do pana.
 - Jaki Józef?
 - Kamerdyner.
 - A ty czym jesteś?
 - Ja jemu do pomocy.
 - Idź-że się spytać, kiedy można będzie widzieć się z panem.
- Chłopak wyszedł i po chwili wrócił.
- Starszy pan kazał powiedzieć, że jak się ubierze, to poprosi.
 - Dobrze.

Chłopak wyszedł; Połaniecki został sam i czekał, a raczej nudził się dość długo. Wreszcie zaczęło mu braknąć cierpliwości i chciał już wyjść do ogrodu, gdy ów Józef przyszedł mu oznajmić, że starszy pan prosi.

I przez sień poprowadził go do pokoju, leżącego z drugiej strony domu. Połaniecki wszedł i w pierwszej minucie nie poznał pana Pławickiego. Pamiętał go mężczyzną w sile wieku i nader pięknym, obecnie stał przed nim człowiek stary, z twarzą pomarszczoną, jak pieczone jabłko, której małe, uczernione wąsiki próżno usiłowały nadać pozór młodości. Tak one, jak również czarna, zaczesana z boku czupryna, oznaczały tylko niewygasłe dotąd pretensye.

Lecz pan Pławicki otworzył ramiona:

- Stach! Jak się masz, drogi chłopcze! Chodź tu!

I, wskazawszy na swą białą kamizelkę, objął głowę Połanieckiego i przycisnął ją do piersi, która poruszała się

szybkim oddechem.

Uścisk trwał przez czas długi, a nawet dla Połanieckiego mocno za długi; wreszcie pan Pławicki rzekł:

– Niechże ci się przypatrzę. Wykapana Anna, wykapana Anna! Moja biedna, kochana Anna!

I pan Pławicki zaszłochał, następnie otarł serdecznym palcem prawą powiekę, na której zresztą nie było łzy – i powtórzył:

– Wykapana Anna!... Twoja matka była zawsze dla mnie najlepszą i najżyczliwszą krewną.

Połaniecki stał przed nim zmieszany, oraz nieco odurzony i przyjęciem, jakiego się nie spodziewał, i zapachem fiksaturu, pudru i różnych perfum, którymi pachniały twarz, wąsy i kamizelka pana Pławickiego.

– Jak się wujaszek ma? – spytał wreszcie, sądząc, że ten tytuł, jaki zresztą dawał w latach dzieciennych panu Pławickiemu, będzie najlepiej odpowiadał uroczystemu nastrojowi przyjęcia.

– Jak się mam? – powtórzył pan Pławicki – nie długo mi już! nie długo! Ale właśnie dlatego witam cię tem serdeczniej w moim domu... po ojcowsku!... I jeśli błogosławieństwo człowieka, stojącego nad grobem, a zarazem najstarszego członka rodziny, ma w twoich oczach jaką cenę, to ci je daję.

I, chwyciwszy powtórnie za głowę Połanieckiego, ucałował ją i przeżegnał. Młody człowiek zmieszał się jeszcze bardziej i na twarzy jego odbił się przymus. Matka jego była krewną i przyjaciółką pierwszej żony pana Pławickiego. Z nim samym nie łączyły jej nigdy, o ile pamiętał, serdeczniejsze stosunki, więc

ta uroczystość przyjęcia, do której jednak mimowoli musiał się dostrajać, była mu ogromnie przykra. Sam Połaniecki nie miał najmniejszych uczuć rodzinnych dla pana Pławickiego, więc myślał w duchu: „Ta małpa błogosławi mnie, zamiast gadać o pieniądzach” – i chwyciła go pewna złość, która mogła mu być pomocną do postawienia jasno rzeczy. Tymczasem pan Pławicki rzekł:

– Siadaj teraz, drogi chłopcze, i bądź, jak u siebie.

Połaniecki siadł i zaczął mówić:

– Kochany wuju, bardzo mi jest przyjemnie wuja odwiedzić; byłbym to pewnie zrobił, nawet nie mając interesu, ale wuj wie, że przyjechałem także w tej sprawie, którą moja matka...

Tu pan Pławicki położył mu nagle rękę na kolanie:

– A kawę piłeś? – spytał.

– Piłem – odpowiedział zbity z tropu Połaniecki.

– Bo to Marynia rano wyjeżdża do kościoła. Przepraszam cię także, żem ci nie odstąpił mego pokoju, ale ja, stary, przyzwyczailem się tu spać. To moje gniazdo...

To rzekłszy, okrągłym ruchem ręki wskazał na pokój.

Połaniecki powiódł mimowoli oczyma za ruchem ręki. Niegdyś ten pokój był dla niego ustawiczną pokusą, wisiała w nim bowiem broń pana Pławickiego. Od dawnych czasów zmieniło się w nim tylko obicie, które teraz było różowe, przedstawiające w nieskończonej ilości kwadratów młode pasterki, ubrane à la Watteau i łowiące ryby na wędkę. W oknie stała toaleta, biało nakryta, z lustrem w srebrnych ramach,

zastawiona mnóstwem słoików, pudełek, flaszeczek, szczotek, grzebieni, pilniczków do paznokci i t. d. Obok, w kącie, fajczarnia – z bursztynowymi głowami cybuchów; na ścianie, nad kanapką, dzicza głowa, pod nią dwie dubeltówki, torba, trąbki, i wogóle przybory myśliwskie; w głębi stół z papierami, dębowe półeczki z pewną ilością książek, wszędy pełno gratów, mniej więcej potrzebnych i ładnych, zwiastujących jednak, że mieszkaniec tego pokoju jest osiłą, naokoło której obraca się wszystko w domu, i że sam o siebie dba wielce. Jednym słowem, był to pokój starego kawalera i egoisty, pełnego drobiazgowej troskliwości o swą wygodę i pełnego pretensyi. Połaniecki nie potrzebował też wiele domyślności, by odgadnąć, że pan Pławicki za nic i dla nikogo nie odstąpiłby swego pokoju.

Lecz gościnny gospodarz pytał dalej:

– Było ci tam dosyć wygodnie? Jak spędziłeś noc?

– Dziękuję; doskonale: wstałem późno.

– Z tydzień jaki przecie u mnie zabawisz.

Połaniecki, który był bardzo żywy, podskoczył na krześle.

– Chyba wuj wie, że ja mam interesa w Warszawie i wspólnika, który sam jeden pilnuje teraz całej roboty. Dlatego muszę wyjechać jak najwcześniej i pragnąłbym dziś jeszcze załatwić sprawę, dla której przyjechałem.

Na to pan Pławicki odezwał się z pewną serdeczną powagą:

– Nie, mój chłopcze. Dziś jest niedziela, a oprócz tego uczucia rodzinne powinny iść przed interesami. Dziś witam cię i przyjmuję, jako krewnego – jutro, jeśli chcesz, wystąpisz jako

wierzyciel. Tak jest. Dziś przyjechał do mnie mój Stach, syn mojej Anny! Do jutra! Tak być powinno, Stachu. Mówi ci starszy krewny, który cię kocha i dla którego powinienesz to zrobić...

Połaniecki zmarszczył się nieco, ale po chwili odrzekł:

– Niechże będzie do jutra.

– Teraz przemówiła przez ciebie Anna... Czy palisz fajkę?

– Nie. Palę tylko papierosy.

– Wierź mi, że źle robisz. Ale mam dla gości i papierosy.

Dalszą rozmowę przerwał turkot powozu przed gankiem.

– To Marynia przyjechała z rannej mszy – rzekł pan Pławicki.

Połaniecki, spojrzawszy w okno, dojrzał różową panienkę w słomianym kapeluszu, wysiadającą z powoziku.

– Poznałeś Marynię? – spytał pan Pławicki.

– Miałem przyjemność – wczoraj.

– Drogie dziecko. Nie potrzebuję ci mówić, że żyję tylko dla niej...

W tej chwili uchyliły się drzwi i młody głos spytał:

– Można?

– Można, można: jest tu Stach! – odpowiedział pan Pławicki.

Marynia weszła szybko z kapeluszem, przewieszonym na wstążkach przez ramię, i uściskawszy ojca, podała rękę Połanieckiemu. W różowej, perkalowej sukni wyglądała nadzwyczaj zgrabna i ładna. Było coś w niej z nastroju niedzielnego, a przytem z rzeźwości poranku, który był pogodny i jasny. Włosy miała nieco roztargane przez kapelusz, policzki zarumienione – młodość biła od niej. Połanieckiemu wydała się

dzis i weselsza, i ładniejsza, niż była wczoraj.

– Suma będzie dziś trochę później – rzekła do ojca – bo kanonik zaraz po rannej mszy pojechał do młyna dysponować Siatkowską. Ona bardzo źle. Ma papa jeszcze z pół godziny czasu.

– Dobrze – odrzekł Pławicki – przez ten czas poznać się bliżej ze Stachem Połanieckim. Mówię ci, wykapana Anna! Ale tyś jej nigdy nie widziała. Pamiętaj też Maryniu, że on jutro, jeśli zechce, będzie naszym wierzycielem, ale dziś, to tylko krewny i gość.

– Dobrze – odpowiedziała panna – będziemy mieli wesołą niedzielę.

– Pani tak późno poszła spać wczoraj – rzekł Połaniecki – a dziś była na rannej mszy.

A ona odrzekła wesoło:

– Na rannej mszy bywam ja i kucharz, żebyśmy mieli czas potem pomyśleć o obiedzie.

– Zapomniałem wczoraj powiedzieć – rzekł Połaniecki – że przywożę pani ukłony od pani Emilii Chwastowskiej.

– Nie widziałam Emilki już półtora roku, ale pisujemy do siebie dość często. Ona ma wyjechać do Reichenhall, dla swojej małej.

– Była na wyjeździe.

– A mała jak się ma?

– Na swoje dwanaście lat wyrosła nad miarę i bardzo anemiczna. Nie zdaje się, żeby była bardzo zdrowa.

– Pan często bywa u Emilki?

– Dosyć. To prawie jedyna moja znajomość w Warszawie. I przytem bardzo lubię panią Emilię.

– Powiedz mi, mój chłopcze – spytał pan Pławicki, biorąc ze stołu parę świeżych rękawiczek i wkładając je do kieszeni na piersiach – czem ty się właściwie zajmujesz w Warszawie?

– Ja jestem tem, co nazywają „aferzystą”. Mam dom komisowo-handlowy na spółkę z niejakim Bigielem. Spekuluję na zbożu, na cukrze, czasem na lasach i na czem się da.

– Bo ja słyszałem, że ty jesteś inżynier?

– Jestem technik. Ale nie mogłem po powrocie znaleźć zajęcia przy żadnej fabryce i puściłem się na handel, tem bardziej, że miałem i o tem jakie takie pojęcie i że we wspólnie byłem już od lat czterech, choć interesu prowadził sam Bigiel. Ale właściwym moim zawodem jest farbiarstwo.

– Jak powiadasz? – spytał pan Pławicki.

– Farbiarstwo.

– Teraz takie czasy, że trzeba się do wszystkiego brać – rzekł z godnością pan Pławicki. – Nie ja ci to będę brał za złe. Byle zachować dawne uczciwe tradycje rodzinne – żadne zajęcie nie hańbi człowieka.

A Połaniecki, któremu na widok panny powrócił dobry humor i którego rozbawiła nagle *grandezza* pana Pławickiego, pokazał swoje zdrowe zęby w uśmiechu i odpowiedział:

– To chwała Bogu.

Panna Marynia uśmiechnęła się również i rzekła:

– Emilka, która także pana bardzo lubi, pisała mi kiedyś, że pan doskonale prowadzi swoje interesa.

– Bo tu tylko z żydami trudno, a zresztą konkurencja łatwa. Ale i z żydami, byle nie wydawać manifestów antysemickich i spokojnie swoje robić, można trafić też do ładu. Co do pani Emilii jednak, ona się tyle zna na interesach, ile jej mała Litka.

– Tak, ona nigdy nie była praktyczna. Żeby nie brat męża, pan Teofil Chwastowski, byłaby straciła cały majątek. Ale pan Teofil bardzo Litkę kocha.

– Kto Litki nie kocha? Ja pierwszy przepadam za nią. To takie dziwne dziecko i takie kochane. Mówię pani, że mam do niej zupełną słabość.

A panna Marynia spojrzała uważniej na jego szczerą, żywą twarz i pomyślała:

– Musi być trochę raptus, ale ma dobre serce.

Pan Pławicki zauważył tymczasem, że czas na sumę i począł się żegnać z panną Marynią tak, jakby wyjeżdżał w kilkumiesięczną podróż, następnie uczynił jej na głowie znak krzyża i wziął kapelusz. Panienka uściśnęła rękę Połanieckiego żywiej, niż przy porannem powitaniu, ten zaś, siadając do powoziku, powtarzał sobie w duchu:

– O, mocno ładna! mocno sympatyczna!...

Za aleją, którą Połaniecki przyjechał dnia wczorajszego, powozik wytoczył się na drogę, gdzieś tylko wysadzoną staremi i popróchniałymi brzozaami, stojącymi w nierównych odstępach. Po jednej stronie ciągnęło się pole kartoflane, po

drugiej jeden ogromny łan żyta, z ociężałymi już i pochylonymi kłosami, który zdawał się spać w spokojnym powietrzu i w pełnym świetle słonecznym. Między brzożami przelatywały przed powozem sroki i dudki. W dali widać było, idące ścieżkami przez płową toń zbóż i zanurzone w niej po pachy, dziewczki wiejskie, w czerwonych chustkach na głowie, podobne do kwitnących maków.

– Dobre żyto – rzekł Połaniecki.

– Niezłe. Robi się, co w ludzkich siłach, a co Bóg da, to da. Jesteś młody, mój drogi, więc dam ci jedną przestrożę, która ci się w przyszłości przyda. Zrób zawsze, co do ciebie należy, a resztę zdaj na Pana Boga. On najlepiej wie, czego nam potrzeba. Urodzaj tego roku będzie dobry – i wiedziałem to z góry, bo jak mnie ma Bóg czem dotknąć, to mi zsyła znak.

– Co takiego? – spytał ze zdziwieniem Połaniecki.

– Za fajczarnią – nie wiem, czy uważałeś, gdzie ona stoi – ile razy ma być coś złego, tyle razy pokazuje mi się mysz przez kilka dni z rzędu.

– Musi być dziura w podłodze.

– Niema dziury – rzekł, przymykając oczy i potrząsając tajemniczo głową, pan Pławicki.

– A żeby kota sprowadzić?

– Nie sprowadzę, bo jeśli taka jest wola Boża, żeby ta mysz była dla mnie znakiem i ostrzeżeniem, to nie chcę iść przeciw tej woli. Otóż tego roku nic mi się nie pokazało. Mówiłem to Maryni... Może Bóg zechce w jakikolwiek sposób okazać, że

czuwa nad naszą rodziną. Słuchaj, mój drogi: wiem, że ludzie gadają, że jesteśmy zrujnowani, a przynajmniej w bardzo złych interesach. Otóż sam osądz: Krzemień, wraz ze Skokami, z Magierówką i Suchocinem, ma około dwustu pięćdziesięciu włók. Jest tam około sześćdziesięciu tysięcy rubli Towarzystwa – i nic więcej, i około stu tysięcy długów hipotecznych, wraz z twoją sumą. Więc mamy już sto sześćdziesiąt tysięcy. Liczymy teraz tylko po trzy tysiące rubli za włókę, to uczyni siedmset pięćdziesiąt tysięcy – razem: dziewięćset dziesięć tysięcy...

– Jakto? – przerwał ze zdumieniem Połaniecki – to wuj liczysz długi do swego majątku?

– Żeby majątek był nic nie wart, toby mi nikt grosza na niego nie dał, więc muszę doliczyć dług do wartości majątku...

A Połaniecki pomyślał: „Waryat, z którym niema co gadać” – i słuchał dalej w milczeniu.

Pan Pławicki zaś mówił:

– Magierówkę chcę rozparcelować. Młyn sprzedam, a w Skokach i Suchocinie mam margiel – i wiesz, na ile go obliczyłem? Na dwa miliony rubli.

– Ma wuj kupca?

– Dwa lata temu przyjechał tu niejaki Schaum i rozpatrywał pola. Wprawdzie pojechał, nic nie wspominając o interesie, ale jestem pewny, że wróci. Inaczej, byłaby mi się pokazała mysz za fajczarnią...

– Ha! niechże wraca.

– Wiesz, co mi także przychodzi do głowy. Skoro jesteś

„aferzystą”, weź ty się do tego interesu. Znajdź sobie tylko wspólników.

– To za gruba dla mnie sprawa.

– Więc znajdź mi kupca: dam ci dziesięć procent od zysków.

– Co panna Marya myśli o tym marglu?

– Marynia, jak to Marynia. Złote dziecko, ale dziecko! I ona jednak wierzy, że Opatrzność czuwa nad naszą rodziną.

– Słyszałem to od niej wczoraj.

Tymczasem zaczęli się zbliżać do Wątorów i do leżącego na wzgórzu wśród lip kościoła. Pod wzgórzem stało kilkanaście chłopskich drabiniastych wózków, oraz kilka bryczek i powozików.

Pan Pławicki przeżegnał się.

– To nasz kościółek, który musisz pamiętać. Wszyscy Pławiccy tu leżą i ja wkrótce będę leżał. Nigdzie nie modłę się lepiej, jak tu.

– Widzę, że będzie sporo ludzi – rzekł Połaniecki.

– Jest bryczka Gątowskiego, kocz Zazimskich, powozik Jamiszów i kilka innych. Jamiszów musisz także pamiętać. Ona niepospolita kobieta, on, niby wielki agronom i radca, ale safandula, który nie rozumiał jej nigdy.

W tej chwili poczęto dzwonić na wieżycze kościelnej.

– Spostrzegli nas i dzwonią – rzekł pan Pławicki – suma zaraz wyjdzie... Zaprowadzę cię po mszy na grób mojej pierwszej żony; pomódl się za nią, bo to przecie twoja ciotka... Zaczyna być kobieta, świeć jej Panie!

Tu pan Pławicki podniósł znów palec, by obetrzeć prawe oko, Połaniecki zaś spytał, chcąc zmienić nastrój rozmowy:

– A pani Jamiszowa była kiedyś bardzo piękna? Czy to ta sama?

Twarz pana Pławickiego rozjaśniła się nagle. Na chwilę wysunął koniec języka z uczernionych wąsików, następnie zaczął klepać Połanieckiego po łydce i rzekł:

– Warta jeszcze grzechu, warta, warta!...

Tymczasem zajechali i, obszedłszy kościół, weszli bokiem do zakrystyi, nie chcąc przeciskać się przez tłum. Panie siedziały w bocznych ławkach, tuż przed stallami. Pan Pławicki zajął ławkę kollatorską, w której byli tylko państwo Jamiszowie: on, człowiek, wyglądający bardzo staro, z twarzą inteligentną i zgnębioną, ona, kobieta dobrze pod sześćdziesiąt, ubrana niemal tak, jak panna Marynia, to jest w suknię perkalową i słomiany kapelusz. Pełne grzeczności ukłony, jakie jej począł składać pan Pławicki, i uprzejmy uśmiech, z jakim mu je oddawała, wskazywały, że panują między nimi blizkie i oparte na wzajemnej adoracyi stosunki. Po chwili pani, podniósłszy lornetkę do oczu, zaczęła przyglądać się Połanieckiemu, nie rozumiejąc widocznie, kto mógł panu Pławickiemu towarzyszyć. W tylnej ławce za nimi, jeden z sąsiadów, korzystając z tego, że msza jeszcze nie rozpoczęta, kończył jakieś opowiadanie o polowaniu, powtórzył bowiem kilkakrotnie drugiemu sąsiadowi: „Moje psy dobrze goniom...”; potem obaj przerwali tę rozmowę i zaczęli obmawiać Pławickiego i panią Jamiszową tak głośno,

że każde słowo dochodziło do uszu Połanieckiego.

Potem wyszedł ksiądz ze mszą. Na widok tej mszy i tego kościółka pamięć Połanieckiego znów wróciła do lat dzieciennych, gdy bywał tu z matką. Mimowoli rodziło się w nim zdziwienie, jak dalece na wsi nic się nie zmienia, prócz ludzi. Jednych składają na księżej grudzi, drudzy się rodzą, ale nowe życie podstawia się w dawne formy, i kto przyjeżdża po długiej niebytności, z daleka, temu się zdaje, że to wszystko, co poprzednio widział, było wczoraj. Kościół był ten sam; nawa była równie pełna płowych głów chłopskich, szarych sukman, czerwonych i żółtych chustek, oraz kwiatów na głowach dziewczek; tak samo pachniało kadzidłem, świeżym tatarakiem i wyziewami ludzkimi. Za jednym z okien rosła ta sama brzoza, której cienkie gałązki wiatr, gdy się podniósł, rzucał na okno i, przesłaniając je, napełniał kościół zielonawem światłem; tylko ludzie byli nie ci sami: część tamtych rozsypywała się sobie spokojnie w proch, lub wydostawała się trawą z pod ziemi; ci zaś, którzy zostali jeszcze, byli jacyś pochyleni, zgarbieni, mniejsi, jakby powoli zasuwali się pod ziemię. Połaniecki, który chlubił się tem, że unika wszelkich zagadnień ogólnych, a który w gruncie rzeczy, mając jakby nie wyłoniłą jeszcze dostatecznie z wszechbytu słowiańską głowę, zajmował się niemi mimowoli ciągle, myślał teraz, że jednak jest okropna przepaść między tą wrodzoną ludziom namiętnością życia, a koniecznością śmierci. Myślał także, że może dlatego wszystkie systemy filozoficzne mijają, jak cienie, a msza po staremu się odprawia, iż ona jedna obiecuje

dalszy i nieprzerwany ciąg.

Sam, wychowany za granicą, nie bardzo weń wierzył, przynajmniej nie był go pewny. Czuł on w sobie, jak wszyscy dzisiejsi, najnowsi ludzie, niepohamowany wstręt do materjalizmu, ale wyjścia jeszcze nie znalazł, i co więcej, zdawało mu się, że go nie szuka. Był nieświadomym pesymistą, jak ci, którzy szukają czegoś, czego nie mogą znaleźć. Odurzał się zajęciami, do których przywykł, i tylko w chwilach wielkiego przypływu owego pesymizmu pytał siebie: na co to wszystko? na co się zdało robić majątek, pracować, żenić się, płodzić dzieci – skoro wszystko kończy się przepaścią? Ale to było czasem i nie zmieniało się w stałą zasadę. Ratowała go od niej młodość – nie pierwsza – ale też jeszcze nie gasnąca, pewna tęgość duchowa i fizyczna, samozachowawczy instynkt, przyzwyczajenie do pracy, żywość charakteru i wreszcie ta siła elementarna, która popycha mężczyznę w objęcia kobiety. I teraz więc od wspomnień dziecinnych, od myśli o śmierci, od zwątpienia o celowości małżeństwa, przeszedł do myśli właśnie o tem, że tego, co w nim jest lepsze, nie ma komu oddać, a dalej przeszedł do panny Maryni Pławickiej, której perkalowa suknia, pokrywająca młode i wysmukłe ciało, nie schodziła mu z oczu. Przypomnił sobie, że gdy wyjeżdżał, pani Emilia Chwastowska, wielka przyjaciółka jego i panny Maryni, powiedziała mu, śmiejąc się: „Jeśli pan, będąc w Krzemieniu, nie zakocha się w Maryni, to zamknę przed panem drzwi”. On jej odpowiedział z wielką fantazją, że jedzie tylko wydusić pieniądze, nie zakochać

się, ale to nie była prawda. Gdyby w Krzemieniu nie było panny Pławickiej, byłby zapewne dusił pana Pławickiego w dalszym ciągu listownie, albo sposobami prawnymi. Myślał też o niej i o tem, jak ona wygląda, już w drodze, i był zły, że jedzie także po pieniądze. Wmawiając w siebie wielką stanowczość w takich razach, postanowił przedewszystkiem dochodzić swej należności i raczej gotów był przesadzić, niż nie dosadzić w terminie. Obiecywał to sobie, zwłaszcza pierwszego wieczora, gdyż Marynia, jakkolwiek podobała mu się dosyć, nie uczyniła na nim tak wielkiego wrażenia, jak myślał, a raczej uczyniła inne. Ale dzisiejszego rana bardzo wpadła mu w oko. „Sama jest, jak ranek – mówił sobie – ładna, i wie, że ładna! Kobiety zawsze to wiedzą!”

To ostatnie odkrycie usposobiło go dość niecierpliwie, albowiem pragnął wrócić jak najprędzej do Krzemienia, by dalej obserwować kobiety na tym okazie, który w Krzemieniu mieszkał. Jakoż msza skończyła się niebawem, pan Pławicki wyszedł zaraz po przeżegnaniu, miał bowiem jeszcze przed sobą dwa obowiązki: pierwszy, pomodlenia się na grobach obu żon, które leżały pod kościołem, drugi – odprowadzenia pani Jamiszowej do powozu; że zaś żadnego nie chciał opuścić, więc musiał się liczyć z czasem. Połaniecki wyszedł z nim razem, i wkrótce znaleźli się przed płytami kamiennymi, wprawionemi tuż obok siebie w ścianę kościelną. Pan Pławicki klęknął i modlił się przez chwilę w skupieniu, potem, wstawszy, obtarł łzy, które naprawdę zawisły mu na rzęsach, a wreszcie, wzięwszy

Połanieckiego pod ramię, rzekł:

– Tak! straciłem obie – i żyć muszę.

Tymczasem przed kościelnymi drzwiami ukazała się pani Jamiszowa w towarzystwie męża, tych dwóch sąsiadów, którzy ją obmawiali przede mszą i młodego pana Gątowskiego. Na jej widok pan Pławicki pochylił się do ucha Połanieckiego i rzekł:

– Jak będzie wsiadała do powozu, uważ, jaką ma jeszcze nogę.

Po chwili złączyli się obaj z towarzystwem; rozpoczęły się ukłony i powitania. Pan Pławicki przedstawił Połanieckiego, potem, zwracając się do pani Jamiszowej, dodał z uśmiechem człowieka, przekonanego, że mówi coś, na co nie byle ktoby się zdobył:

– Mój krewny, który przyjechał wujaszka uścisnąć i... przycisnąć...

– Pozwalamy tylko na pierwsze, inaczej będzie z nami sprawa – odrzekła dama.

– Ale Krzemień, to twarda rzecz – mówił dalej Pławicki – połamię sobie na nim zęby, choć młody.

Pani Jamiszowa przymknęła oczy.

– Ta łatwość – rzekła – z jaką pan temi iskrami sypie... *c'est inoui!* Jak dziś zdrowie pana?

– W tej chwili czuję się zdrow i młody.

– A Marynia?

– Była na rannej mszy. Czekamy państwa o piątej. Moja mała gosposia łamie sobie tam główkę nad podwieczorkiem. Śliczny dzień...

– Więc przyjedziemy, jeśli moja newralgia mi pozwoli... i jeśli pan mąż pozwoli.

– Sąsiedzie? jakże? – spytał pan Pławicki.

– Zawsze chętnie, owszem! – odpowiedział zgębionym głosem sąsiad.

– Zatem, *au revoir!*

– *Au revoir!* odpowiedziała pani.

I, zwróciwszy się do Połanieckiego, wyciągnęła do niego rękę:

– Miło mi było poznać pana.

Pan Pławicki podał jej ramię i odprowadził do powoziku. Dwaj sąsiedzi odjechali również, Połaniecki został przez chwilę sam z panem Gątowskim, który przypatrywał mu się dość niechętnie. Połaniecki pamiętał go niezgrabnym chłopakiem, teraz zaś z „niedźwiadka” wyrósł mężczyzna duży i może przyciężki w ruchach, ale raczej przystojny, z bardzo pięknym, jasnym wąsem. Połaniecki nie zaczynał z nim rozmowy, czekając, aż tamten pierwszy się odezwie, lecz ów, zasadziwszy rękę w kieszenie, milczał uparcie.

– Dawne maniery mu zostały – pomyślał Połaniecki.

I z kolei uczuł także niechęć do tego mruka.

Tymczasem pan Pławicki, wróciwszy od powozu Jamiszów, spytał naprzód Połanieckiego: „Uważałeś”? – a potem rzekł:

– No, Gątosiu, pojedziesz swoją bryczką, bo w koczku tylko dwa miejsca.

– Pojadę bryką, bo wiozę psa dla panny Maryi – odpowiedział młody człowiek.

I, skłoniwszy się, odszedł. Po chwili Pławicki i Połaniecki znaleźli się na drodze do Krzemienia.

– Ten Gątownski, to też podobno jakiś powinowaty wuja? – spytał Połaniecki.

– Dziewiąta woda po kisielu. Oni bardzo podupadli. Ten, Adolf, ma jeden folwarczek i pustki w kieszeni.

– Ale w sercu pewnie nie pustki?

Pan Pławicki wydał usta:

– Tem gorzej dla niego, jeśli mu się coś marzy. Może on i dobry człowiek, ale symplak. Ani to wychowania, ani wykształcenia, ani majątku. Marynia lubi go – raczej: znosi.

– A, znosi?

– Widzisz, jest tak: ja poświęcam się dla niej i siedzę na wsi, ona poświęca się dla mnie i siedzi na wsi. Tu są pustki; pani Jamiszowa jest znacznie od niej starsza, młodzieży wogóle niema, życie nudne, ale co robić? Pamiętaj, mój chłopcze, że życie to szereg poświęceń. Trzeba tę zasadę nosić w sercu i w głowie. Zwłaszcza ci, co należą do uczciwych i trochę widniejszych rodzin, nie powinni o niej zapominać. A Gątownski bywa zawsze u nas w niedzielę na obiedzie – i dziś, jak słyszałeś, wiezie psa.

Umilkli i jechali wolniej po piasku. Sroki przelatywały teraz przed nimi z brzozy na brzozę w stronę Krzemienia. Za powozikiem jechał na bryczce pan Gątownski, który, rozmyślając o Połanieckim, mówił sobie:

– Jeśli przyjechał ich gnębić, jako wierzyiciel, nadkręcę mu

karku, jeśli jako konkurent – nadkręć mu też.

Z dziecinnych lat miał on nieprzyjazne dla Połanieckiego uczucia. Niegdyś spotykali się oni czasem i wówczas Połaniecki go wyśmiewał, albo, jako starszy o parę lat, nawet bijał.

Wreszcie przyjechali i w pół godziny później znaleźli się wszyscy wraz z panną Marynią w jadalnym pokoju przy stole. Młody psiak, przywieziony przez Gątowskiego, korzystając z przywileju gościa, kręcił się pod stołem, a czasem wspinał się na kolana obecnych z wielkim zaufaniem i radością, objawianą za pomocą kiwania ogonem.

– To jest Gordon, ceter – mówił Gątowski – on jest jeszcze głupi, ale to mądre psy i przywiązują się okrutnie.

– Śliczny jest i bardzom panu wdzięczna – odpowiedziała panna Pławicka, patrząc na lśniaco-czarną szerść i żółte piętna nad oczyma psa.

– Zanadto przyjemny – dodał pan Pławicki, pokrywając kolana serwetą.

– Do pola też takie lepsze od zwyczajnych ceterów.

– Pani i poluje? – spytał Połaniecki.

– Nie, nigdy nie miałam do tego ochoty. A pan?

– A ja czasem. Zresztą żyję w mieście.

– Dużo bywasz? – spytał pan Pławicki.

– Prawie nigdzie. U pani Emilii, u mojego współnika Bigiela, u Waskowskiego, który był niegdyś moim profesorem, a który teraz jest dziwakiem – i oto wszystko. Oczywiście czasem chodzę do ludzi, gdy mam do nich interesa.

– To źle, mój chłopcze. Młody człowiek powinien mieć i utrzymywać dobre stosunki towarzyskie, zwłaszcza, gdy ma do nich prawo. Kto się potrzebuje piąć, to co innego, ale ty, jako Połaniecki, możesz wszędzie bywać. Ja ci to powiadam. Z Marynią wiecznie mam te same historie. Dwa lata temu, gdy skończyła ośmnaście lat, zawiozłem ją w zimie do Warszawy. Rozumiesz, że tego się darmo nie robi i że to wymagało pewnych ofiar z mojej strony. No i cóż? Siedziała po całych dniach u pani Emilii i czytały książki. Dzikus mi się urodził i dzikus pozostanie: możecie sobie podać ręce.

– Podajmy sobie ręce! – zawołał wesoło Połaniecki.

A ona odrzekła, śmiejąc się:

– Kiedy, sumiennie, nie mogę, bo to niezupełnie tak było: czytywałam książki z Emilką, prawda, ale bywaliśmy z papą dużo i wytańczyłam się na całe życie.

– Niech się pani nie zarzeka.

– Nie! ja się nie zarzekam, tylko nie tęsknię.

– To widocznie nie wywiozła pani wspomnień.

– Widocznie. Została mi tylko pamięć, ale to jest co innego.

– Tego ja, pani, nie rozumiem.

– Bo pamięć, to jest skład, w którym leży przeszłość, a wspomnienie ma miejsce wówczas, gdy się do tego składu wchodzi, żeby coś wydobyć.

Tu panna Marynia przestraszyła się nieco własną odwagą, z jaką zapuściła się w filozoficzny wywód nad różnicą pamięci i wspomnień, skutkiem czego zaczerwieniła się dość mocno;

Połaniecki zaś pomyślał:

– I niegłupia, i śliczna.

Głośno zaś rzekł:

– Mnie to do głowy nie przyszło, a to takie łatwe.

I objął ją oczyma, pełnemi sympatyi. Była rzeczywiście bardzo ładna, bo uśmiechnięta, nieco zmieszana pochwałą, a zarazem i uradowana nią szczerze. Zarumieniła się jeszcze więcej, gdy śmiały młody człowiek rzekł:

– Jutro, przed wyjazdem, poproszę o miejsce... choć w składzie.

Ale on mówił to tak wesoło, że nie można się było na niego gniewać, i że panna Marynia odpowiedziała mu nie bez pewnej kokieterii:

– Dobrze, ale i ja wzajemnie...

– W takim razie musiałbym schodzić do składu tak często, że wolę od razu w nim zamieszkać.

To wydało się pannie Pławickiej nieco za śmiałe na tak krótką znajomość, ale tymczasem pan Pławicki ozwał się:

– Podoba mi się Połaniecki. Wolę go od Gątosia, który siedzi, jak mruk.

– Bo ja umiem mówić tylko o tem, co się da wziąć w rękę – odpowiedział z pewnym smutkiem młody człowiek.

– To weź w rękę widelec – i jedz.

Połaniecki uśmiechnął się, panna Marynia nie, gdyż żal jej się zrobiło Gątowskiego, skutkiem czego skierowała rozmowę na rzeczy, które dadzą się wziąć w rękę.

– Albo kokietka, albo ma dobre serce – pomyślał znów Połaniecki.

Lecz pan Pławicki, który widocznie przypomniał sobie ostatni pobyt zimowy w Warszawie, spytał:

– Powiedz mi Stachu, ty znasz Bukackiego?

– Jakże. To przecie mój bliższy krewny, niż wuja.

– My z całym światem jesteśmy krewni – literalnie z całym światem. Bukacki, to był najgorliwszy tancerz Maryni. Obtańcowywał ją na wszystkich wieczorach.

Połaniecki zaczął się znowu śmiać.

– I za całą nagrodę poszedł do składu, w kurz. No, ale tego przynajmniej odkurzać nie trzeba, bo taki koło siebie staranny, jak np. wujaszek. To największy elegant w Warszawie. Co on porabia? Administruje świeżem powietrzem, to się znaczy, że jak pogoda, wychodzi lub wyjeżdża na spacer. Przytem jest oryginał, który ma jakieś szczególne zakomórki w głowie. Ten człowiek podpatruje takie rozmaite rzeczy, któremi nikt innyby się nie zajmował. Kiedyś, po jego powrocie z Wenecyi, spotykam go i pytam, co tam widział, a on mi odpowiada: „Widziałem na Riva degli Schiavoni, jak raz płynęło pół skorupki od jajka i pół cytryny: stykały się, potraçały, oddalały, zbliżały, wreszcie – paf! pół cytryny wpadło w pół jajka i popłynęły razem. Patrz, co to znaczy harmonia!” Oto, czem zajmuje się Bukacki, choć dużo umie i np. na sztuce zna się dobrze.

– A mówią o nim, że bardzo zdolny?

– Może, ale do niczego. Zjada chleb – i na tem koniec.

Żeby przynajmniej był przytem wesoły, ale on jest w gruncie rzeczy melancholik. Zapomniałem powiedzieć: i kocha się w pani Emilii.

– Emilka dużo przyjmuje? – spytała panna Marynia.

– Nie. Bywam ja, Waskowski, bywa Bukacki, no i jeszcze Maszko, adwokat, ten, co to kupuje i sprzedaje majątki ziemskie.

– Ona pewnie i nie bardzo może przyjmować, bo dużo czasu musi poświęcać Litce.

– Biedactwo drogie – rzekł Połaniecki – Pan Bógby dał, żeby jej przynajmniej pomógł ten Reichenhall!

I wesoła twarz jego pokryła się w jednej chwili prawdziwym smutkiem. Teraz panna Marynia spojrzała na niego oczyma, pełnemi sympatii – i z kolei pomyślała po raz drugi:

– On jednak musi być naprawdę dobry.

A pan Pławicki zaczął mówić, jakby sam do siebie:

– Maszko, Maszko... Ten także kręcił się koło Maryni. Ale ona go nie lubiła. Co do majątków, ceny teraz takie, że pozał się Boże.

– Właśnie Maszko twierdzi, że w tych warunkach dobrze jest kupować.

Tymczasem obiad się skończył i przeszli do salonu na kawę, podczas której pan Pławicki dworował sobie z pana Gąrowskiego, co zwykł był czynić w chwilach dobrego humoru i co młody człowiek znosił cierpliwie ze względu na pannę Marynię, ale z miną, która zdawała się mówić: „Ej, żeby nie ona, wytrząsłbym z ciebie wszystkie kości!” Po kawie panna Marynia

siadła do fortepianu, podczas gdy ojciec kładł pasyansa. Grała nieszczególnie, ale jej jasne i spokojne czoło ładnie rysowało się nad pulpitem. Koło piątej pan Pławicki spojrzał na zegarek i rzekł:

– Jamiszowie nie przyjeżdżają.

– Przyjadą jeszcze – odpowiedziała Marynia.

Ale on od tej pory ciągle spoglądał na zegarek i co chwila ogłaszał nowinę, że Jamiszowie nie przyjeżdżają. Nakoniec koło szóstej rzekł grobowym głosem:

– Musiało się zdarzyć nieszczęście.

Połaniecki stał w tej chwili koło panny Maryni, która rzekła przyciszonym głosem:

– Oto i bieda! Tam się pewnie nic nie stało, ale papa będzie do wieczora w złym humorze.

Połaniecki chciał w pierwszej chwili odpowiedzieć, że za to nazajutrz, jak się wyśpi, to będzie w dobrym, ale widząc istotną troskę na twarzy panny, odrzekł:

– To, ile pamiętam, niedaleko: niech pani pośle kogo dowiedzieć się, co się stało.

– Możeby posłać kogo, papo?

Lecz on odpowiedział z goryczą:

– Zbytek łaski. Pojadę sam.

I, zadzwoniwszy na służącego, wydał polecenie, by zaprzęgano. Poczem zastanowił się przez chwilę i rzekł:

– Enfin, na wsi zawsze może się trafić, że ktoś przyjedzie i zastanie moją córkę samą. To nie miasto. Przytem jesteście

krewni. Ty, Gątownski, mozesz mi być potrzebny, więc bądź łaskaw pojechać ze mną.

Wyraz najwyższej niechęci i niezadowolenia odbił się na twarzy młodego człowieka. Przeciągnął ręką po swej płowej czuprynie i rzekł:

– Nad stawem jest wyciągnięte czółno, którego ogrodnik nie może zepchnąć; obiecałem pannie Maryi, że je zepchnę, tylko ostatniej niedzieli nie puściła mnie, bo lało, jak z cebra.

– To skocz i spróbuj, do stawu trzydzieści kroków, za parę minut wrócisz.

Gątownski, rad nie rad, wyszedł do ogrodu, pan Pławicki zaś, nie zwracając uwagi na Połanieckiego i córkę, powtarzał, chodząc po pokoju:

– Newralgia w głowie, założyłbym się, że newralgia w głowie; Gątownski, w razie potrzeby, może skoczyć po doktora. Ten safandula, ten radca bez rady, pewnoby nie posłał.

I, potrzebując widocznie wyrzucić na kimś swój zły humor, dodał, zwracając się do Połanieckiego:

– Nie uwierzysz, co to za cymbał!

– Kto taki?

– Jamisz.

– Ale, papo... – zaczęła panna Marynia.

Lecz pan Pławicki nie dał jej skończyć i rzekł ze wzrastającym złym humorem:

– Wiem! Nie podoba ci się to, że ona okazuje mi trochę przyjaźni i troskliwości. Czytaj sobie artykuły rolnicze pana

Jamisz, uwielbiaj go, stawiaj mu posągi, ale pozwól mi mieć moje sympaty.

Tu Połaniecki mógł podziwiać istotną słodycz panny Maryni, gdyż, zamiast się zniecierpliwić, podbiegła do ojca i, podsuwając czoło pod jego uczernione wąsiki, rzekła:

– Zaraz zaprzęgna, zaraz! Może trzeba, żebym i ja pojechała, a tymczasem niech się brzydki tatuś nie gniewa, bo sobie zaszkodzi.

Pan Pławicki, który rzeczywiście był do niej mocno przywiązany, pocałował ją w czoło i rzekł:

– Wiem, że w gruncie rzeczy masz dobre serce, ale co tam znów Gątownski robi?

I przez otwarte drzwi ogrodowe począł wołać na młodego człowieka, który też powrócił niebawem zmęczony i rzekł:

– W środku stoi woda i za daleko wyciągnięte; próbowałem i nie mogę.

– To bierz czapkę i ruszajmy, bo słyszę, że zajechali.

W chwilę potem młodzi ludzie zostali sami.

– Papa przywykł do trochę wykwinniejszego towarzystwa, niż jest na wsi – rzekła panna Marynia – więc dlatego lubi panią Jamiszową, ale i pan Jamisz jest bardzo zacny i rozumny człowiek.

– Widziałem go w kościele. Wydał mi się, jakby przybity.

– Bo naprawdę, to on jest chory, a przytem bardzo zapracowany.

– Tak, jak pani.

– Nie. Pan Jamisz doskonale prowadzi gospodarstwo, a przytem dużo pisuje o rzeczach rolniczych. Naprawdę jest to lumen naszej okolicy. I taki zacny człowiek! Ona również dobra kobieta, tylko dla mnie nieco przesadna.

– Ex-piękność!

– Tak. Przyczynia się też do jej przesady i to ciągłe życie na wsi, przez które się trochę rdzewieje. Myślę, że w mieście wszystkie dziwactwa ludzkie i śmieszności ścierają się wzajemnie, a na wsi łatwiej ludzie zmieniają się w oryginałów. Zwolna odwyka się od towarzystwa, zachowuje się jakiś przestarzały sposób w obejściu z ludźmi i dochodzi się do przesady. My wszyscy musimy się ludziom z wielkich miast wydawać zardzewiali i trochę śmieszni.

– Nie wszyscy. Bynajmniej! – odpowiedział Połaniecki. – Pani na przykład – bynajmniej!

– Więc to przyjdzie z czasem – odpowiedziała z uśmiechem.

– Czas może także przynieść zmiany.

– U nas tak mało się zmienia – i najczęściej na gorsze.

– Ale w życiu panien wogóle zmiany są przewidywane.

– Chciałabym naprzód, byśmy z papą mogli przyjść do ładu z Krzemieniem.

– Więc ojciec i Krzemień, to dwa główne, jedyne cele w życiu pani?

– Tak. Ale mało mogę pomódz, bo się mało znam na czemkolwiek.

– Papa, Krzemień – i nic więcej! – powtórzył Połaniecki.

Nastąpiła chwila przerwy w rozmowie, po której panna Marynia spytała Połanieckiego, czy nie zechce pójść do ogrodu. Poszli i wkrótce znaleźli się nad brzegiem stawu. Połaniecki, który za granicą należał do różnych stowarzyszeń sportowych, zepchnął na wodę czołno, któremu Gątownski nie mógł poradzić, ale pokazało się, że jest dziurawe i że nie można nim pływać.

– Oto przykład, co jest moje gospodarstwo! – rzekła, śmiejąc się, panna Marynia. – We wszystkim i wszędzie woda przecieka. I nie wiem, jak się usprawiedliwić, bo ogród i staw należą wyłącznie do mnie. Ale przed spustem każę czołno naprawić.

– Bodaj, że to jeszcze to samo, w którym zakazywano mi jeździć, gdy byłem małym chłopcem.

– Bardzo być może. Czy pan uważał, że rzeczy daleko się mniej zmieniają i dłużej trwają, niż ludzie. Czasem smutno o tem myśleć.

– Miejmy nadzieję, że będziemy trwali dłużej, niż to czołno zmurszałe i nasiąknięte, jak gąbka, wodą. Jeżeli to samo, co za moich dziecinnych lat, to nie mam do niego szczęścia. Dawniej nie pozwalano mi na niem jeździć, a teraz skaleczyłem sobie rękę o jakiś spróchniały gwóźdź.

To rzekłszy, wydobyl z kieszeni chustkę i poczał lewą ręką owijać palec prawej. Ale szło mu tak niezgrabnie, że panna Marynia, widząc to, rzekła:

– Nie da pan sobie rady, trzeba pomódz.

I poczęła obwiązywać mu dłoń, którą on kręcił nieznacznie,

by jej utrudnić zadanie, bo miło mu było czuć jej delikatne palce przy swoich. Ona spostrzegła, że jej przeszkadza i spojrzała na niego, ale w chwili, gdy ich oczy się spotkały, pojęła powód i, zarumieniona, schyliła się, chcąc niby wiązać uważniej. Połaniecki uczył ją blisko, uczył ciepło, bijące od niej, więc i jemu serce zabiło żywiej.

– Mam bardzo miłe wspomnienia – rzekł – z dawnych moich tutejszych wakacyi, ale teraz wywiozę jeszcze milsze. Pani jest bardzo dobra, a przytem zupełnie, jak jaki kwiat, w tym Krzemieniu. Pod słowem, nie przesadzam.

Panna Marynia zrozumiała, że młody człowiek mówi to szczerze, może nieco za śmiało, ale raczej przez wrodzoną żywość, niż dlatego, że został z nią sam na sam; więc nie obraziła się, tylko zaczęła niby gderać żartobliwie swoim miłym, przyciszonym głosem:

– Proszę mi nie mówić grzeczności, bo naprzód źle obwiążę rękę, a powtóre ucieknę.

– To niech pani źle obwiąże rękę, ale zostanie. Taki śliczny wieczór.

Marynia skończyła robotę z chustką i poszli dalej. Wieczór rzeczywiście zapowiadał się śliczny. Słońce zniżało się, staw, nie marszczony powiewem wiatru, lśnił ogniem i złotem. W dali, za wodą, majaczały spokojnie olszyny; bliższe drzewa rysowały się w zarumienionem już powietrzu bardzo czysto. Na podwórzu, za domem, klekotały bociany.

– Miły Krzemień, bardzo miły! – powtarzał Połaniecki.

– Bardzo – odpowiedziała Marynia.

– To też ja rozumiem pani przywiązanie do tego miejsca. Przytem, jak się w coś wkłada pracę, to to jeszcze bardziej przywiązuje. Rozumiem też, że na wsi można mieć dobre chwile... Ot, jak teraz. Przecie tu jest tak dobrze. W mieście ogarnia czasem zmęczenie, zwłaszcza tych, którzy, jak ja, siedzą po uszy w rachunkach, a przytem są samotni. Bigiel, mój współnik, ma żonę i dzieci – to dobrze! Ale ja co? Ja nieraz mówię sobie: Ot, pracuję i co mi z tego? Dajmy na to, że będę miał trochę pieniędzy – i co dalej? – nic. Jutro zawsze takie same, jak dziś, robota i robota! Widzi pani, jak się człowiek wciągnie w coś, jak idzie tym pędem, np. robienia pieniędzy, to mu się zdaje, że to cel. Ale przychodzą chwile, w których myślę, że mój oryginał Waskowski ma słuszość, i że nikt, kto się kończy na **ski**, albo na **wicz**, nie potrafi włożyć w to całej duszy i poprzestać na tem wyłącznie. On powiada, że w nas jeszcze za świeża pamięć poprzedniego istnienia, i że wogóle Słowianie mają inną misję. To jest wielki oryginał i filozof i mistyk. Ja się z nim sprzeczam i robię pieniądze, jak mogę, ale teraz na przykład, jak tak chodzę z panią po tym ogrodzie, to, doprawdy, zdaje mi się, że on ma słuszość.

I przez chwilę szli w milczeniu. Światło stawało się coraz bardziej rumiane i twarze mieli jakby zanurzone w czerwonym blasku. Przyjazne, wzajemne uczucia wzrastały w nich z każdą chwilą. Było im z sobą dobrze i spokojnie.

Połaniecki odczuwał to widocznie, gdyż po jakimś czasie

rzekł:

– Co mnie pani Chwastowska mówiła i co jest prawda, to, że do pani ma się w godzinę po poznaniu więcej ufności i bliżej się jest z nią, niż z kim innym w miesiąc. Teraz to sprawdziłem. Zdaje mi się, że panią znam od dawna. Myślę, że tylko osoby niezwykle dobre robią takie wrażenie.

A panna Marynia odpowiedziała z prostotą:

– Emilka kocha mnie bardzo i dlatego mnie chwali. Choćby to była prawda, co ona mówi, to jednak przypuszczam, że nie ze wszystkimi taka być potrafię.

– Wczoraj, rzeczywiście, zrobiła pani na mnie inne wrażenie, ale była pani zmęczona i senna.

– Byłam trochę.

– I czemu pani spać nie poszła! Służący mógł mi zrobić herbaty, a wreszcie byłoby się i bez tego obeszło.

– Nie, tak mało gościnni nie jesteśmy. Papa mówił, że wypada, by które z nas pana przyjęło. Bałam się, że zechce sam czekać, a jemu to szkodzi, więc wolałam go zastąpić.

Połaniecki pomyślał: „Pod tym względem mogłaś być spokojną, ale jesteś pocziwa, że starego egoistę osłaniasz.”

Następnie rzekł:

– Przepraszam panią i za to, że zaraz zacząłem mówić o interesach. To kupieckie przyzwyczajenie. Ale też potem sam sobie powiedziałem: „Jesteś taki, owaki!” – i ze wstydem przepraszam.

– Niema za co, bo niema winy. Panu powiedziano, że ja się

wszystkiem zajmuję, więc pan udał się do mnie.

Zwolna zorze rozpalały się coraz mocniej. Po jakimś czasie wrócili ku domowi, o ile że wieczór zapowiadał się piękny, więc siedli na werandzie ogrodowej. Połaniecki wszedł na chwilę do salonu, poczem wrócił ze stołeczkiem od nóg i, przyklękawszy, zaczął go podsuwać pod stopy panny Maryni.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – odpowiedziała, pochylając się i obejmując rękoma suknię – jaki pan dobry! dziękuję bardzo!

A on mówił:

– Ja jestem z natury nieuważny, ale wie pani, kto mnie nauczył trochę troskliwości? Litka. Ją trzeba nadzwyczaj ochraniać i pani Chwastowska musi o tem pamiętać.

– I ona pamięta – odrzekła panna Marynia – i wszyscy będziemy jej w tem pomagali. Gdyby była nie wyjechała do Reichenhallu, byłabym ją zaprosiła do nas.

– A jabym przyjechał za Litką bez zaproszenia.

– Więc zapraszam pana w imieniu papy raz na zawsze.

– Niech pani tego lekko nie mówi, bom gotów nadużyć grzeczności. Mnie tu jest bardzo dobrze, więc, ilekroć będzie mi źle w Warszawie, to tu ucieknę – pod opiekę pani...

Teraz Połaniecki wiedział już, że słowa jego przeznaczone są na to, by ich zbliżyć, by nawiązać między nimi sympatyę, i mówił je równie umyślnie, jak szczerze, a mówiąc, patrzył na tę łagodną, młodą twarz, która, oświecona zachodzącym słońcem, wydawała się jeszcze spokojniejsza niż zwykle. Panna Marynia podniosła też na niego swe niebieskie oczy, w których było jakby

pytanie: „Czy mówisz to wypadkiem, czy umyślnie?” i odrzekła nieco ciszej:

– Dobrze.

I oboje umilkli, czując, że istotnie coś zawiązuje się między nimi.

– Dziwi mnie, że papa nie wraca – rzekła wreszcie panna Marynia.

Rzeczywiście słońce zaszło; w czerwonym zmierzchu począł krążyć cichym lotem lelek, a w stawie ozwały się żaby.

Lecz Połaniecki nie odpowiedział na uwagę panienki i, jakby pograżony we własnych myślach, zaczął mówić:

– Ja nie analizuję życia, bo nie mam na to czasu. Gdy mi jest dobrze, jak na przykład w tej chwili, to czuję, że dobrze, gdy źle, to źle – ot i wszystko. Ale przed pięciu lub sześciu laty było inaczej. Była nas cała paczka ludzi, którzy się schodzili na rozprawy o znaczeniu życia. Było kilku uczonych i jeden literat, dziś dość znany w Belgii. Zadawaliśmy sobie pytania: dokąd idziemy, jaki wszystko ma sens, jaką wartość i jaki koniec? Czytywaliśmy pesymistów i gubiliśmy się w rozmaitych pytaniach, bez dna, tak jak mój jeden znajomy, asystent przy katedrze astronomii, który, jak zaczął się gubić w przestrzeniach międzyplanetarnych, tak zgubił w nich mózg... I potem mu się zdawało, że jego głowa krąży po paraboli w nieskończoności... Później wyzdrowiał i został księdzem. My również nie mogliśmy do niczego dojść, na niczem odpocząć... Zupełnie jak to ptactwo, które leci przez morza i nie ma na czym

usiąść. Ale ja wreszcie spostrzegłem dwie rzeczy: oto naprzód, że moi Belgowie biorą to wszystko mniej do serca, niż ja... my jesteśmy naiwniejsi... Powtóre, że mi się ochota do roboty psuje i że robię się niedołęgą. Wówczas wziąłem się za uszy i zacząłem na umor farbować perkaliki. Potem też powiedziałem sobie tak: życie jest w prawach natury – czy mądrych, czy głupich, mniejsza z tem – ale jest. Życ trzeba, więc trzeba z życia wydobyć, co się da. I chcę coś wydobyć. Waskowski powiada wprawdzie, że my, Słowianie, nie potrafimy na tem poprzestać, ale to się tak gada. Że na samych pieniądzach nie potrafimy – na to od biedy zgoda. Ale ja sobie powiedziałem, że prócz pieniędzy są jeszcze dwie rzeczy: spokój – i wie pani co? – kobieta. Bo trzeba, żeby człowiek miał się z kimś wszystkim podzielić. Potem musi być śmierć – dobrze! ale gdzie się zaczyna śmierć, tam się ludzka głowa kończy. „*That's not my business!*” jak powiada Anglik. Tymczasem trzeba mieć komu to oddać, co człowiek ma i zdobywa – czy to pieniądze, czy zasługę, czy sławę... Jeśli są dyamenty na księżycu, to wszystko jedno, bo niema nikogo, ktoby uznał, że one coś warte. Tak samo i człowiek musi mieć kogoś, ktoby go uznawał. A ja sobie myślę: kto mnie uzna, jeśli nie kobieta – byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna i bardzo moja i bardzo kochana. To wszystko, czego można chcieć, bo z tego idzie spokój – i to jest jedyna rzecz, która ma sens. Ja to mówię nie jako poeta, ale jako człowiek pozytywny i kupiec. Mieć przy sobie drugą głowę – to jest i cel. A potem niech będzie co chce. Oto moja filozofia.

Połaniecki twierdził, że mówi jak kupiec, ale mówił także jak człowiek rozmarzony, bo tak podział na niego i ten wieczór letni, i obecność tej młodej dziewczyny, która pod tak wieloma względami odpowiadała tym wygłoszonym przed chwilą poglądom. Połanieckiemu również musiało to przyjść do głowy, gdyż, zwróciwszy się wprost do niej, rzekł:

– Ja tak ot myślę, ale i z tem się zwykle przed ludźmi nie wygaduję. Dziś mi się jakoś na to zebrało, bo powtarzam, że pani Emilia ma słuszość: z panią się jest w jeden dzień bliżej, niż z innemi w rok. Pani musi być bajecznie dobra! Oto, byłbym głupstwo zrobił, gdybym nie przyjechał do Krzemienia. I będę przyjeżdżał tak często, jak pani pozwoli.

– Niech pan przyjeżdża... często.

– Dziękuję.

I wyciągnął rękę, a panna Marynia podała mu także dłoń, jakby na znak przymierza.

Ach, jak i on się jej podobał, ze swoją twarzą szczerą, męską, ze swoją ciemną czupryną i pewną dzielnością w całej postawie, ze swemi żywemi oczyma! Przywiózł przytem tyle tych tchnień, których jej w Krzemieniu brakło; jakieś nowe widnokreśli, wybiegające daleko poza staw i olszyny, które zamykały widnokrąg krzemieński. Zrobili też jednego dnia tyle drogi, ile jej można było zrobić.

Siedzieli więc znowu jakiś czas w milczeniu i wędrowali dalej, w milczeniu równie pospiesznie, jak w rozmowie. Marynia wskazała wreszcie ręką na światło, które się zwiększało za

olszynami, i rzekła:

– Księżyc.

– Aha! księżyc! – powtórzył Połaniecki.

Ów zaś rzeczywiście wysuwał się zwolna z za olszyn, czerwony i wielki jak koło. Ale tymczasem psy zaszczekały, powozik zaturkotał z drugiej strony domu, i po chwili, w salonie, do którego poprzednio już wniesiono lampy, ukazał się pan Pławicki.

Marynia weszła do salonu, Połaniecki za nią.

– Nic się nie stało – rzekł pan Pławicki. – Zajechała ich Chromecka, że zaś myśleli, że odjedzie wkrótce, więc nie dawali znać. Jamisz trochę chory, ale jutro wybiera się do Warszawy. Ona obiecała się tu pojutrze.

– Więc wszystko dobrze? – spytała Marynia.

– Dobrze. A wy coście tu porabiali?

– Słuchaliśmy żab – odpowiedział Połaniecki – i dobrze nam było.

– Pan Bóg wiedział na co i żaby stworzył, więc choć mi spać po nocy nie dają, nie narzekam. Ale tymczasem niech Marynia da herbaty.

Herbata czekała gotowa w drugim pokoju. Pan Pławicki opowiadał przy niej o swojej wizycie u Jamiszów. Młodzi byli milczący, tylko od czasu do czasu spoglądali na siebie pełnemi światła oczyma i na dobranoc uścisnęli się bardzo mocno za ręce.

Panna Marynia czuła pewną ociężałość, rozbierając się, jakby ją ten dzień zmęczył; ale było to dziwne jakieś i miłe zmęczenie.

Potem, gdy już jej główka wsparła się na poduszce, nie myślała o tem, że jutro poniedziałek, że zaczyna się nowy tydzień powszedniej roboty, tylko myślała o Połanieckim i w uszach jej brzmiały jego wyrazy:

– Kto mnie uzna, jeśli nie kobieta, byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna, bardzo moja i bardzo kochana.

Połaniecki zaś mówił sobie, zapalając w łóżku papierosa:

– Dobrze to, śliczne, miłe – gdzie taka druga?

III

Lecz nazajutrz był szary dzień i panna Pławicka obudziła się z wyrzutami. Zdawało jej się, że wczoraj dała się unieść jakimś prądowi dalej, niż należało i że wprost była z Połanieckim kokietką. Przejmowało ją to szczególnym niesmakiem z tego głównie powodu, że jednak ów Połaniecki przyjechał jako wierzyciel. Wczoraj o tem zapomniała, dziś zaś mówiła sobie: „Niechybnie przyjdzie mu do głowy, że go chciała ująć lub ułagodzić” – i na tę myśl krew napłynęła jej do policzków i czoła. Miała ona naturę prawą i wiele ambicyi, która wzburzała się na każde przypuszczenie, że może być posądzoną o wyrachowanie. Teraz, uwierzywszy w możliwość takiego posądzenia, uczuła z góry jakby urazę do Połanieckiego. Jedną jeszcze przytem myśl była nad wszelki wyraz przykrą: oto wiedziała, że wogóle w kasie krzemienieckiej grosz nie może grosza dogonić, że pieniędzy niema, i że, jeżeli, wskutek zamierzonej parcelacyi Magierówki, były na nie w przyszłości widoki, to ojciec będzie się wykręcał, gdyż inne długi uważa za pilniejsze od długu Połanieckiego. Obiecywała sobie wprawdzie, że zrobi wszystko, co będzie w jej mocy, by Połaniecki został koniecznie i przed innymi spłacony, ale wiedziała, że niewiele może wskórać. Ojciec wyręczał się nią chętnie w gospodarstwie, ale w sprawach pieniężnych rządził się sam i rzadko kiedy słuchał jej zdania. Rola jego pod tym względem polegała wprawdzie na wykręcaniu się wszystkim

ze wszystkiego, na obietnicach nigdy niedotrzymywanych, na zwłokach i na przedstawianiu urojonych obliczeń i nadziei za rzeczywistość. Ponieważ dochodzenia wiarytelności, opartych na hipotekach ziemskich, same przez się są trudne i powolne, a obrona daje się przedłużać niemal dowolnie, przeto pan Pławicki trzymał się istotnie przy Krzemieniu dzięki swemu systemowi. W końcu groziło to wszystko równie nieubłaganą, jak zupełną ruiną, tymczasem jednak stary człowiek uważał się za „głowę od interesów” i tem niechętniej słuchał zdań i rad córki, że zaraz posadzał ją, iż wątpi o jego „głowie” – to zaś obrażało w najwyższym stopniu jego miłość własną.

Panna Marynia przeszła już z powodu tej „głowy” i jej sposobów przez niejedno upokorzenie. Życie jej wiejskie było tylko pozorną sielanką pracy i gospodarskich zajęć. Nie brakło w niem ani przykrości, ani bólów, i jej spokojna twarz mogła oznaczać nietylko słodycz charakteru, ale i jego siłę, a przytem wielkie wyrobienie duchowe. Lecz upokorzenie, które groziło teraz, wydało się jej trudniejsze do zniesienia od innych.

– „Niechże on przynajmniej mnie nie posadza!” – mówiła sobie. Ale jak mogła na to poradzić? Pierwszą jej myślą było wezwać Połanieckiego na rozmowę, wprzód nimby się widział z jej ojcem, i wyznać mu cały stan rzeczy, jak się wyznaje człowiekowi, do którego się ma ufność. Następnie przyszło jej do głowy, że taka rozmowa byłaby nie czem innem, jak prośbą o wyrozumiałość, litość, a zatem upokorzeniem. Gdyby nie to, że panna Marynia, jako kobieta odczuwająca wszystkie

drgnienia swego serca i innych, czuła nawpół świadomie, nawpół instynktowo, że między nią a tym młodym człowiekiem coś się od razu zapowiedziało, coś się już prawie zaczęło – a zwłaszcza, że coś mogło i musiało stać się w przyszłości nieuniknionem, byłaby się jednak chwyciła tej drogi. Lecz wobec takiego stanu rzeczy zdawało jej się, że nie może. Pozostawało jej tylko jedno: zobaczyć się z Połanieckim, zatrzeć swoim obejściem się z nim wczorajsze wrażenia, porozrywać te nici sympatii, które wzajem między sobą nawiązali, i dać mu zupełną swobodę postępowania. Taki sposób wydał jej się najlepszy, więc dowiedziawszy się od służącej, że Połaniecki nietylko już wstał, ale wyszedł po herbacie ku gościńcowi, postanowiła go odszukać.

I przyszło jej to łatwo, on bowiem wrócił już z rannej przechadzki i, stojąc za boczną ścieżką ganku, porośniętego dzikiem winem, rozmawiał z tymi samymi dwoma psami, które w dniu przyjazdu tak się do niego łąsiły. Nie spostrzegł też jej od razu, i Marynia, stojąc na stopniach, słyszała, jak mówił do psów:

– To psiska żołąd biorą za pilnowanie domu – co? osypkę jedzą – co? a na obcych nie szczekają, jeszcze się łąsają. A głupie kundysy, a próżniaki!

I klepał je po białych głowach. Następnie, ujrzawszy ją przez szpary w winie, skoczył, jak wyrzucony z procy, i stanął przed nią wesoły i rozjaśniony.

– Dzień dobry pani. Ja sobie tu z psami rozmawiam. Jak pani spała?

– Dziękuję.

I chłodno wyciągnęła ku niemu rękę, on zaś patrzył na nią oczyma, w których najwyraźniej widać było, jak wielką i głęboką przyjemność czyni mu jej widok.

I on nie mniej podobał się biednej pannie Maryni. Po prostu podobał jej się z całej duszy. Serce też ścisnęło się jej żalem, że na jego serdeczne „dzień dobry” wypada jej odpowiadać tak ceremonialnie i zimno.

– Może pani idzie do gospodarstwa? To, jeśli pani pozwoli, pójdę razem. Dziś muszę wracać do miasta, więc dobra mi jedna więcej chwila w towarzystwie pani. Bóg widzi, że gdybym mógł, tobym został tu dłużej. Ale znam teraz drogę do Krzemienia.

– Prosimy zawsze, jeśli panu kiedykolwiek czas pozwoli.

Połaniecki zauważył teraz chłód bijący od jej słów, od jej twarzy, i zaczął patrzeć na nią ze zdziwieniem. Jeśli jednak panna Marynia liczyła, że uczyni on tak, jak zwykle ludzie czynią, i dostroi się natychmiast do jej tonu, to się zawiodła. Połaniecki zbyt był żywym i śmiałym, by od razu nie spytać o przyczynę.

Jakoż, patrząc jej ciągle w oczy, rzekł:

– Coś pani jest?

Marynia zmieszana się:

– Pan się myli.

– Nie. I ja dobrze widzę, i pani dobrze wie, że się nie mylę. Pani jest dla mnie taka, jak była pierwszego wieczoru. Ale wtedy ja zawiniłem, bom zaczął nie w porę mówić o pieniądzach. Wczoraj przeprosiłem panią za to i było dobrze – i jak dobrze!

Dziś znów jest inaczej – niechże mi pani powie dlaczego?

Żadna, najzręczniejsza dyplomacya nie zdołałaby bardziej zblić z tropu panny Maryni. Oto jej się zdawało, że zdoła go swem postępowaniem oziębic i oddalić, on zaś, pytając tak wręcz, raczej zbliżał się jeszcze bardziej.

I mówił dalej tonem człowieka, któremu wyrządzają niesprawiedliwość:

– Niech mi pani powie szczerze, co to jest? niech pani powie! Ojciec pani mówił, że wczoraj miałem być gościem a dziś wierzycielem. Ale to jest głu.... to jest nic! Ja się na takich różnicach nie rozumiem, a wierzycielem pani nigdy nie będę, chyba dłużnikiem, bom już pani dłużny i wdzięczny za tę wczorajszą dobroć – i Bóg widzi, jak mi chodzi o to, bym zawsze mógł być dłużny.

I znów patrzył w jej oczy, pilnie bacząc, czy w nich nie zjawi się wczorajszy uśmiech; lecz Marynia, której serce ścisnęło się coraz bardziej, szła dalej drogą, którą obrała, raz dlatego, że ją już obrała, a powtóre i z obawy, by przyznawszy, że dziś jest inną, nie była zmuszoną do wyjaśniania przyczyn.

– Upewniam – odrzekła wreszcie z pewnem wysileniem – że albo się pan mylił wczoraj, albo się myli dziś. Ja jestem zawsze jednakowa i zawsze będzie mi miło, jeśli pan wywiezie od nas dobre wspomnienie.

Słowa były grzeczne, ale mówiła je panienka tak niepodobna do wczorajszej, że na twarzy Połanieckiego zaczęło się przebijać zniecierpliwienie i gniew.

– Jeśli pani chodzi o to – rzekł – bym udawał, iż w to wierzę, to niech będzie, jak pani chce. Wyjadę jednak z przekonaniem, że na wsi poniedziałek bardzo się różni od niedzieli.

Marynię dotknęły te słowa, wyglądały one bowiem tak, jakby Połaniecki rościł sobie już jakieś prawa z powodu jej wczorajszego obejścia się z nim. Ale odpowiedziała raczej ze smutkiem, niż z gniewem:

– Cóż ja na to poradzę!

I po chwili odeszła, oświadczwszy, że musi pójść powiedzieć dzień dobry ojcu. Połaniecki został sam; odpędził psy, które znów próbowały łąsić się, i zaczął się złościć.

– Coto jest? – pytał w duchu. – Wczoraj dobrze, dziś źle! Zupełnie inna kobieta. Jakie to wszystko głupie, jakie marne! Wczoraj krewny – dziś wierzyciel. Co jej do tego? Czemu mnie jak psa traktuje? Czym kogo ograbił? Wiedziała i wczoraj, po com przyjechał. Dobrze! Chcecie mnie mieć wierzycielem, nie Połanieckim – dobrze! Niechże to piorun trzaśnie!

Marynia tymczasem wbiegła do pokoju ojca. Pan Pławicki wstał już i siedział przybrany w szlafrok przed biurkiem zapełnionem papierami. Na chwilę odwrócił się, by odpowiedzieć na dzień dobry córki, poczem zaraz zajął się nanowo czytaniem papierów.

– Papo – rzekła Marynia – przyszłam pomówić o panu Połanieckim... czy papa...

Lecz on jej przerwał, nie przestając patrzeć na papiery.

– Twojego Połanieckiego ugniotę w rękę, jak wosk.

– Wątpię, czy to będzie łatwo. Wreszcie jabym chciała, żeby on przed innymi był spleciony, choćby z największą naszą stratą.

Wówczas pan Pławicki odwrócił się od biurka i zaczął na nią patrzeć. Potem spytał zimno:

– Proszę. Czy to opieka nad nim, czy nademną?

– To jest kwestya naszego honoru...

– W czym, jak sądzisz, potrzebuję twojej rady?

– Nie, papo, ale...

– Co za patetyczny dzień nam nastał! Co tobie jest?

– Ja tylko proszę papy na wszystko...

– A ja cię także proszę, byś to zostawiła mnie. Usunęłaś mnie od gospodarstwa – i ustąpiłem, bo o te parę lat, które mi do życia zostają, nie chcę się sprzeczać z rodzonem dzieckiem. Ale zostawże mi choć ten kąt w domu, choć tę jedną izbę, i pozwól mi załatwiać te sprawy, które się w niej załatwić dają.

– Papo drogi, przecie ja tylko proszę...

– Żebym się przeniósł na folwark? któreż czworaki mi wyznaczasz?

Tu pan Pławicki, który mówiąc o „patetycznym” dniu, widocznie nie chciał tylko, by ktoś dzielił z nim monopol, powstał w swoim perskim szlafroku, jak król Lear, i chwycił za poręcz fotelu, dając przez to do zrozumienia okrutnej córce, że inaczej, rażony jej okrucieństwem, padłby jak długi na ziemię. Lecz jej łzy cisnęły się do oczu, a gorzkie poczucie własnej bezsilności napływało do serca. Przez chwilę stała w milczeniu, walcząc z żalem i ochotą do płaczu, poczem rzekła cicho:

– Przepraszam papę...

I wyszła z pokoju.

W kwadrans potem wszedł do niego, na żądanie pana Pławickiego, Połaniecki, ale zły, rozdrażniony, lubo usiłujący nad sobą panować.

Pan Pławicki, powitawszy się z nim, usadził go przy sobie na krześle, z góry przygotowanym i, wzięwszy go dłonią za kolano, spytał:

– Stachu, wszak tego domu nie spalisz? Wszak mnie, którym ci ręce otworzył, jak krewny, nie zamordujesz? wszak mi dziecka nie uczynisz sierotą?

– Nie – odrzekł Połaniecki – domu nie spalę, wuja nie zarznę i żadnego dziecka nie uczynię sierotą. Proszę nawet, by wuj w ten sposób nie zaczynał mówić, bo to do niczego nie doprowadzi, a dla mnie jest nieznośnem.

– Dobrze – odpowiedział pan Pławicki, nieco jednak dotknięty tem, że jego styl i sposób wyrażania się tak małe zyskują uznanie; – pamiętaj tylko, że do mnie i do tego domu przyjeżdżałeś jeszcze dzieckiem.

– Przyjeżdżałem, bo przyjeżdżała matka, a matka po śmierci ciotki Heleny przyjeżdżała dlatego, że wuj nie płacił procentów. To wszystko nie ma się nic do rzeczy. Suma tkwi na hipotecę od dwudziestu jeden lat. Z procentami zaległymi wynosi około dwudziestu czterech tysięcy rubli. Dla okrągłości niech będzie dwadzieścia równo – ale tych dwadzieścia muszę mieć, bo po to przyjechałem.

Pan Pławicki pochylił głowę z rezygnacją.

– Po to przyjechałeś?... Tak. Ale czemu ty byłeś wczoraj taki inny, Stachu?

Połaniecki, który pół godziny temu zadał to samo pytanie pannie Maryni, aż podskoczył na krześle, ale pomiarkował się jeszcze i rzekł:

– Proszę o przystąpienie do interesu.

– Ja się przed tem nie cofam, tylko pierwej pozwól mi powiedzieć parę słów i nie przerywaj mi. Mówiłeś, że procentów nie płacił. Prawda. Ale czy wiesz dlaczego? Matka twoja nie oddała mi przecie całego swego majątku i nie mogła tego bez pozwolenia rady familijnej uczynić. Może gorzej dla was, że się tak nie stało, ale mniejsza z tem. Ostatecznie, wziąwszy te kilkanaście tysięcy rubli, powiedziałem sobie tak: kobieta została sama na świecie, z jedynem dzieckiem – niewiadomo, jak sobie poradzi, niewiadomo, co może wypaść – niechże te pieniądze, które ma u mnie, będą jej funduszem żelaznym, niech rosną, by w danym razie miała o co ręce zacześcić. I od tej pory byłem jakby waszą kasą oszczędności. Matka dała mi dwanaście tysięcy rubli – dziś masz u mnie przeszło dwadzieścia cztery. Oto rezultat. A teraz: czyż zapłacisz mi za to niewdzięcznością?

Na to Połaniecki rzekł:

– Kochany wuju Pławicki: proszę mnie nie brać ani za głupszego, niż jestem, ani za waryata. Powiadam po prostu, że na takie plewy ja się nie złapię – bo za grube. Powiadasz wuj, że

mam dwadzieścia cztery tysiące rubli – więc gdzie są? Proszę o nie – bez gadaniny i jeszcze takiej!

– A ja cię proszę o cierpliwość i umiarkowanie, choćby dlatego, że jestem starszy – odrzekł z urazą i godnością pan Pławicki.

– Mam wspólnika, który za miesiąc wnosi dwanaście tysięcy rubli na umówiony interes – ja muszę wnieść tyleż. Powiadam to jasno i oświadczam, że po dwóch latach kołatania listami – nie mogę i nie będę dłużej cierpliwy.

Pan Pławicki wsparł rękę na biurku, czoło na dłoni – i milczał.

Połaniecki patrzył na niego, czekając odpowiedzi – patrzył z wzrastającą niechęcią i w duszy zadawał sobie pytanie: Czy to jest kręciciel? czy bzik? czy egoista, tak zaślepiony w sobie, że dobro i zło mierzy tylko własną wygodą? – czy wreszcie wszystko razem?

Tymczasem pan Pławicki trzymał czoło ciągle ukryte w dłoni i milczał.

– Nareszcie chciałbym coś wiedzieć... – zaczął Połaniecki.

Lecz tamten potrząsnął ręką, dając znać, że chce być jeszcze sam ze swymi myślami.

I nagle podniósł rozjaśnioną twarz.

– Stachu – rzekł – po co my się kłócimy, kiedy jest tak prosty sposób wyjścia.

– Jaki?

– Bierz margiel!

– Co?

– Sprowadź tu swego wspólnika, sprowadź jakiego

specjalistę, oszacujemy mój margiel i zrobimy we trzech współkę. Twój... jak się tam nazywa? Bigiel? spłaci mi tyle, ile na niego wypadnie, ty albo coś dopłacisz, albo nie – i pójdziemy razem, a zyski mogą być olbrzymie.

Połaniecki wstał.

– Proszę pana – rzekł – do jednej rzeczy nie jestem przyzwyczajony, mianowicie, żeby ktoś drwił ze mnie. Ja nie chcę pańskiego marglu – tylko moich pieniędzy, a to, co mi pan mówisz, uważam po prostu za niegodne, albo bezrozumne wykręty.

Nastąpiła chwila ciężkiej ciszy. Jowiszowy gniew zaczął się zbierać w brwiach i na czole pana Pławickiego. Przez chwilę piorunował śmiałka oczyma, poczem, przysunawszy się szybko do kołków, na których wisiała broń, zdjął myśliwski nóż i, podając Połanieckiemu, rzekł:

– A więc jest inny sposób: uderzaj!

I otworzył szeroko szlafrok, lecz Połaniecki, nie panując już nad sobą, odtrącił rękę z nożem i zaczął mówić podniesionym głosem:

– To jest licha komedia – nic więcej! Z panem szkoda tracić słów i czasu. Wyjeżdżam, bo mam dosyć pana i pańskiego Krzemienia, ale zapowiadam, że sumę moją sprzedam choćby za pół ceny pierwszemu z brzoza żydowi, który potrafi sobie z panem poradzić.

Na to prawa ręka pana Pławickiego wyciągnęła się uroczyście.

– Idź – rzekł – sprzedawaj! wpuść żyda w gniazdo rodzinne,

ale wiedz o tem, że przekleństwo moje i tych, którzy tu żyli, znajdzie cię wszędzie.

Połaniecki wypadł z pokoju biały ze złości, w salonie zaś kłął, co wlaźło, szukając swego kapelusza. Znalazłszy go wreszcie, chciał wyjść, obaczyć, czy bryczka nie zajechała, gdy wtém weszła Marynia. Na jej widok pomiarkował się nieco, lecz, przypomniawszy sobie, że właściwie to ona zajmuje się wszystkim w Krzemieniu, rzekł:

– Żegnam panią. Sprawę z ojcem pani skończyłem. Ja przyjechałem po moją należność, a on dał mi naprzód błogosławieństwo, potem margiel, a potem przekleństwo. Dobry sposób spłacania należności!...

Była chwila, że Marynia chciała wyciągnąć do niego rękę i powiedzieć: „Ja rozumiem pański gniew; przed chwilą byłam także u ojca i błagałam go, żeby pana spłacił przed wszystkimi. Niech pan postąpi z nami i z Krzemieniem, jak pan chce, ale niech pan mnie nie obwinia, niech pan nie myśli, że ja należę do spisku przeciw panu, i niech pan ma dla mnie choć trochę szacunku”.

I już jej ręka wysuwała się naprzód, już powyższe słowa zawisły jej na ustach, gdy Połaniecki, podniecając się coraz bardziej wewnątrz i tracąc nanowo coraz bardziej równowagę, dodał:

– Oświadczam to pani dlatego, że gdy pierwszego wieczora chciałem być mówić z panią, pani obraziła się i odesłała mnie do ojca. Dziękuję za skuteczną radę, ale że ona lepsza dla państwa

niż dla mnie, więc następną sam obmyślę.

Wówczas usta Maryni pobladły, w oczach zaświeciły łzy oburzenia, a zarazem głębokiej urazy. Podniosła głowę i rzekła:

– Może pan mówić jakie chce obelgi, bo za mną nikt się nie ujmie...

I zawróciła ku drzwiom, pełna w duszy upokorzenia i niemal rozpacz, że to są jedyne owoce, jakie zbiera za swoją pracę, w którą kładzie wszystkie siły i cały zapał swojej młodej, prawej duszy. Połaniecki spostrzegł też, że przebrał miarę. Mając uczucia bardzo żywe, przeszedł w jednej chwili do litości – i chciał biedz za nią, przeproszać, ale już było za późno. Marynia wyszła.

To przyprawiło go o nowy napad złości. Tym razem jednak ogarnął tą złością i siebie samego. Nie żegnając się już z nikim, siadł na bryczkę, która tymczasem zajechała, i ruszył z Krzemienia. W duszy wrzał mu taki gniew, że przez czas jakiś nie mógł myśleć o niczem innem, tylko o zemście: „Sprzedam, choćby za trzecią część ceny, i niech was trądują! Daję sobie słowo uczciwego człowieka, że sprzedam. Choćbym nie potrzebował, sprzedałbym – na złość!”

I w ten sposób zamiar zmienił się w zawzięte i zaprzysiężone postanowienie, Połaniecki nie był zaś z rodzaju ludzi, którzy nie dotrzymują przyrzeczeń, danych bądź komukolwiek, bądź sobie. Chodziło teraz jedynie o to, czy znajdzie kupca na sumę tak trudną do wydobycia, że, aby dojść do niej, trzeba było, bez przerośni, rozgryźć „Krzemień”.

Tymczasem bryczka wytoczyła się z alei na otwartą polową drogę. Połaniecki, ochłonawszy nieco, zaczął teraz myśleć o Maryni, w taki mozajkowy sposób, złożony z poczucia jej uroku, z wrażeń, jakie uczyniła na nim jej twarz i postawa, ze wspomnień o niedzielnej rozmowie, z niechęci, litości, urazy, zawziętości, a wreszcie z niezadowolenia z siebie, które potęgowało jeszcze zawziętość względem niej. Jedno z tych uczuć brało naprzemian górę nad innemi i narzucało im swą barwę. Chwilami przypominał sobie wysoką postać Maryni, jej oczy, jej ciemne włosy, jej śliczne, lubo może za szerokie usta, wreszcie jej wyraz – i opanowywał go poryw sympatii ku niej. Myślał, że jest ogromnie dziewicza, a zarazem, w ustach, w ramionach, w liniach całej postawy, ma coś kobiecego, co pociąga ku sobie z niepohamowaną siłą. Przypomnił sobie jej głos łagodny, jej spokojne wejrzenie i jej bardzo widoczną dobroć. Wówczas, na myśl, jak był dla niej szorstki przed wyjazdem, na wspomnienie tonu, jakim do niej mówił, poczynął kląć siebie. „Jeśli ojciec jest stary komedyant, krętacz i głupiec (mówił sobie), i jeśli ona to wszystko czuje, to jest tem nieszczęśliwsza. A więc co? więc każdy człowiek z kawałkiem serca byłby to zrozumiał i zlitował się nad nią, nie zaś napadał na zapracowane biedne dziecko – ja to zrobiłem, ja!” Tu miał ochotę spoliczkować się, bo zarazem wyobrażał sobie, coby to było, jakie niezmierne zbliżenie, jaka wyjątkowa tkliwość byłaby powstała między nimi, gdyby po całej kłótni z ojcem obszedł się z nią, jak był powinien, to jest z największą delikatnością.

Byłaby mu oto podała obie ręce na pożegnanie, a onby je ucałował – i rozjechaliby się, jak dwoje ludzi sobie blizkich. „Niechby wreszcie dyabli wzięli pieniądze!” – powtarzał w duchu – „a teraz niech wezmą i mnie!” I czuł, że porobił rzeczy, które się już nie dadzą naprawić, to zaś poczucie odbierało mu resztę równowagi i popychało tem bardziej po tej drodze, której błędność uznawał. I znów zaczynał monologować mniej więcej w taki sposób: „Skoro wszystko stracone, niechże się wszystko spali. Sprzedam sumę byle żydowi – niech ich straduje, niech wylecą na bruk, niech stary szuka urzędu, a ona niech idzie na guwernantkę, albo za Gątowskiego...” Tu nagle poczuł, że zgodzi się raczej na wszystko, niż na tę ostatnią myśl. – Gątowskiemu nadkręciłby karku! Niech ją kto chce bierze, byle nie taki bałwan, taki niedźwiadek, taki ryfa. I piękne epitety zaczęły się sypać na nieszczęśliwego Gątowskiego; na niego przeszła cała złość, jakby on rzeczywiście był sprawcą wszystkiego, co się stało. Przyjechawszy w tak ludożerczem usposobieniu do Czerniowa, byłby może Połaniecki, jak drugi Ugolin, wpił się od razu Gątowskiemu zębami „tam, kędy czaszka do barków przypada”, gdyby był go na stacyi spostrzegł. Na szczęście, zamiast „czaszki” Gątowskiego, spostrzegł tylko kilku urzędników, kilku chłopów, kilku żydów i pognąbioną a inteligentną twarz radcy Jamisza, który go poznał, a gdy pociąg niebawem nadszedł, zaprosił go, dzięki dobrym stosunkom z zawiadowcą, do osobnego przedziału.

– Znałem jeszcze pańskiego ojca – rzekł – i znałem go

za jego świetnych czasów. Wziąłem z jego sąsiedztwa żonę. Pamiętam, miał wtedy Zwichów, Brzęczącą, Mocarze i Rozwady w Lubelskiem. Piękna fortuna! Dziadek pański był jednym z większych właścicieli w tamtych stronach – ale to musiało teraz przejść w inne ręce.

– Nie teraz, ale już dawniej. Ojciec mój stracił za życia cały majątek. Był chory, mieszkał w Nizzy, nie pilnował i tak to poszło. Żeby nie sukcesya, którą po jego śmierci dostała matka, byłoby ciężko.

– Ale pan za to dajesz sobie dobrze rady. Ja znam wasz dom. Miałem z wami przez Abdulskiego interes o chmiel.

– To Abdulski dla pana pośredniczył?

– Tak, i muszę przyznać, że byłem ze stosunku zupełnie kontent. Wyszliście ze mną przyzwoicie – i widzę, że porządnie prowadzicie interesy.

– Inaczej nikt się nie ostoja. Mój wspólnik, Bigiel, jest uczciwy człowiek, a i ja nie jestem panem Pławickim – odpowiedział Połaniecki.

– Jakże to? – spytał zaintrygowany Jamisz.

Połaniecki, z resztkami niewygasłego jeszcze rozdrażnienia, opowiedział mu całą sprawę.

– Hm! – odrzekł Jamisz – skoro pan mówisz o nim tak bez ogródek, to pozwólże, abym i ja tak mówił, choć to pański krewny.

– On sam żaden krewny; pierwsza jego żona była krewną i przyjaciółką mojej matki – oto wszystko.

– Ja go znam od dziecka. To jest człowiek więcej popsuty, niż zły. Był jedynakiem, więc naprzód rozpieścili go rodzice, a potem czyniły to samo obie żony. Obie były kobiety ciche i łagodne, dla obydwóch był bożyszczem. Przez całe lata rzeczy układały się w ten sposób, że on był tem słońcem, koło którego kręcały się inne planety, i nareszcie doszedł do przekonania, że jemu się od świata należy wszystko, a ludziom od niego nic. W takich warunkach, gdy się zło i dobro własną tylko wygodą mierzy, nic łatwiejszego, jak zatracić zmysł moralny. Pławicki to jest mieszanina uroczystości i folgi: uroczystości, bo sam zawsze na chwałę swoją celebrował, a folgi, bo sobie na wszystko pozwalał. Zmieniło się to niemal w jego naturę. Potem przyszły też trudne okoliczności, którym potrafi się oprzeć tylko człowiek z charakterem, a on go nigdy nie miał. Zaczął się wykręcać i w końcu do tego przywykł. Nas, panie, ziemia uszlachetnia, ale też i ziemia psuje. Mnie jeden mój znajomy bankrut mówił: „To nie ja kręcę, to mój majątek kręci, a ja za niego gadam”. – I to trochę tak jest. Więcej w naszym zawodzie, niż w każdym innym...

– Wyobraź pan sobie – odpowiedział Połaniecki – że ja, który pochodzę z roli, nie mam żadnego pociągu do rolnictwa. Wiem, że ono będzie zawsze, bo być musi, ale w tej formie, jak jest dziś, nie widzę dla niego przyszłości. Wy wszyscy musicie zginąć.

– Ja też nie patrzę różowo. Pomijam, że ogólny stan rolnictwa jest w całej Europie zły, bo to rzeczy znane, ale pomyśl pan tylko: ma szlachcic czterech synów, więc każdy z nich odziedziczy tylko czwartą część ojcowskiego majątku. Tymczasem coś się

dzieje? Każdy, przywykły do ojcowskiej normy życia, chce żyć jak ojciec – ot już koniec łatwy do przewidzenia. Po drugie: ma szlachcic czterech synów – to zdolniejsi obierają rozmaite zawody, – na roli, o zakład, zostaje najmniej zdolny. Po trzecie: to, co całe szeregi pokoleń zapracowały, jedna lekkomyślna głowa zniszczy. Po czwarte: my jesteśmy nieźli rolnicy, a źli administratorowie, dobra zaś administracya znaczy więcej od dobrej uprawy roli: więc cóż za wniosek? ziemia zostanie, ale my, którzy ją dziś przedstawiamy, pod formą większej własności, prawdopodobnie musimy z niej wyjść. Tylko, widzisz pan, może z czasem wrócimy.

– Jakto?

– Bo naprzód, to, co pan mówisz, że pana do ziemi nic nie ciągnie, to jest złudzenie. Ziemia, panie, ciągnie i ciągnie z taką siłą, że każdy, przyszedłszy do pewnych lat, do pewnej zamożności, nie może się oprzeć chęci posiadania choćby kawałka ziemi. Przyjdzie to i na pana. I to jest naturalne. Ostatecznie, wszelkie bogactwo może być uważane za fikcję, prócz ziemi. Wszystko wychodzi z niej i wszystko istnieje dla niej. Jak bilet bankowy jest kwitkiem na monetę metalową, leżącą w banku państwa, tak i przemysł, i handel, i co pan chcesz, jest ostatecznie zmienioną na inny kształt ziemią... a co do was zwłaszcza, którzyście z niej wyszli, musicie do niej wrócić.

– Ja przynajmniej nie myślę.

– Co pan wiesz? Dziś robisz majątek, ale jak go zrobisz? I w tem jest przyszłość. Połanieccy byli rolnikami – teraz jeden obrał

inny zawód. Większość dzieci rolników musi także obrać inny zawód, choćby dlatego, że inaczej nie może. Część ich zmarnieje, część dorobi się i wróci – a wróci nietylko z kapitałem, ale z nową energią i z tą znajomością ścisłej administracyi, jaką specyalne zawody wyrabiają – wróci przez ten pociąg, który ziemia wywiera, i wreszcie z poczucia obowiązków, których panu tłumaczyć nie potrzebuje.

– To, co pan mówisz, ma tę dobrą stronę, że wówczas taki mój wujaszek-nie-wujaszek, Pławicki, będzie należał do typów zaginionych.

Pan Jamisz zamyślił się przez chwilę, poczem rzekł:

– Nić się ciągnie i ciągnie, póki się nie urwie, ale w końcu musi się urwać. Oni się nie utrzymają, mojem zdaniem, przy Krzemieniu, choćby rozparcelowali Magierówkę. Ot, kogo mi żal, to Maryni. To nadzwyczaj poczciwe dziecko. Bo pan nie wiesz, że stary chciał przed dwoma laty sprzedać Krzemień i wynieść się do miasta, i że nie stało się to w części na prośby Maryni. Czy to ze względu na pamięć matki, która tam leży, czy dlatego, że tyle się mówi i pisze o obowiązku trzymania się przy ziemi – dość, że dziewczyna robiła co mogła, by do sprzedaży nie dopuścić. Wyobrażało sobie biedactwo, że byle się wziąć ze wszystkich sił do roboty, można wszystkiego dokazać. I prawdziwie, że wyrzekła się całego świata dla tego Krzemienia. Dla niej to będzie cios, jak się nić wreszcie urwie, a musi się urwać... Szkoda dziewczyny lat.

– Pan jesteś dobry człowiek, panie radco! – zawołał

Połaniecki ze zwykłą sobie żywością.

Stary człowiek uśmiechnął się.

– Ja lubię to dziecko, bo to wreszcie i moja pupilka w zawodzie gospodarskim; pewnie, że będzie smutno, jak nam jej zbraknie.

Połaniecki zaczął przygryzać czas jakiś wąsy, wreszcie rzekł.

– Niech wyjdzie za mąż za kogo w okolicy, to i zostanie.

– Wyjdzie, wyjdzie... Niby to pannie bez majątku łatwo. Kto u nas jest? Gątownski. Tenby ją wziął. Dobry człowiek i wcale nie tak ograniczony, jak mówią. Ale ona nie ma dla niego uczucia, a bez uczucia nie wyjdzie. Jałbrzyków mały mająteczek. Staremu się przytem zdaje, że Gątownscy są czemś mniej od Pławickich – i Gątownski także już w to uwierzył. Jak to pan wie, u nas ten uchodzi za familianta, komu się podoba za takiego uważać. Bo ludzie niby się śmieją, a w końcu przywykają. Przytem jeden podnosi nosa dlatego, że się dorabia majątku, a drugi dlatego, że go traci – i nic innego mu nie pozostaje. Ale mniejsza z tem. To jedno wiem, że kto Marynię weźmie, perłę weźmie.

Połaniecki miał w tej chwili w duszy to samo i przekonanie i poczucie. Pograżywszy się więc w milczeniu, zaczął na nowo rozmyślać o Maryni, a raczej przypominać ją sobie i wyobrażać. Nagle wydało mu się nawet, że będzie bez niej tęsknił; ale przypomniał sobie także, że podobne rzeczy nieraz już mu się wydawały, a potem czas rozwiewał te złudzenia. Jednakże myślał o niej jeszcze nawet i wówczas, gdy zbliżali się już do miasta, i wysiadając w Warszawie, mruczał przez zęby:

– Jak się to głupio stało! jak głupio!...

IV

Po powrocie do Warszawy, pierwszy wieczór spędził Połaniecki w domu swego wspólnika Bigiela, z którym, jako z dawnym kolegą szkolnym, łączyła go i osobista zażyłość. Bigiel, z pochodzenia Czech, ale z rodziny, osiadłej w kraju od kilku pokoleń, prowadził już przed połączeniem się z Połanieckim niewielki dom bankowo-handlowy i zyskał sobie opinię kupca, niezbyt wprawdzie przedsiębiorczego, ale uczciwego i nadzwyczaj pewnego w stosunkach. Gdy Połaniecki jeszcze przed ostatecznym powrotem z zagranicy wszedł w spółkę, dom rozszerzył znacznie swą działalność i stał się poważną firmą. Wspólnicy dopełniali się doskonale. Połaniecki, nierównie zdolniejszy i bardziej rzutki, miał więcej pomysłów i ogarniał łatwiej całość każdej sprawy, natomiast Bigiel pilnował lepiej jej wykonania. Gdy chodziło o to, by okazać energię, lub przycisnąć kogoś do muru, tam Połaniecki był jedyny; natomiast gdy szło o rozmyśl, o obejrzenie interesu z dziesięciu stron i o cierpliwość, tam zaczynała się rola Bigiela. Uspokojeniem byli sobie wręcz przeciwni i może dlatego mieli dla się wzajemnie szczerą przyjaźń. Przewaga w stosunku była po stronie Połanieckiego. Bigiel wierzył w jego niepospolite zdolności, a kilka pomysłów, istotnie bardzo dla domu szczęśliwych, jakie dał Połaniecki od czasu wejścia w spółkę, utwierdziły tę wiarę. Marzeniem obojdwóch było

dojść z czasem do takiego kapitału, by mógł założyć fabrykę perkalów, którą kierowałby Połaniecki, administrował Bigiel. Ale, jakkolwiek obaj mogli się już liczyć do ludzi niemal zamożnych, była to odległa przyszłość. Mniej cierpliwy, a bardzo na wszystkie strony spokrewniony Połaniecki, próbował wprowadzić zaraz po przyjeździe do kraju poruszyć w tym celu miejscowe, tak zwane „swojskie” kapitały. Ale spotkała go ogólna nieufność. Zauważył przytem rzecz dziwną. Oto jego nazwisko otwierało mu wszystkie drzwi, ale raczej szkodziło, niż pomagało mu w interesie. Zdawać się mogło, że tym ludziom, do których się zgłaszał, nie mieściło się w głowie, jakim sposobem jeden z nich, zatem człowiek z dobrego domu i z nazwiskiem kończącym się na **ski**, może dobrze prowadzić jakikolwiek interes. Połanieckiego złościło to z początku tak, że roztropny Bigiel musiał gasić jego wybryki za pomocą przedstawień, iż podobna nieufność jest istotnie opartą na latach smutnych doświadczeń. I, znając dobrze historię rozmaitych przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych, cytował mu cały szereg nazwisk, poczynawszy od pana podskarbiego Tyzenhauza, a skończywszy na rozmaitych bankach włościańskich i Tellusach, które, prócz nazwy, nie miały w sobie nic ziemskiego, czyli, inaczej mówiąc, pozbawione były wszelkich realnych podstaw. – „Czas jeszcze nie przyszedł – mówił Bigiel – ale czas przyjdzie, a raczej już nadchodzi. Do tej pory było tylko amatorstwo i dyletantyzm, teraz dopiero zjawiają się tu i owdzie ludzie fachowi.”

Połaniecki, który mimo swego temperamentu, miał zmysł spostrzegawczy dość rozwinięty, poczynił przytem rozmaite dziwne odkrycia w tych sferach, do których jego stosunki otwierały mu przystęp. Oto spotykało go ogólne uznanie za to, że coś robił. Podnoszono to nawet z naciskiem, ale było w tem uznaniu jeszcze jakby pewne pobłażanie. Każdy dawał zanadto do poznania, że się na to zgadza, że uważa to za potrzebne, nikt zaś nie zachował się tak, jakby fakt, iż Połaniecki czemś się zajmuje, uważał za rzecz zupełnie zwykłą i naturalną. „Oni mnie wszyscy **protegują!**” – mówił Połaniecki – i to była prawda. Doszedł też do przekonania, że gdyby naprzykład chciał sięgnąć po rękę którejś z panien z tak zwanego „towarzystwa” – to jego dom bankowo-handlowy i nazwa „aferzysty” byłyby mu mimo owego uznania, raczej przeszkodą niż pomocą. Prędzejby mu oddano każdą z tych dziewczyn, gdyby, zamiast zyskowego przedsiębiorstwa, miał jaki obdłużony majątek, lub gdyby, żyjąc jak wielki pan, zjadał po prostu procenta od kapitału, albo nawet i sam kapitał.

Uczyniwszy całe tuziny tego rodzaju spostrzeżeń, Połaniecki zaczął zaniedbywać stosunki, a w końcu zaniechał ich zupełnie, poprzestając na domu Bigielów, pani Emilii Chwastowskiej i tych znajomościach męskich, jakie były konieczne przy jego życiu kawalerskiem. Jadał u François z Bukackim, ze starym Waskowskim i z adwokatem Maszko, z którymi ustawicznie rozprawiał i spierał się o rozmaite kwestye; bywał często w teatrze i na wszelkiego rodzaju zabawach publicznych, zresztą

prowadził życie dość odosobnione, i dlatego, mimo wielkiej i wyrozumowanej ochoty, jak również mimo dostatecznego majątku, dotychczas się nie ożenił.

Zajechawszy, po powrocie z Krzemienia, niemal wprost do Bigielów, wylał naprzód całą żółć na „wujaszka” Pławickiego, sądząc, że w gospodarzu znajdzie powolnego i współczującego słuchacza; ale Bigiel mało się wzruszył opowiadaniem i rzekł:

– Ja takie typy znam. Zresztą, prawdę powiedziawszy, skąd Pławicki weźmie pieniędzy, skoro ich nie ma? Z długami hipotecznymi trzeba mieć świętą cierpliwość. Majątek ziemski łatwo łyka pieniądze, ale oddaje je z największym wysileniem.

– Słuchaj, Bigiel – odrzekł Połaniecki – od czasu, jak tyjesz i sypiasz po obiedzie, z tobą trzeba mieć także świętą cierpliwość.

– Bo tak szczerze – mówił niewzruszony Bigiel – czy ty koniecznie potrzebujesz tych pieniędzy? Czy nie masz do rozporządzenia sumy, jaką każdy z nas obowiązany jest wnieść.

– Ciekawym, co tobie, albo Pławickiemu do tego? Mam u niego, muszę odebrać i skończyło się.

Wejście pani Bigielowej z całem stadkiem dzieci położyło tamę kłótni. Była to młoda jeszcze kobieta, ciemno-włosa, niebiesko-oka, bardzo dobra i bardzo zajęta dziećmi, których było sześcioro i które Połaniecki nadzwyczaj lubił. Była też za to szczerą jego przyjaciółką, jak również pani Emilii Chwastowskiej. Obie te panie, znając i kochając Marynię Pławicką, postanowiły ożenić z nią Połanieckiego, obie namawiały go bardzo silnie, by osobiście jechał po pieniądze

do Krzemienia; teraz więc pani Bigielowa płonęła ciekawością, jakie te odwiedziny uczyniły na nim wrażenie.

Ale z powodu dzieci nie można się było dogadać. Najmłodszy z tych, które już chodziły na własnych nogach, Jaś, objąwszy rękoma łydkę Połanieckiego, począł za nią ciągnąć, wołając: „Pan, pan!” – co w jego języku brzmiało: „Pam! pam!” – dwie dziewczynki, Ewka i Joasia, wgramoliły się bez ceremonii na kolana młodego człowieka, a Edzio i Józio wytoczyli przed nim sprawę. Dzieci czytały *Zdobycie Meksyku* i bawiły się w „zdobycie Meksyku,” więc Edzio, podniósłszy brwi i przekręciwszy dłonie do góry, mówił z zapalem:

– Dobrze! ja będę Kortezem, a Józio rycerzem na koniu, ale jak Ewka, ani Joasia nie chcą być Montezumą, to jakże? Przecież tak nie można się bawić, prawda? Ktoś musi być Montezumą, bo inaczej któż będzie Meksykanami dowodził?

– A gdzie są Meksykanie? – spytał Połaniecki.

– No – rzekł Józio – Meksykanami są przecie krzesła i Hiszpanami także.

– To czekajcież, ja będę Montezumą – a teraz zdobywajcież Meksyk!

Tu wszczął się rwetes nieopisany. Żywość Połanieckiego pozwalała mu zmieniać się chwilami w dziecko. Stawił on tak zacięty opór Korteziowi, że Korteż począł mu odmawiać prawa do takiego oporu, twierdząc, nie bez słuszności historycznej, że skoro Montezuma został pobity, to powinien się dać pobić. Na to Montezuma odpowiadał, że go to mało obchodzi i walczył dalej.

W ten sposób zabawa przedłużała się coraz bardziej.

Lecz pani Bigielowa, nie mogąc doczekać końca, spytała wreszcie męża:

– Jakże wizyta w Krzemieniu?

– Zrobił to, co teraz robi – odpowiedział z flegmą Bigiel – poprzewracał wszystkie krzesła i wyjechał.

– Mówił ci co?

– O pannę nie miałem czasu go zapytać, ale z Pławickim rozstał się, jak nie można gorzej. Chce sprzedać swój dług na Krzemieniu, co oczywiście pociągnie za sobą zupełne zerwanie stosunków.

– Szkoda – odrzekła pani Bigielowa.

I przy herbacie, gdy dzieci spać poszły, poczęła wprost wypytywać Połanieckiego o Marynię.

– Nie wiem – odpowiedział Połaniecki – może jest ładna, może nie! Nie zastanawiałem się nad tem.

– To nieprawda – odpowiedziała pani Bigielowa.

– A więc nieprawda! A więc jest miła, ładna i co pani chce. Można się w niej zakochać, można się z nią ożenić, ale noga moja więcej u nich nie postanie. Wiem doskonale, dlaczego mnie tam panie wysyłały, tylko lepiej mnie było ostrzedz, kim jest jej ojciec, bo ona musi być do niego z usposobienia podobna, a jeśli tak jest, to dziękuję uniżenie.

– Niech się pan zastanowi, co pan mówi: „jest ładna, jest miła, można się z nią ożenić” – a potem: „musi być do ojca podobna!” – Przecie to się nie trzyma!

– Być może, wszystko mi jedno! Nie mam szczęścia i dość na tem!

– A ja powiadam panu dwie rzeczy: po pierwsze, że pan powrócił pod silnem wrażeniem Maryni, a po drugie, że to jest jedna z najlepszych panien, jakie w życiu widziałam i że szczęśliwy będzie, kto ją weźmie.

– Czemuż jej dotąd nikt nie wziął?

– Bo ona ma dwadzieścia jeden lat i niedawno w świat weszła. Niech pan zresztą nie myśli, żeby nie miała już starających się.

– Niechże ją bierze kto inny.

Ale Połaniecki powiedział to nieszczerze, myśl bowiem, że ją może wziąć kto inny, była mu niezmiernie przykra. Czuł też w duszy wdzięczność dla pani Bigielowej za jej pochwały dla Maryni.

– Niech tam! – rzekł – ale pani jest dobrą przyjaciółką.

– Nie tylko Maryni, ale i pańską, i pańską. Proszę tylko o szczerą, ale zupełnie szczerą odpowiedź: jest pan pod wrażeniem, czy nie jest?

– Ja? pod wrażeniem? Szczerze mam powiedzieć? – ogromnie!

– A widzi pan! – odrzekła pani Bigielowa, której twarz rozjaśniła się zadowoleniem.

– Cóż widzę? Nic nie widzę! Podobała mi się ogromnie – prawda! Pani nie ma pojęcia, jakie to sympatyczne i pociągające stworzenie. I dobre musi być! Ale cóż? Przecie ja drugi raz do Krzemienia nie mogę jechać. Wyjechałem taki zły, mówiłem

nie tylko Pławickiemu, ale i jej, takie przykre rzeczy, że to niepodobna.

– Bardzo pan nabroił?

– Raczej zanadto, niż za mało.

– To można listem ułagodzić.

– Jaby miał pisać do Pławickiego i przeproszać? Za nic w świecie! Przecie on mnie zresztą przeklął.

– Jakto, przeklął?

– Jako patriarcha rodu. W swoim imieniu i wszystkich przodków. Mam taki do niego wstręt, że nie umiałbym dwóch słów nakreślić. To jest stary, patetyczny komedyant. Ją prędzejbym przeprosił, ale na co się to zdało? Ona musi z ojcem trzymać. To i ja rozumiem. W najlepszym razie odpisze mi, że jej bardzo przyjemnie, i na tem stosunek się urwie.

– Jak Emilka wróci z Reichenhallu, to pod pierwszym lepszym pozorem ściągniemy tu Marynię – i wtedy, to już będzie pańska rzecz, by się te nieporozumienia zatarły.

– Zapóźno, zapóźno! – powtórzył Połaniecki. – Dałem sobie słowo, że tę sumę sprzedam – i sprzedam.

– To może właśnie będzie lepiej.

– Nie, to będzie gorzej! – wtrącił pan Bigiel. – Ja go namawiam, by sumy nie sprzedawał. Mam przytem nadzieję, że kupca na nią nie znajdzie.

– A tymczasem Emilka ukończy kurację Litki.

Tu pani Bigielowa zwróciła się do Połanieckiego:

– Zobacz pan, jak teraz inne panny będą się panu wydawały

po Maryni. Ja nie jestem z nią tak blisko, jak Emilka, ale postaram się znaleźć pierwszy lepszy pozór, żeby do niej napisać i dowiedzieć się, co też ona o panu myśli.

Na tem skończyła się rozmowa. Połaniecki, wracając do domu, spostrzegł, że jednak ta Marynia zajęła już wcale niepoślednie miejsce w jego duszy. Prawdę mówiąc, nie mógł prawie o czem innem myśleć. Miał jednak współcześnie poczucie, że ten stosunek zaczął się w warunkach niepomyślnych i że lepiej byłoby wybić sobie z głowy tę dziewczynę, póki jest jeszcze czas po temu. Jako człowiek duchowo raczej tęgi, niż słaby i nie przywykły oddawać się marzeniom dlatego tylko, że są miłe, postanowił trzeźwo ocenić położenie i rozważyć je ze wszystkich stron. Panna posiadała wprawdzie wszystkie niemal te warunki, których wymagał od przyszłej swej żony, i nadto przypadła mu osobiście do serca. Ale posiadała przytem i ojca, którego Połaniecki już nie znosił; a oprócz ojca, prawdziwe brzemie pod postacią Krzemienia z przyległościami. „Z tą uroczystą starą małpą nie zżyję się nigdy i nie mogę się zżyć – myślał Połaniecki – albowiem z nim dwojaki tylko stosunek jest możliwy: trzeba albo mu się poddać, do czego bezwarunkowo nie jestem zdolny, albo nim potrząsać codzień, tak, jak potrząsałem w Krzemieniu. W pierwszym razie, ja, człowiek niezależny, poszedłbym w niezdolną niewolę starego egoisty, w drugim – rola mojej żony byłaby trudna, przykra i nasze życie mogłoby się popsuć”.

– Spodziewam się – mówił sobie dalej – że to jest trzeźwe

i logiczne rozumowanie. Byłoby ono błędnem tylko wówczas, gdybym ją już kochał. Sądzę jednak, że tak nie jest. Jestem nią zajęty, nie zakochany w niej. To są dwie rzeczy różne. Ergo: trzeba przestać o niej myśleć i niech ją bierze kto inny!

Na tę ostatnią myśl znów zapiekło go żywe uczucie przykrości, ale pomyślał: „Jestem nią tak zajęty, iż to jest rzecz naturalna. Ostatecznie, zgryzłem niejedną przykrość w życiu, zgryzę i tę. Przypuszczam także, że będzie się ona z każdym dniem zmniejszała”.

Ale wkrótce spostrzegł, że, prócz tej przykrości, zostaje w nim jeszcze uczucie żalu, z powodu zniknięcia tych widoków, które otwierały się przed nim. Zdawało mu się teraz, że podniesiono przed nim jakąś zasłonę przyszłości i pokazano, co by być mogło, a potem spuszczone ją nagle i życie jego wracało na dawną drogę, nie prowadzącą ostatecznie do niczego, a raczej prowadzącą do pustkowia. Połaniecki czuł, bądźco bądź, że stary filozof Waskowski ma słuszość, i że robienie pieniędzy może być tylko środkiem. Poza tem zagadka życiowa winna być inaczej rozwiązana. Musi być jakiś cel, jakieś zadanie poważne, które, spełnione w sposób cny i prosty, prowadzą do uspokojenia duchowego. To uspokojenie jest duszą życia – i bez niego nie ma ono, krótko mówiąc, sensu. Połaniecki był pod pewnym względem dzieckiem wieku, to jest nosił i on w sobie część tego wielkiego niepokoju, który w obecnej schyłkowej epoce jest zmorą ludzką. I w nim wykruszyły się te podstawy, na których dotąd wspierało się życie. I on zwątpił,

czy potykający się o wszystkie przydrożne kamienie racjonalizm zdoła zastąpić wiarę, a wiary dotychczas nie odzyskał. Od współczesnych „dekadentów” różnił się jednak tem, że się nie rozlubował w sobie, w swoich nerwach, w swoich zwątpieniach, w swoim duchowym dramacie, i że nie dał sobie dyspensy na niedołęstwo i próżniactwo. Miał, owszem, mniej więcej uświadomione poczucie, że życie, jakie ono jest, tajemnicze, czy nie tajemnicze, musi być wypełnione szeregiem prac i czynów. Sądził, że jeśli jest niepodobieństwem odpowiedzieć sobie na rozmaite: „dlaczego?” to jednak należy coś robić – sam czyn bowiem może być do pewnego stopnia odpowiedzią. Może być wprawdzie nedorzeczną, ale przynajmniej człowiek, który tak odpowiada, zrzuca z siebie odpowiedzialność. Więc cóż pozostaje? Założenie rodziny i praca społeczna. Jedno i drugie musi być jednak do pewnego stopnia prawem natury ludzkiej i jej przeznaczeniem, gdyż inaczej ludzie nie żeniliby się i nie wiązali w społeczeństwa. Tego rodzaju filozofia, popierająca rozumowo męskie instynkta Połanieckiego, wskazywała mu małżeństwo jako jeden z głównych celów życia. Jego woła była od dawna napięta i zwrócona ku temu celowi. Przez chwilę panna Marynia wydała mu się być ową przystanią, „do której okręt w noc pochmurną zmierza”. – Teraz więc, gdy sobie wyrozumował, że światła tej przystani nie dla niego były zapalone, że trzeba płynąć dalej, zacząć nanowo żeglugę po nieznanych morzach, ogarnęło go uczucie i zmęczenia i żalu. Ale własne rozumowania wydały mu się logiczne i wrócił do domu z ustalonym prawie zupełnie

przekonaniem, że „jeszcze nie ta” i „jeszcze nie tym razem”.

Nazajutrz, poszedłszy na obiad, znalazł w restauracji Waskowskiego i Bukackiego. Po chwili nadszedł też i Maszko, ze swoją twarzą aroganta, długimi faworytami, monoklem w oku, wypiekami na twarzy i białą kamizelką. Po powitaniu, wszyscy zaczęli wypytywać się Połanieckiego o wyprawę do Pławickiego, w części bowiem wiedzieli, dlaczego panie nastawały na jego osobisty wyjazd, a prócz tego, znali pannę Pławicką od pani Emilii Chwastowskiej.

Po wysłuchaniu opowiadania, przezroczysty, jak sewrska porcelana, Bukacki, rzekł z właściwą sobie flegmą:

– Więc wojna? To jest panna, która działa na nerwy i teraz pora byłaby o nią uderzyć. Kobieta na kamienistej drodze łatwiej przyjmuje ofiarowane sobie ramię, niż na równym gościńcu.

– To jej podaj – rzekł z pewną niecierpliwością Połaniecki.

– Widzisz, mój kochany, są trzy przeszkody. Naprzód, jeszcze bardziej działa mi na nerwy pani Emilia; powtóre, miewam co rano ból w szyi i tylnej części głowy, co zapowiada chorobę mózgową; a potrzenie, jestem goły.

– Ty goły?

– Przynajmniej teraz: kupiłem kilkanaście Falków, wszystko *avant la lettre*, i wypłukałem się na jaki miesiąc – a jeśli dostanę z Włoch jednego Masaccia, o którego się układałem w tej chwili, to się zrujnuję na jaki rok.

Waskowski, który z rysów, a raczej z wypieków na twarzy, podobny był nieco do Maszki, lubo daleko starszy i lubo twarz

miał pełną słodczy, utkwiał swoje niebieskie oczy w Bukackiego i rzekł:

– I to choroba wieku. Kolekcjonerstwo i kolekcjonerstwo na wszystkie strony!

– Oho! będzie rozprawa – zauważył Maszko.

– Nie mamy nic lepszego do roboty – odpowiedział Połaniecki.

A Bukacki podniósł rękawicę.

– Co pan masz przeciw kolekcjonerstwu?

– Nic – odpowiedział Waskowski. – To jest taki staruszkowaty, godny naszych czasów, sposób kochania sztuki. Czy nie myślicie, że jest w tem coś zgrzybiałego? Podług mnie, to jest bardzo charakterystyczne. Niegdyś nosiło się w sobie zapach dla wielkiej sztuki, kochało się ją tam, gdzie była: w muzeach, w kościołach; dziś sprowadza się ją sobie do prywatnego gabinetu. Dawniej kończyło się na kolekcjonowaniu, dziś się od niego zaczyna – i zaczyna się od dziwactw. Nie mówię do Bukackiego, ale dziś najmłodszy chłopak, byle miał trochę pieniędzy, poczyną kolekcjonować – i co? nieraz nie przedmioty sztuki; ale jej dziwactwa, albo przynajmniej drobiazgi. Widzicie, moi drodzy, mnie się zdawało zawsze, że miłość i amatorstwo, to są dwie rzeczy różne, i przypuszczam na przykład, że wielki amator kobiet nie jest człowiekiem zdolnym do podniosłego uczucia.

– To być może. W tem coś jest! – rzekł Połaniecki.

– Co mnie to może obchodzić – rzekł Maszko, rozczesując palcami swoje angielskie bokobrody – w tem tkwi

przedewszystkiem zrządzenie starego pedagoga na nowsze czasy.

– Pedagoga? – powtórzył Waskowski. – Naprzód, od czasu, jak mi spadł niespodzianie kawał chleba, wyrzekłem się rzezi niewiniątek i roli Heroda; powtóre, mylisz się pan, że ja zrządzę. Ja niemal z radością widzę i notuję coraz nowe dowody, że jesteśmy przy końcu epoki, i że wkrótce przyjdzie nowa.

– Jesteśmy na pełnem morzu i nie prędko zawiniemy do brzegu – mruknął Maszko.

– Daj spokój – odpowiedział Połaniecki.

Lecz niezrażony Waskowski ciągnął dalej:

– Amatorstwo prowadzi do wyrafinowania, a w wyrafinowaniu giną wielkie ideały i ustępują chęci używania. Wszystko to nic innego, jak pogaństwo. Nikt sobie nie zdaje sprawy, do jakiegośmy stopnia spoganieli, ale jest co? jest duch aryjski, który nie kostnieje, nie zastyga nigdy, duch, mający w sobie tchnienie boże, więc moc twórczą – i temu duchowi już ciasno w pogańskich więzach i reakcja już się poczyną, i nastąpi odrodzenie się tak na tem polu, jak i na innych w Chrystusie... To niewątpliwa rzecz.

I Waskowski, który miał oczy, jak dziecko, to jest odbijające tylko zewnątrz przedmioty, a utkwione wiecznie jakby w nieskończoność, utkwiał je teraz w oknach, przez które widać było szare chmury, między którymi przedzierały się gdzieniegdzie promienie słońca.

Bukacki zaś rzekł:

– Szkoda, że mnie głowa pobolewa, bo to będzie ciekawa

epoka.

Lecz Maszko, który Waskowskiego nazywał „piłą” i nudził się jego rozprawami, wszczynanemi rzeczywiście z łada powodu, albo i bez powodu, wydobył z bocznej kieszeni surduta cygaro, przygryzł koniec i, zwróciwszy się do Połanieckiego, rzekł:

– Słuchaj, Stasiu, czybyś ty rzeczywiście sprzedał tę sumę, którą masz na Krzemieniu?

– Stanowczo. Dlaczego pytasz?

– Bo jabym może **reflektował**.

– Ty?

– Tak. Wiesz, że często **reflektuję** tego rodzaju interesa. Możemy o tem pogadać. Dziś napewno nic ci nie mogę powiedzieć, ale jutro każę sobie przysłać wyciąg hipoteczny Krzemienia i powiem ci, czy rzecz jest możliwa. Może po obiedzie przyjdiesz do mnie na kawę i może coś ułożymy.

– Dobrze. Jeśli co ma być, wołałbym, żeby było prędko, bo jak się tylko załatwię z Bigielem, chciałbym wyjechać.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Bukacki.

– Nie wiem. W mieście zanadto już gorąco. Gdzieś do drzew i wody.

– Także stary przesąd – rzekł Bukacki – w mieście zawsze po jednej stronie ulicy jest cień, czego niema na wsi. Chodzę sobie cienistą stroną i jest mi dobrze, dlatego nigdy w lato z miasta nie wyjeżdżam.

– A profesor nie wybierzesz się gdzie? – spytał Waskowskiego Połaniecki.

– Owszem. Pani Emilia namawia mnie do Reichenhall. Może się i wybiorę.

– A to jedźmy razem. Mnie wszystko jedno, gdzie pojedę. Lubię Salzburg, a przytem miło mi będzie zobaczyć panią Emilię i Litkę.

Bukacki wyciągnął swą przezroczystą rękę, wziął wykałaczkę z kieliszka i wykałając zęby, począł mówić swym zimnym i obojętnym głosem:

– Wre we mnie tak wściekła burza zazdrości, że i ja gotów jestem jechać z wami. Połaniecki, strzeż się, żebym nie wybuchnął, jak dynamit.

Było coś tak zabawnie przeciwnego między słowami a tonem Bukackiego, że Połaniecki począł się śmiać, po chwili zaś odpowiedział:

– Do głowy mi nie przyszło, że można się zakochać w pani Emilii. Dziękuję ci za ideę!

– Biada wam obojgu! – odrzekł Bukacki, wykałając dalej zęby.

V

Nazajutrz, po wczesnym obiedzie u Bigielów, Połaniecki udał się o oznaczonej godzinie do Maszki. Czekano tam na niego widocznie, bo w gabinecie zastał wykwintną zastawę do czarnej kawy i kieliszki do likierów. Sam Maszko nie ukazał się jednak zaraz, gdyż, jak mówił służący, przyjmował jakieś panie. Jakoż przeze drzwi dochodził z salonu jego głos i słowa kobiece. Połaniecki począł się przypatrywać tymczasem przodkom Maszki, których kilka portretów wisiało na ścianach i o których autentyczności powątpiewali przyjaciele młodego adwokata. Zwłaszcza pewien zezowaty infulat dostarczał Bukackiemu przedmiotu do konceptów, ale Maszko nie zrażał się tem. Postanowił on narzucić, bądźcobądź, światu siebie, swoich przodków, swoją genialność do interesów, wiedząc, że w tem społeczeństwie, w którym żył, będą sobie ludzie z tego podrwili, ale nikt nie zdobędzie się na energię, by wystąpić czynnie przeciw tym pretensyom. Posiadając sam energię i zuchwałość bez granic, a oprócz tego rzeczywisty spryt do interesów, postanowił wybić się w górę za pomocą tych środków. Ludzie, którzy go nie lubili, nazywali go beczelnym i był on nim istotnie, ale był z rozmysłu. Pochodząc z rodziny, wątpliwie nawet szlacheckiej, traktował ludzi, niewątpliwie pochodzących ze starych rodów, jakby był bez porównania lepiej od nich urodzonym, ludzi niewątpliwie bogatych, jakby był od nich

bogatszym – i udawało mu się – i owa taktyka robiła swoje. Pilnował się tylko, by nie popaść w zupełną śmieszność, ale granice w takim postępowaniu wyznaczył sobie nadzwyczaj szerokie. Ostatecznie doszedł do tego, do czego chciał: był przyjmowany wszędzie i wyrobił sobie duży kredyt. Niektóre obroty przynosiły mu rzeczywiście spore zyski, ale pieniędzy nie zbierał. Uważał, że na to czas nie przyszedł i że musi jeszcze wkładać w przyszłość, chcąc, by mu się wypłaciła tak, jak od niej żądał. Pieniądzy wprawdzie nie trwonił i nie zbytkował, sądząc, że w ten sposób wchodzi w świat parweniusze – ale gdzie trzeba było, okazywał się, według własnego wyrażenia, „solidnie hojnym”. Uchodził też za człowieka nader gładkiego w interesach i nadewszystko słownego.

Słowność jego oparta była wprawdzie na kredycie, ale też i podtrzymywała go w wysokim stopniu, co znów pozwoliło mu robić obroty istotnie wielkie. Nie cofał się zaś przed byle czym. Posiadał, prócz odwagi i pewnego zapędu, wyłączającego długie rozmyśły, jeszcze i wiarę w swe szczęście. Powodzenia wzmocniły tę wiarę. Nie wiedział wprawdzie nigdy sam, ile ma majątku, ale obracał dużymi pieniędzmi i ludzie mieli go za bogatego.

Ostatecznie sprężyną jego życia była raczej próżność, niż chciwość. Chciał wprawdzie być bogatym, ale przede wszystkim pragnął uchodzić za wielkiego pana, na sposób angielski. Przystosował do tego nawet swoją powierzchowność i był niemal dumny ze swej brzydoty, wydawała mu się bowiem

arystokratyczną. Jakoż tkwiło, jeśli nie coś niepospolitego, to przynajmniej coś nieswojskiego w jego wydętych ustach, szerokich nozdrzach i czerwonych wypiekach na twarzy. Była pewna siła i brutalność, jaką czasem mają Anglicy, a ów wyraz potęgowała jeszcze ta okoliczność, że, nosząc binokle, musiał zadzierać głowę do góry, a przy rozczesywaniu jasnych bokobrodów palcami, zadzierał ją jeszcze bardziej.

Połaniecki nie znosił go z początku i aż nazbyt mało to ukrywał; później przyzwyczał się do niego, zwłaszcza, że i Maszko obchodził się z nim inaczej, niż z innymi, może przez uznanie, jakie po cichu dla niego żywił, może też dlatego, że chcieć nadto nabierać z góry człowieka tak czupurnego, było to narażać się na natychmiastową odprawę, w najlepszym razie, nieprzyjemną. W końcu, spotykając się często, młodzi ludzie przyzwyczałili się do swych wzajemnych słabości, i teraz na przykład, gdy Maszko, odprawivszy swoje panie, pokazał się w gabinecie, zbył się na chwilę swej wielkości i, powitawszy Połanieckiego, począł mówić jak zwykły śmiertelnik, nie zaś jak wielki pan, ani jak Anglik.

– Z babami! z babami! *c'est toujours une mer à boire!* Umieściłem ich kapitałik i płacę im procenta najregularniej. Nie! Przychodzą przynajmniej raz na tydzień pytać, czy nie było jakiego trzęsienia ziemi.

– Cóż mi powiesz? – spytał Połaniecki.

– Przedewszystkiem napij się kawy.

I, podpaliwszy alkohol pod maszynką, rzekł:

– Z tobą przynajmniej nie będzie marudztwa. Wykaz hipoteczny widziałem. Suma nie jest łatwą do odzyskania, ale za straconą jej uważać niepodobna. Oczywiście, odzyskanie pociąga za sobą koszta, podróże i tak dalej, dlatego nie mogę ci dać tyle, ile całość wynosi, ale dam ci jej dwie trzecie i wypłacę w trzech ratach w ciągu roku.

– Ponieważ powiedziałem sobie, że zbędę wszystko, choćby za mniej, więc przystaję. Kiedyż pierwsza rata będzie płatna?

– Za kwartał.

– To zostawię pełnomocnictwo na Bigiela na wypadek, gdybym musiał wyjechać.

– A teraz wybierzesz się do Reichenhallu?

– Prawdopodobnie.

– Ej, kto wie, czy ci naprawdę Bukacki nie poddał jakiej myśli?

– Każdy ma swoje. Ty na przykład?... Dlaczego ty kupujesz tę sumę na Krzemieniu? Przecie to jest dla ciebie za mały interes.

– Między większymi robią się i mniejsze. Ale z tobą będę otwarty. Wiesz, że ani moja pozycja, ani mój kredyt nie należą do ostatnich, ale i jedno i drugie wzmocni się, gdy będę miał za sobą kawał ziemi, i to taki duży. Słyszałem sam od Pławickiego w swoim czasie, że byłby gotów Krzemień sprzedać. Otóż przypuszczam, że teraz jest jeszcze bardziej gotów, i że można będzie cały ten majątek nabyć tanio, na jakieś spłaty, za jakąś marną na razie gotówkę, z dodatkiem *rente viagère*. Zobaczą wreszcie! Później, oporządziwszy go trochę, jak konia

na jarmark, można go będzie sprzedać, a tymczasem będę miał tytuł własności, o który, entre nous, mocno mi chodzi.

Połaniecki słuchał z pewnym przymusem słów Maszki, poczem rzekł:

– Muszę ci i ja powiedzieć otwarcie: kupno nie pójdzie łatwo. Panna Pławicka jest bardzo sprzedaży przeciwna. Ona, jak to kobiety! Kocha się w swoim Krzemieniu i uczyni wszystko, co będzie mogła, żeby został w jej i ojca rękach.

– Więc w najgorszym razie zostanę wierzycielem pana Pławickiego i nie myśl, żeby suma mi przepadła. Naprzód, mogę ją, za przykładem twoim, sprzedać, powtóre, jako adwokat, mam daleko większą łatwość wydobycia jej. Mogę sam wynaleźć sposoby wypłacenia i wskazać je Pławickiemu.

– Możesz także subhastować Krzemień i nabyć go na licytacji.

– Mógłbym, gdybym był kim innym, ale Maszce dyabło nie wypada. Nie! Znajdą się inne środki, na które może i panna Pławicka, którą zresztą bardzo cenię i wysoko stawiam, chętnie się zgodzi.

Połaniecki, który w tej chwili dopijał resztek kawy, postawił nagle filiżankę na stole.

– A! – rzekł – można i tak dojść do tytułu własności.

I znowu chwyciło go uczucie wielkiej przykrości i gniewu. W pierwszej chwili chciał wstać i powiedzieć Maszce: „Sumy nie sprzedam!” – i pójść. Pohamował się jednak, Maszko zaś rozczesał bokobrody i odpowiedział:

– A gdyby?... Mogę ci słowem zaręczyć, że w tej chwili

jeszcze takiego planu nie mam, że przynajmniej nie postawiłem go sobie wyraźnie. Ale... a gdyby? Pannę Pławicką poznałem w swoim czasie w Warszawie któreś zimy i podobała mi się bardzo. Rodzina jest dobra, majątek zrujnowany, ale duży i możliwy do uratowania. Kto wie! To taka myśl, jak i każda inna. Jestem z tobą zupełnie lojalny, jak zresztą jestem zawsze. Pojechałeś niby po pieniądze, ale ja wiedziałem, dlaczego cię te panie tam wyprawiły. Wróciłeś jednak zły, jak dyabeł, więc przypuszczam, że nie masz zamiarów. Jeśli mi powiesz, że się mylę, to ustąpię natychmiast – nie od planu, bo, jakem ci zaręczył, nie mam go jeszcze, ale nawet od myślenia o nim, jak o czymś możliwym. Daję ci na to słowo. Tylko znów w razie przeciwnym nie trzymajże się zasady: „ni dla mnie, ni dla kogo” i nie zagrażaj panie drogi. A teraz słucham cię.

Połaniecki przypomniał sobie swoje wczorajsze rozumowania; pomyślał także, że Maszko ma słuszość, mówiąc, iż w takim razie nie powinien panie zagrażać do niczego drogi, i po pewnym czasie odrzekł:

– Nie, Maszko, ja nie mam żadnych zamiarów względem panny Pławickiej. Możesz się z nią żenić, albo nie! Powiem ci jednak otwarcie: jest jedna rzecz, która mi się w tem nie podoba, chociaż dla mnie korzystna: oto, że ty kupujesz tę sumę. Wierzę, że nie masz jeszcze gotowego zamiaru, ale na wypadek, jeśli go poweźmiesz? To jakoś będzie dziwnie wyglądało... Na jakiś nacisk, na jakąś sieć... To zresztą twoja rzecz...

– Tak dalece moja, że gdyby mi to powiedział kto inny, nie ty,

tobym mu pierwszy to przypomniał. Mogę ci jednak ręczyć, że gdybym powziął taki zamiar, o czym wątpię, to nie zażądałbym ręki panny Pławickiej, jako procentu od mojej sumy. Jak skoro mogę sobie sumiennie powiedzieć, że kupiłbym sumę w każdym razie, to ją tem samem i mam prawo kupić. Przedewszystkiem, jak dziś rzeczy stoją, chcę kupić Krzemień, bo mi to potrzebne – więc wolno mi użyć wszelkich godziwych środków, które mnie do celu prowadzą.

– Więc dobrze. Sprzedaję. Każ wygotować kontrakt i przyślij mi go, lub przyjdź z nim sam.

– Kontrakt kazałem wygotować memu dependentowi, chodzi tylko o podpisy.

Jakoż w kwadrans później kontrakt został podpisany. Tego dnia Połaniecki, spędzając wieczór u Bigielów, był zły, jak nigdy; pani Bigielowa nie umiała ukryć zmartwienia i Bigiel, namyśliwszy się nad wszystkim dokładnie, rzekł pod koniec wieczora ze zwykłą rozwagą i powolnością:

– Że Maszko ma i ten plan gotowy, to nie ulega wątpliwości. Idzie tylko o to, czy zwodzi ciebie, mówiąc, że go nie ma, czy i siebie także.

– Niech Bóg ją zachowa od Maszki – ozwała się pani Bigielowa. – To widzieliśmy tu wszyscy, że ona podobąca mu się bardzo.

– Przypuszczałem – odpowiedział Bigiel – że tego rodzaju człowiek będzie szukał majątku, ale mogłem się mylić. Również być może, że zechce wziąć żonę z dobrej, starej rodziny, aby

umocnić przez to swoje położenie towarzyskie, pozawierać stosunki, spokrewnić się z licznymi rodzinami i w końcu wziąć w swoje ręce interesa całej pewnej sfery towarzyskiej. To także niezłe wyrachowanie, zwłaszcza, że gdy zechce skorzystać ze swego kredytu dla Krzemienia, to z czasem, przy swej obrotności, może go oczyścić.

– I jak pani mówi, panna Pławicka podoba mu się przytem naprawdę – dodał Połaniecki – a ja sobie przypominam teraz, że Pławicki także mi o tem coś wspominał.

– Więc co, panie? – pytała pani Bigielowa – więc jakże będzie?

– Więc panna Pławicka, jeśli zechce, to wyjdzie za pana Maszkę – odrzekł Połaniecki.

– A pan?

– A ja jadę tymczasem do Reichenhall.

VI

I rzeczywiście, w tydzień później wyjechał do Reichenhallu, ale przedtem jeszcze otrzymał list pani Emilii, wypytujący go o wyprawę do Krzemienia. Na list ów nie odpisał, mając zamiar ustnie nań odpowiedzieć. Dowiedział się również, ale dopiero w wigilię wyjazdu, iż Maszko poprzedniego dnia wyjechał do Krzemienia, i wiadomość ta obeszła go więcej, niż się spodziewał. Mówił sobie wprawdzie, że nie dalej, jak w Wiedniu, już o tem zapomni, ale zapomnieć nie mógł i głowę miał tak zajętą myślą o tem, czy panna Pławicka wyjdzie za Maszkę, że z Salzburga napisał list do Bigiela, niby w interesach, ale właściwie żądający przysłania mu wiadomości o Maszce. Słuchał też piąte przez dziesiąte rozpraw towarzyszącego mu Waskowskiego o wzajemnym stosunku do siebie ludów austriackich i o misji narodów nowożytnych w ogólności. Nieraz tak był zajęty myśleniem o Maryni, że wprost nie odpowiadał na pytanie. Dziwiło go też, że chwilami widzi ją tak wyraźnie, jakby przed nim stała, więc nie tylko jako dokładny obraz, ale jako żywą istotę. Widział jej miłą, łagodną twarz ze ślicznymi ustami i z maleńkiem znamieniem nad górną wargą, jej oczy, patrzące spokojnie, w których widać było skupienie i uwagę, z jaką słuchała jego słów; widział całą jej postać, wysmukłą, giętką, od której biło ciepło wielkiej, a zarazem niezmiernie dziewiczej młodości. Przypomniawszy sobie jej jasną suknię i końce stóp,

wygładające z pod jej sukni, i delikatne, lubo nieco opalone, ręce, i ciemne włosy, poruszane powiewem w ogrodzie. Nigdy nie spodziewał się, żeby mogła istnieć pamięć tak niemal dotykalna – i to pamięć osoby, widzianej przez czas tak krótki. Rozumiał jednak, że to jest dowód, jak głębokie naprawdę zrobiła ona na nim wrażenie, i gdy chwilami przechodziło mu przez głowę, że to wszystko, co się tak wycisnęło w jego pamięci, może posiadać Maszko, prawie nie chciało mu się w to wierzyć. Pierwszym jego porywem w takich chwilach, zresztą zgodnym z jego czynną naturą, była niepowstrzymana chęć, żeby temu przeszkodzić. Musiał sobie dopiero przypominać, że to jest sprawa już w jego woli rozstrzygnięta, i że postanowił sobie zaniechać panny Pławickiej.

Obaj z Waskowskim dojechali do Reichenhallu wczesnym rankiem i zaraz pierwszego dnia, zanim dowiedzieli się o adresie pani Emilii, spotkali ją wraz z Litką w parku miejscowym. Pani Chwastowska, która nie spodziewała się ich, a przynajmniej nie Połanieckiego, ucieszyła się na ich widok szczerze. Radość jej została tylko przyćmiona tem, że Litka, dziecko wyjątkowo wrażliwe, a przytem chore na astmę i na serce, ucieszyła się jeszcze bardziej, tak nawet bardzo, że dostała silnego bicia serca w połączeniu z dusznością i niemal omdleniem.

Ale były to częste u niej objawy i, gdy atak minął, pogoda wróciła na wszystkie twarze. Wracając do domu, dziecko trzymało za rękę „pana Stacha” i w chmurnych zwykle jej oczach świeciła głęboka radość. Od czasu do czasu ścisnęła tę

rękę, jakby chcąc się upewnić, że on naprawdę przyjechał do Reichenhallu i że jest przy niej. Połaniecki wprost nie miał czasu o niczem mówić z panią Emilią, ani ona o nic go rozpytać, bo Litka pokazywała mu Reichenhall i, szczebiocząc bez ustanku, chciała mu od razu pokazać wszystkie piękniejsze miejsca. Co chwila zaś mówiła:

– To nic jeszcze. Thumsee ładniejsze, ale pójdziemy tam dopiero jutro.

Poczem, zwracając się do matki:

– Mama pozwoli, prawda? Ja teraz mogę dużo chodzić. To niedaleko. Mama pozwoli, prawda?

Chwilami znów odsuwała się od Połanieckiego i, nie puszczając jego ręki, patrzyła na niego swemi wielkimi oczyma, powtarzając:

– Pan Stach! pan Stach!

Połaniecki okazywał jej ze swej strony największą tkliwość, na jaką mógłby się zdobyć starszy brat; raz wraz też gderał na nią dobrotliwie:

– Kociak niech tak nie leci, bo się zadyszy.

A ona przytulała się do niego i, wysuwając naprzód usteczka, odpowiadała, niby się gniewając:

– Cicho, pan Stach!

Połaniecki spoglądał jednak od czasu do czasu na jasną twarz pani Emilii, jakby chcąc jej dać poznać, że pragnie z nią pomówić. Ale nie było sposobu, gdyż pani Emilia nie chciała psuć wesołości Litce i wołała jej pozostawić wspólnego

przyjaciela na wyłączną własność. Dopiero po obiedzie, który jedli razem, w ogrodzie, wśród zieloności i świegotania wróbli, gdy Waskowski począł opowiadać Litce o ptakach i o miłości, jaką miał dla nich św. Franciszek z Assyżu, a dziecko, wsparłszy główkę na ręce, zasłuchiwało się zupełnie, Połaniecki zwrócił się do pani Chwastowskiej.

– Czy pani nie zechce się przejść do końca ogrodu?

– Dobrze – odpowiedziała. – Litko, zostań na minutkę z panem Waskowskim, my w tej chwili wracamy.

I poszli, poczem zaraz pani Emilia spytała:

– I cóż?

Połaniecki począł opowiadać, ale, bądź że chciał się lepiej przedstawić pani Emilii, bądź że postanowił rachować się z jej naturą mimozy, bądź wreszcie, że ostatnie myśli o Maryni nastroiły go na jakąś tkliwszą niż zwykle nutę, dość, że całkowicie rzecz przekreślił. Przyznał się wprawdzie do kłótni z panem Pławickim, ale milczał o tem, że przed wyjazdem z Krzemienia odezwał się i do Maryni w sposób szorstki, natomiast nie szczędził jej w opowiadaniu pochwał i wreszcie tak skończył:

– Ponieważ ten dług stał się od razu powodem nieporozumień między mną a Pławickim, co musiało się odbić i na pannie Maryni, więc wolałem go sprzedać i właśnie przed samym wyjazdem sprzedałem Maszce.

Pani Emilia, która nie miała najmniejszego pojęcia o sprawach pieniężnych, a natomiast posiadała prostotę zupełnie anielską, odrzekła:

– To dobrze pan zrobił. Między wami nie powinno być takich rzeczy, jak pieniądze.

Lecz Połaniecki zawstydził się w tej chwili, że wyprowadza w pole taką naiwną duszę i odrzekł:

– Tak!... Raczej, nie! Myślę, żem źle zrobił. Bigiel jest także zdania, że to nie było dobrze... Maszko może ich przyciskać, może stawiać rozmaite żądania, może wystawić na sprzedaż Krzemień... Nie, pani, to nie jest postępек delikatny, ani taki, któryby mógł nas zbliżyć, i nie byłbym tego uczynił, gdyby nie to, żem doszedł do przekonania, iż trzeba sobie to wszystko raz na zawsze wybić z głowy.

– A, nie! Niech pan tego nie mówi. Ja wierzę, że we wszystkim jest przeznaczenie – i wierzę także, że Opatrzność przeznaczyła was wzajem dla siebie.

– Tego ja, pani, nie rozumiem. Jeśli tak jest, to nie potrzebuję o nic zabiegać, bo w każdym razie muszę ożenić się z panną Pławicką.

– Nie. Ja mam kobiecą głowę i może mówię niedorzeczności, ale mi się zdaje, że Opatrzność chce i obmyśla wszystko tak, jakby było najlepiej, ale zostawia ludziom wolę, ci zaś często nie chcą iść za tem, co im przeznaczono, i dlatego tylu jest nieszczęśliwych.

– Może. Trudno jednak iść za czem innem, jak za własnem przekonaniem. Rozum to także latarka, którą nam Bóg dał w rękę. Kto mi przytem zaręczy, czy panna Marynia wyszłaby za mnie?

– Powinnam już mieć od niej wiadomość o pańskich odwiedzinach w Krzemieniu, i dziwię się, że dotychczas nie mam. Myślę, że najdalej jutro list nadejdzie, bo my pisujemy do siebie co tydzień. Czy ona wie o pańskim wyjeździe do Reichenhallu?

– Nie. Ja sam, będąc w Krzemieniu, nie wiedziałem jeszcze, dokąd pojedę.

– To dobrze, bo będzie szczerza, chociaż ona i tak byłaby szczerza.

Na tem skończyła się rozmowa pierwszego dnia. Wieczorem, na prośbę Litki, postanowiono pójść nazajutrz do Thumsee i wyjść zrana, tak, aby obiad zjeść nad jeziorem, powrócić zaś powozem, lub, o ileby Litka nie była zmęczoną, to piechotą, byle zdążyć przed zachodem słońca. Waskowski i Połaniecki stawili się przed willą tych pań przed dziewiątą rano. Obie były już przybrane i czekały na werandzie, obie zaś wyglądały tak zjawiskowo, że aż stary pedagog Waskowski został tem odurzony.

– Że też Pan Bóg tworzy sobie czasem z ludzi zupełne kwiaty! – rzekł, ukazując zdala na matkę i córkę.

Rzeczywiście i pani Emilia, i Litka, były przedmiotem podziwu dla całego Reichenhallu. Pierwsza, ze swoją uduchowioną anielską twarzą, była jakby wcieleniem miłości i tkliwości macierzyńskiej, a zarazem egzaltacji; druga o chmurnych wielkich oczach, płowej czuprynie i rysach tak delikatnych, wyglądała raczej na jaki artystyczny pomysł, niż

na żywą dziewczynkę. Dekadent Bukacki mawiał o niej, że jest utkana z mgły, ledwie trochę zaróżowionej przez świt. Jakoż było w tej dziewczynie coś prawie nieziemskiego, które to wrażenie potęgowała jeszcze jej choroba, jej nadmierna wrażliwość i uczuciowość. Matka kochała ją ślepo, otaczający również; ale dziecko, wyjątkowo z natury słodkie, nie dało się popsuć.

Połaniecki, który w Warszawie widywał panią Emilię kilka razy tygodniowo, był do obydwóch szczerze przywiązany. W mieście, w którem sława kobieca jest mniej szanowaną, niż gdziekolwiek na świecie, robiono z tego powodu plotki, oczywiście najniesłuszniejsze, gdyż pani Emilia była pod każdym względem czysta, jak dziecko, i nosiła swą egzaltowaną głowę po prostu w błękicie, jakby nie wiedząc, że zło istnieje. Była nawet tak dalece czystą, że nie rozumiała potrzeby zwracania uwagi na pozory. Przyjmowała z radością tych, których kochała Litka, lecz odmówiła kilka dobrych partyi, wyraźnie oświadczając, że osobiście nic jej na świecie, prócz Litki, nie potrzeba. Jeden tylko Bukacki utrzymywał, że pani Emilia działa na jego nerwy; Połaniecki tak się przystosował do owego błękitu, otaczającego tę kryształową kobietę, że wprost nie zbliżał się nigdy do niej z myślą zmaconą przez pokusę.

I teraz więc, po uwadze Waskowskiego, odrzekł z prostotą:
– Rzeczywiście bajecznie obie wyglądają!

I przywitawszy je, powtórzył mniej więcej to samo pani Emilii, jako coś, co w danym wypadku zwróciło jego uwagę. Ona uśmiechnęła się z zadowolenia, prawdopodobnie dlatego, że

pochwałała obejmowała także Litkę i, zbierając suknię do drogi, rzekła:

- Miałam rano list i umyślnie go wzięłam, by panu pokazać.
- Wolno zaraz przeczytać?
- Wolno. Proszę.

I ruszyli drogą leśną ku Thumsee, pani Emilia, Waskowski i Litka na przedzie, Połaniecki nieco za nimi, z głową schyloną nad listem.

List brzmiał jak następuje:

„Droga moja Emilko! Dziś odebrałam twoją litanie pytań i zaraz odpowiadam, bo i mnie pilno podzielić się z tobą myślami. Pan Połaniecki wyjechał w poniedziałek, zatem dwa dni temu. Pierwszego wieczora przyjechałam go, jak przyjmuję wszystkich – i nic a nic nie przyszło mi do głowy, ale nazajutrz było święto, miałam wolny czas i byliśmy prawie całe popołudnie nietylko razem, ale sam na sam, bo papa pojechał do państwa Jamiszów. Cóż ci mam powiedzieć? Taki sympatyczny, taki szczerzy, a przytem prawdziwy mężczyzna! Z tego, co mówił o Litce i o tobie, zaraz zmiarkowałam, że ma dobre serce. Chodziliśmy długo nad stawem, po ogrodzie. Obwiązywałam mu rękę, bo się skaleczył o łódź. Mówił rzeczy takie rozumne, że się zaśluchiwałam w jego słowa. Ach, moja Emilko, wstyd mi się przyznać, ale moja biedna głowa trochę się zawróciła przez ten wieczór. Ty wiesz przecie, jaka tu jestem sama, zapracowana, i jak rzadko widuję podobnych ludzi. Zdawało mi się, że przyjechał gość z jakiegoś innego i lepszego świata. On

mi się nietylko podobał, ale mnie tak ujął swoją serdecznością, że nie mogłam zasnąć i ciągle o nim myślałam. Wprawdzie nazajutrz pokłócili się z papą, a nawet i mnie się trochę dostało, choć Bóg widzi, ilebym dała za to, żeby między nami nie było tego rodzaju spraw. W pierwszej chwili dotknęło mnie to mocno, i gdyby ten brzydki człowiek wiedział, ilem się napłakała w swoim pokoju, toby mnie pożałował. Ale później pomyślałam, że on musi być bardzo żywy, że papa nie miał słuszności, i nie gniewam się już. Powiem ci też do uszka, co mi jakiś głos szepce ciągle: oto, że on tego długu, który ma na Krzemieniu, nie sprzedaje nikomu, choćby dlatego, żeby przyjechać tu jeszcze. To, że się tak źle rozstali z papą, to nic. Sam papa tego do serca nie bierze, bo to są jego sposoby, nie zaś uczucia, ani przekonania. We mnie ma pan Połaniecki szczerą przyjaciółkę, która zrobi wszystko, co będzie mogła, by zaraz po rozprzedaży Magierówki ustały te wszystkie powody nieporozumień i wogóle te brzydkie sprawy pieniężne. Wówczas on musi przyjechać, choćby dla odebrania swej należności – nieprawda? Może też i ja podobałam mu się trochę, że zaś człowiek taki żywy powie czasem coś przykrego, nie trzeba się dziwić. Nic mu o tem nie mów, jak go zobaczysz, i nie łaj go, niech cię Bóg broni. Nie wiem dlaczego, mam jakąś ufność, że on nie robi krzywdy ani mnie, ani papie, ani mojemu kochanemu Krzemieniowi, i myślę, że dobrze byłoby na świecie, gdyby wszyscy byli do niego podobni. Ściskam najserdeczniej ciebie, moja droga, i Litkę. Napisz mi o jej zdrowiu jak najobszerniej i kochaj mnie tak, jak

ja ciebie”.

Połaniecki, skończywszy czytać, wsunął list do bocznej kieszeni surduta, następnie zapiał go, następnie przesunął kapelusz na tył głowy, następnie uczuł nagle wielką ochotę połamania swej laski na drobne kawałki i wrzucenia jej w strumień; nie uczynił tego jednak, tylko począł mruczeć przez zaciśnięte zęby:

– Tak? dobrze! Znasz ty Połanieckiego?... Licz na to, że cię nie pokrzywdzi! Dobrze wyjdiesz!

Potem zwrócił do siebie mowę w sposób następujący:

– Dobrze ci tak! bo to jest anioł, a tyś go nie wart.

I znów porwała go chęć połamania w kawałki własnej laski. Oto ujrzał teraz wyraźnie, że dusza tej dziewczyny gotowa była oddać mu się z całą wiarą i ufnością, a on zgotował jej od razu jeden z takich bolesnych i dotkliwych zawodów, których pamięć – zostaje raz na zawsze i boli wiecznie. Sprzedać sumę, to było nic, ale sprzedać ją człowiekowi, pragnącemu ją kupić w takim zamiarze, jak Maszko, to znaczyło powiedzieć tem samem pannie: „Nie chcę cię – i idź sobie za niego, jeśli ci się tak podoba”. Co za gorzkie rozczarowanie dla niej, po tem wszystkim, co do niej mówił owej niedzieli, po tych słowach przyjaznych, otwartych, a zarazem przeznaczonych na to, by wniknęły do jej serca. Bo one były jednak na to przeznaczone i Połaniecki czuł, że ona tak je wzięła. Mógł sobie teraz powtarzać, ile razy chciał, że one do niczego nie obowiązują, że za pierwszą bytnością i w pierwszej rozmowie z kobietą człowiek

wysuwa tylko rogi, jak ślimak, i próbuje, na jaki grunt trafił. Nie byłoby to mu teraz żadną pociechą. Zresztą, nietylko nie był w humorze usprawiedliwiania się przed samym sobą, ale raczej pragnąłby się być spoliczkować. Pierwszy raz zobaczył tak wyraźnie, że mógłby uzyskać i serce i rękę Maryni, im zaś ta możliwość przedstawiała mu się bardziej realnie, tem strata wydawała mu się bardziej niepowetowaną. Na dobitkę, od chwili przeczytania owego listu, począł się w nim nowy przewrót. Własne rozumowania, że powinien zaniechać Maryni, wydały mu się naraz i płaskie i nędzne. Połaniecki, przy wszystkich swych wadach, miał wdzięczne serce i list ów wzruszył go do wysokiego stopnia tą dobrocią i wyrozumiałością, tą gotowością do kochania, jakie w nim tkwiły. Skutkiem tego wspomnienie Maryni poróżnowiało nagle w jego sercu i pamięci, poróżnowiało nawet tak mocno, że pomyślał:

– Ja teraz zakocham się w niej, jak Bóg w niebie!

I ogarnęło go rozczerzenie dla Maryni, przed którym nawet złość na samego siebie musiała ustąpić. Po chwili, połączywszy się z resztą towarzystwa, wysunął się nieco z panią Emilią naprzód i rzekł:

– Niech mi pani daruje ten list.

– Z największą chęcią. Prawda, jaki pocziwy? A nie przyznał mi się pan, że i jej się coś dostało na wyjeździe? Ale nie będę panu robiła wymówek, skoro ona sama bierze pana w obronę.

– Pani! gdyby to co pomogło, prosiłbym, by mnie pani obiała. Ale tu już niema o czem mówić, bo to rzeczy niepowetowane.

Pani Emilia nie podzielała jednak wcale tego zdania. Owszem, widząc wzruszenie Połanieckiego, nabrała pewności, że sprawa, w której obie strony czują tak żywo, stoi jak najlepiej i musi skończyć się pomyślnie. Na samą tę myśl jej śliczna słodka twarz rozjaśniła się wielką radością.

– Zobaczmy to za kilka miesięcy – rzekła.

– Ani pani się domyśla, co możemy zobaczyć – odparł Połaniecki, myśląc o Maszce.

Na to znów pani Emilia:

– Niech pan pamięta o jednej rzeczy, że kto raz zyska serce Maryni, ten się nie zawiedzie nigdy.

– Wierzę – odpowiedział ze smutkiem Połaniecki, – ale też takie serca, raz zrażone, nie powracają więcej.

Dalej nie mogli rozmawiać, bo Litka i pan Waskowski przysunęli się do nich. Po chwili dziewczynka zagarnęła, jak zwykle, Połanieckiego na wyłączną swą własność. Las, zanurzony w łagodnym porannym świetle pogodnego dnia, zajmował ją nadzwyczajnie, więc poczęła wypytywać o rozmaite drzewa, co chwila zaś wykrzykiwała z radością:

– Rydze!

Lecz on odpowiadał jej mechanicznie, myśląc o czym innym:

– Rydze, kotku, rydze!

Nakoniec droga zniżyła się i pod stopami ujrzeli Thumsee. Po upływie pół godziny, zeszli na bity gościniec, ciągnący się nad samym brzegiem, na którym widać było tu i owdzie drewniane kładki, powyciągane na kilka kroków w wodę. Litka miała

ochotę zobaczyć z bliska wielkie ryby, które widać było w przezroczystej toni. Połaniecki, wzięwszy ją za rękę, wprowadził ją w tym celu na jedną z kładek.

Ryby, przyzwyczajone do okruszyn chleba, rzucanych przez gości, zamiast uciekać, zbliżyły się jeszcze i wkrótce cały ich wianek otoczył stopy Litki. W błękitnawej toni widać było złotawo-brunatne grzbiety karpiów i szarą plamistą łuskę łososiopstrągów, oraz okrągłe oczy, wpatrzone jakby z wyrazem prośby w dziewczynkę.

– Wracając, weźmiemy dużo bułek – mówiła dziewczynka. – Jak one dziwnie patrzą. Co one myślą?

– One myślą bardzo powoli – rzekł Połaniecki – i tak, dopiero za godzinę albo za dwie powiedzą sobie: „Aha! tu stała jakaś dziewczynka z płową czupryną, w różowej sukience i w czarnych pończoszkach.”

– A o panu Stachu, co pomyślą?

– Pomyślą, żem jaki cygan, bo ja nie mam płowej czupryny.

– Nie. Cygany nie mają przecie domu.

– I ja nie mam domu, Litko. Mogłem go mieć, alem go sprzedał.

Połaniecki wymówił ostatni wyraz w jakiś niezwykajny sposób i wogóle był w głosie jego smutek. Dziewczynka spojrzała na niego uważniej i zaraz wrażliwa jej twarzyczka odbiła jego smutek, tak jak owa toń odbijała jej własną postać. Potem, gdy się połączyli z resztą towarzystwa, podnosiła na niego od czasu do czasu swoje chmurne oczy, z wyrazem pytającym i

niespokojnym. Wreszcie, ścisnąwszy mocniej jego rękę, za którą trzymała, rzekła:

– Co panu jest, panie Stachu?

– Nic, dziecinko. Rozglądam się po jeziorze i dlatego nic nie mówię.

– Bo ja się tak cieszyłam wczoraj, że panu pokażę Thumsee.

– Owszem. Chociaż niema skał, bardzo tu ładnie! A tamten domek z drugiej strony?

– Tam będziemy jedli obiad.

Tymczasem pani Emilia rozmawiała wesoło z Waskowskim, który, niosąc w ręku kapelusz i szukając co chwila po kieszeniach chustki dla obtarcia łysiny, opowiadał jej swoje spostrzeżenia nad Bukackim.

– On jest Arya – kończył – i dlatego w ciągłym niepokoju dąży do spokoju. Teraz kupuje obrazy i sztychy, myśląc, że tem zapełni próżnię. Ach, pani, na co ja patrzę! Toż to te dzieci wieku noszą w duszy taką otchłań, jak na przykład to jezioro, a w dodatku bezdenną, i myślą, że można ją zapełnić obrazkami, akwafortami, amatorstwem, dyletantyzmem, Baudelaire'm, Ibsenem, Maeterlinckiem, wreszcie dyletantyzmem naukowym. Biedne ptaki, rozbijające głowy o ściany klatek! To tak samo, jakbym chciał wypełnić to oto jezioro, wrzuciwszy w nie ten kamyk.

– A cóż może zapełnić życie?

– Wszelka szersza idea, wszelkie większe uczucie, ale pod jednym warunkiem, by były poczęte w Chrystusie. Gdyby

Bukacki po chrześcijańsku kochał sztukę, dałaby mu pogodę, której mimowoli szuka.

– A mówił mu pan to?

– I to, i wiele innych rzeczy. Ja i jego i Połanieckiego ciągle namawiam, by czytali życie św. Franciszka z Assyżu. Nie chcą i śmieją się ze mnie. A jednak, to był największy człowiek i największy święty średnich wieków, który odrodził świat. Gdyby się teraz znalazł podobny, odrodzenie w Chrystusie nastąpiłoby jeszcze szersze i jeszcze zupełniejsze.

Zbliżało się południe, z niem upał. Las poczynął pachnąć żywicą, a jezioro wygładziło się zupełnie w ciszy pełnej blasku i, odbijając błękit bez plamki, zdawało się drzemać.

Doszli wreszcie do domu i ogrodu, w którym była restauracja, i siedli pod cieniem buku, przy zastawionym stole. Połaniecki, przywoławszy kelnera w brudnym fraku, zamówił obiad, poczem rozglądali się w milczeniu po jeziorze i okolicznych górach.

O parę kroków od stołu rosła kępa irysów, zwilżana przez wodotrysk, urządzony między kamieniami.

Pani Emilia, spojrzawszy na kwiaty, rzekła:

– Gdy jestem nad jakim jeziorem, a przytem patrzę na irysy, zdaje mi się, że jestem we Włoszech.

– Bo nigdzie niema ani tyle jezior, ani tyle irysów – odrzekł Połaniecki.

– Ani tyle upojenia dla każdego człowieka – dodał Waskowski. – Ja od wielu lat jeżdżę tam co rok, jesienią, szukać sobie schronienia na ostatnie dni. Długi czas wahałem się między

Perugią a Assyżem, ale ostatniego roku przeważył Rzym. To jest jakby sień do innego świata, w której widać już jego światło. Pojadę tam w październiku.

– Szczerze panu zazdroszczę – rzekła pani Emilia.

– Litka ma dwanaście lat... – zaczął Waskowski.

Lecz Litka przerwała:

– I trzy miesiące.

– I trzy miesiące; więc choć na swój wiek jest bardzo mała i trzpiotka wielka, czasby jej już rozmaite rzeczy w Rzymie pokazać – mówił dalej Waskowski. – Nic się tak nie pamięta, jak to, co się widziało w dzieciństwie. A choć się wielu rzeczy nie odczuje, ani zrozumie, to przychodzi później i przychodzi bardzo przyjemnie, bo tak, jakby ktoś od razu oświecił jakieś wrażenia, zanurzone w cieniu... Niech pani jedzie ze mną w październiku do Włoch.

– W październiku nie mogę, bo mam swoje kobiece powody, które mnie zatrzymują w Warszawie.

– Jakie?

Pani Emilia poczęła się śmiać.

– Pierwszy i najgłośniejszy, a czysto kobiecy – rzekła, wskazując na Połanieckiego – to ożenić tego pana, który siedzi taki posępny i w gruncie rzeczy... taki rozkochany.

Połaniecki obudził się z zamyślenia i machnął ręką.

A Waskowski zapytał ze zwykłą naiwnością dziecka:

– Zawsze z Marynią Pławicką?

– Tak – odrzekła pani Emilia. – Był w Krzemieniu i próżnoby

się zapierała, że go bardzo chwyciła za serce.

– Mogę się nie zapierać – odrzekł Połaniecki.

Lecz dalsza rozmowa została przerwana w przykry sposób, bo Litka niespodziewanie zasłabła. Uczyniło się jej nagle duszno i dostała jednego ze swych zwykłych ataków bicia serca, które przejmowały trwogą o jej życie nawet lekarzy. Matka porwała ją w tej chwili na ręce, Połaniecki skoczył po łód do restauracji. Waskowski zaś począł ciągnąć z wysileniem do stołu ławkę ogrodową, by dziecko mogło się na niej wyciągnąć i swobodniej oddychać.

– Zmęczyłaś się, dziecinko? prawda? – pytała pobladłymi ustami pani Emilia. – Widzisz, kochanie, że było za daleko... A doktor jednak pozwolił!... Tak gorąco! Ale to nic! to przejdzie! to przejdzie!... Moje skarby, moje kochanie!!...

I poczęła całować wilgotne czoło dziewczynki. Tymczasem Połaniecki wrócił z lodem, a za nim nadbiegła miejscowa gospodyni, z poduszką w ręku. Po chwili ułożono małą na ławce, i podczas gdy pani Emilia obwijala łód w serwetę, Połaniecki, schyliwszy się nad chorą, pytał:

– Jakże ci, kociątko?

– Tylko duszno trochę, ale lepiej... – odpowiedziała, otwierając, jak rybka, usta dla schwytania oddechu.

Nie było jednak wiele lepiej, bo nawet przez sukienkę widać było, jak to małe, chore serce bije gwałtownie w piersiach.

Wszelako pod wpływem lodu atak uspokajał się zwolna, a wreszcie uspokoił się zupełnie, pozostawiając po sobie

tylko zmęczenie. Litka poczęła się znów uśmiechać do matki, która również ochłoneła nieco z przerażenia. Dziecko należało pokrzepić przed powrotem, więc Połaniecki kazał podać obiad, którego, prócz Litki, nikt zresztą prawie nie tknął, wszyscy bowiem spoglądali na nią co chwila z tajoną obawą, czy duszność znowu jej nie chwyci. W ten sposób upłynęła godzina. Goście poczęli zwolna napływać do restauracyi. Pani Emilia chciała wracać do domu, lecz należało czekać na powóz, po który Połaniecki posłał do Reichenhallu.

Powóz nadszedł wreszcie, ale w drodze czekał ich nowy niepokój. Jakkolwiek jechali noga za nogą i po gościńcu bardzo równym, małe nawet wstrząśnienia męczyły Litkę, tak, że w pobliżu już Reichenhallu poczęło jej znów czynić się duszno. Prosiła, żeby jej wolno było wysiąść, ale pokazało się, że i droga piesza męczy ją. Wówczas pani Emilia postanowiła ją nieść, Połaniecki jednak, uprzedzając to macierzyńskie poświęcenie, które zresztą nie było w miarę sił pani Emilii, rzekł:

– Lituś, chodź, ja cię poniosę. Inaczej mama zmęczy się i będzie chora.

I nie pytając dłużej, podniósł ją lekko z ziemi i niósł zupełnie swobodnie, na jednej tylko ręce, żeby zaś upewnić i ją, i panią Emilię, że go to wcale nie męczy, począł żartować:

– Jak taki kot chodzi po ziemi, to zdaje się wcale nieduży, a teraz ot, gdzie to te długie nożyska wiszą. Trzymaj się mnie za szyję, to będziesz się mniej kołysała.

I szedł, jak umiał najrówniej, a spieszenie, bo chciał, by lekarz

mógł się nią zająć jak najprędzej; idąc, czuł, jak jej serce bije na jego ramieniu, ona zaś, trzymając się go swemi chudemi ramionkami, powtarzała:

– Niech mnie pan puści! Ja... nie mogę... Niech mnie pan puści!

A on odpowiadał:

– Nie puszcze! Widzisz, jak to źle męczyć się na piechotę. Od tej pory weźmiemy zawsze z sobą takie duże, wygodne krzesło na kółkach, i jak się dziecko zmęczy, to je posadzimy, a ja będę popychał.

– Nie, nie! – powtarzała Litka ze łzami w głosie.

On zaś niósł ją z taką tkliwością, jak starszy brat, lub jak ojciec, i serce miał istotnie wezbrane, raz dlatego, że tę małą kochał istotnie, a powtórę, że przyszło mu do głowy to, o czem dotąd nie myślał, a przynajmniej czego nie odczuwał dość wyraźnie: mianowicie, że małżeństwo otwiera także drogę ojcostwu i tym wszystkim skarbowi szczęścia, które się w niem mieszczą. Teraz, niosąc tę drogą sobie, choć obcą dziewczynkę, zrozumiał, że Bóg stworzył go do życia rodzinnego, nietylko na męża, ale i na ojca, jakoteż, że właściwy cel i znaczenie życia tkwi w tem właśnie.

I wszystkie jego myśli uleciały do Maryni. Czuł teraz ze zdwojoną siłą, że ze wszystkich kobiet, jakie dotychczas spotkał, ją przedewszystkiem wybrałby za żonę i z nią chciałby mieć dzieci.

VII

W ciągu następnych dni Litka nie była chora, ale czuła się osłabioną, wychodziła jednak, ponieważ doktor nakazał jej wychodzić, ale polecił bardzo usilnie umiarkowany ruch pod górę. Waskowski poszedł do niego umyślnie, by dowiedzieć się, jaki jest stan jej zdrowia. Połaniecki czekał na niego w czytelni, ale już z jego twarzy poznał od razu, że nic dobrego nie przynosi.

– Lekarz nie widzi natychmiastowego niebezpieczeństwa – rzekł stary człowiek – ale skazuje to dziecko na wczesną śmierć i wogóle każe nad niem czuwać, bo, jak mówi, niepodobna odgadnąć dnia, ani godziny.

Połaniecki zakrył oczy ręką:

– Co za nieszczęście, co za cios!... Matka jej nie przeżyje. Śmierć nad takim dzieckiem! Wierzyć się nie chce!

Waskowski miał łzy w oczach.

– Pytałem – rzekł – czy ona musi przy tem dużo cierpieć. Doktor powiedział, że niekoniecznie i może zgasnąć tak cicho, jakby zasnęła.

– Matce nie mówił nic o jej stanie?

– Nie mówił. Powiedział wprawdzie, że jest wada serca, ale dodał, że u dzieci często przechodzą takie rzeczy bez śladu. Sam nie ma nadziei.

Lecz Połaniecki niełatwo poddawał się nieszczęściu.

– Co tam jeden doktor – rzekł. – Trzeba dziecko ratować,

póki jest iskra nadziei. Doktor mógł się nie poznać. Trzeba ją zawieźć do specjalisty do Monachium, lub jego tu sprowadzić. Panią Emilię to przerazi, ale trudna rada! Czekajże pan. Można i tego uniknąć. Ja go sprowadzę – i to zaraz. Pani Emilii powiemy, że taki a taki sławny lekarz przyjechał tu do kogoś, i że jest sposobność poradzenia się o Litkę. Nie można zostawić jej bez ratunku. Trzeba tylko do niego napisać, by wiedział, jak z matką gadać.

– A do kogo chcesz pisać?

– Do kogo? Czy ja wiem! Miejscowy doktor wskaże specjalistę. Chodźmy do niego zaraz, by nie tracić czasu.

I sprawa została załatwioną tegoż samego dnia. Wieczorem poszli obaj do pani Emilii. Litka była zdrowa, ale milcząca i zasepiona. Uśmiechała się wprawdzie i do matki i do swego przyjaciela, okazywała obojgu wdzięczność za troskliwość, jaką ją otaczali, ale Połaniecki nie mógł jej rozbawić. Mając głowę nabitą myślą o grożącym jej niebezpieczeństwie, poczytywał mimowoli ów jej smutek za oznakę rozwijającej się choroby, za wczesne przeczuwanie blizkiej śmierci i z przestachem mówił sobie w duszy, że ona już nie jest taka, jak zwykle, jakby niektóre nitki, łączące ją z życiem, były pozrywane. Przestach jego powiększył się jeszcze, gdy pani Emilia rzekła:

– Litka się dobrze ma, ale wie pan, o co mnie dzisiaj prosiła? – żebyśmy wrócili do Warszawy.

Połaniecki wysiłkiem woli potłumił niepokój i, zwróciwszy się do małej, rzekł, udając wesołość:

– Ach, ty niegodziwe stworzenie! To nie żalby ci było Thumsee?

A dziewczynka poczęła potrząsać swoją płową główką.

– Nie! – odrzekła po chwili.

I łzy zakręciły się jej w oczach, ale prędko nakryła je rzęsami, z obawy, by ich kto nie zobaczył.

– Co jej jest? – pomyślał Połaniecki.

A jej była bardzo prosta rzecz. Oto w Thumsee dowiedziała się, że jej chcą zabrać jej przyjaciela, jej „pana Stacha”, jej najmilszego towarzysza. Usłyszała, że on kocha Marynię Pławicką, a dotąd była pewna, że on kocha tylko ją i mamę. Usłyszała, że mama chce go ożenić z tamtą, a dotychczas uważała go za swoją wyłączną własność. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co jej groziło, odczuwała jednak, że ten pan „Stach” odejdzie od niej i że stanie się jej krzywda – pierwsza, jakiej w życiu doświadczała. I żeby to kto inny jej tę krzywdę wyrządził, mniejby to ją dotknęło, ale właśnie mama i „pan Stach!” To było jakby koło błędne, z którego dziecko wyjść nie umiało i nie mogło. Jakże im się tu poskarżyć na nich samych? Widać, że tak chcą, że tak sobie życzą, że to im potrzebne i że będą szczęśliwi, gdy się tak stanie. Oto mama powiedziała, że „pan Stach” kocha pannę Marynię, a on nie zaprzeczył, więc trzeba ustąpić, połknąć łzy i milczeć nawet przed mamą.

I Litka zamknęła w sobie pierwszą gorycz życiową. Tak jest! musiała ustąpić, że zaś gorycz złem jest lekarstwem dla chorego i tak serca, zatem to ustąpienie mogło być zupełniejsze i bardziej

tragiczne, niż ktokolwiek z otaczających ją mógł przypuścić.

Lekarz-specjalista przyjechał w dwa dni później z Monachium i, zabawiwszy dwa dni w Reichenhallu, potwierdził zupełnie zdanie miejscowego doktora. Panią Emilię uspokoił, Połanieckiemu zaś powiedział, że życie dziecka może przetrwać miesiące i lata, ale będzie wisiało zawsze jak na nitce, która z lada powodu zerwać się może. Kazał oszczędzać małej wzruszeń, zarówno wesołych, jak smutnych, i czuwać nad nią z największą bacnością.

Otoczono ją więc opieką i pieczyotami. Oszczędzano jej nawet najmniejszych wzruszeń, tylko nie oszczędzano jej największych, jakimi były listy Maryni. Echo tego, który nadszedł w tydzień później, odbiło się jednak o jej nasłuchujące teraz pilnie uszki. Mogło ono wprowadzić rozproszyć jej obawy o „pana Stacha”, ale wstrząsnęło nią silnie. Pani Emilia wahała się cały dzień, czy Połanieckiemu pokazać ten list. On się jednak dopytywał teraz codziennie o wiadomości z Krzemienia, musiałaby więc wprost skłamać, chcąc zataić, że nadeszły. Zresztą poczuwała się do obowiązku powiedzenia Połanieckiemu prawdy, by wiedział, jakie napotka trudności.

Drugiego więc wieczora po odebraniu listu, ułożywszy spać Litkę, sama zaczęła rozmowę w tym przedmiocie:

– Marynia bardzo do serca wzięła to, że pan sprzedał tę sumę na Krzemieniu.

– To był list?

– Tak.

– Może mi go pani pokazać?

– Nie. Mogę tylko przeczytać panu większe ustępy. Marynia jest pogrzebiona.

– Czy ona wie, że ja tu jestem?

– Dotychczas musiała nie odebrać mego listu, ale dziwi mnie także, że pan Maszko, który bawi w Krzemieniu, nie wspomniał jej o tem.

– Maszko wyjechał do Krzemienia przede mną i nie był pewny, czy pojedę do Reichenhallu, zwłaszcza, że mu w ostatnich dniach mówił, że zapewne zmienię projekt.

Pani Emilia poszła do biurka po teczkę z listami. Wróciwszy do stołu, poprawiła lampę, poczem, usiadłszy naprzeciw Połanieckiego, wydobyła list z koperty, ale, nim go zaczęła czytać, rzekła:

– Bo widzi pan, jej nie o samą sprzedaż tej sumy chodzi. Ale pan wie... Trochę jej się rozmarzyła główka, więc to miało dla niej i inne znaczenie... Ją naprawdę spotkało wielkie rozczarowanie!

– Pani – rzekł Połaniecki – komu innemu nie przyznałbym się, ale pani powiem otwarcie. Zrobiłem jedno z największych głupstw w życiu, ale też za żadne nie zostałem tak ukarany.

A ona podniosła na niego ze współczuciem swe tkliwe, bladoniebieskie oczy.

– Biedny pan! Więc pan naprawdę taki zajęty Marynią? Przecież nie przez ciekawość pytam, tylko z przyjaźni.. Bo ja bym się starała to wszystko naprawić, ale chciałabym być

pewna...

– Wie pani, co mnie dobiło? – przerwał gwałtownie Połaniecki – tamten poprzedni list! W Krzemieniu podobała mi się! Zacząłem o niej myśleć. Mówiłem sobie: ta byłaby miłsza i lepsza niż jakakolwiek. Ta jest taka, jakiej właśnie szukałem! Ale cóż? Ja sobie dawno powiedziałem: nie będę człowiekiem miękkim i swego nie daruję. Pani rozumie, że jak się z czego robi zasadę, to człowiek się jej trzyma, choćby przez ambicję. Przytem w każdym z nas siedzi dwóch ludzi, z których drugi krytykuje to, co robi pierwszy. Ten drugi począł mi mówić: „Daj pokój, z ojcem nie wytrzymasz”. A to istotnie nieznośna figura! Więc postanowiłem sobie dać pokój. I dlatego pozbyłem się tej sumy. Oto jak było. Dopiero później spostrzegłem, że nie mogę pozbyć się myśli o pannie Pławickiej, i że wciąż mam to samo wrażenie: „Ta jest taka, jakiej szukałeś!” I poznałem, że jestem głupstwo zrobił. I było mi żal. Potem, jak przyszedł ten list, jak się przekonałem, że i z jej strony coś było, że ona mnie mogła pokochać i być moją, tak ją również pokochałem. I daję pani słowo, że albo tracę głowę, albo to jest prawda! Póki się samemu człowiekowi coś roi, to nic, ale gdy się zobaczy, że i tam były otwarte ramiona, co za ogromna różnica! Dobił mnie ten list i rady nie mogę sobie dać!

– Wolę panu nie czytać wszystkiego – odrzekła po chwili pani Emilia. – Naturalnie, ona pisze, że krótki sen skończył się przebudzeniem prędszem, niż się spodziewała. O panu Maszce mówi, że jest bardzo delikatny w sprawach pieniężnych,

jakkolwiek pragnie, by się obróciły na jego korzyść.

– Wyjdzie za niego, jak Bóg w niebie!

– Pan jej nie zna. A o Krzemieniu oto, co pisze: „Papa ma ochotę pozbyć się majątku i zamieszkać w Warszawie. Ty wiesz, jak kocham Krzemień, jak się z nim zrosłam, ale wobec tego, co się stało, już ja sama zwątpiłam, czy moja praca mogłaby się na co przydać. Będę jeszcze próbowała bronić miłego kawałka ziemi! Papa jednak powiada, że sumienie nie pozwala mu więzić mnie na wsi, i to jest tem bardziej gorzkie, że niby o mnie chodzi. Doprawdy, że czasem życie zakrawa na ironię. Pan Maszko ofiaruje papie trzy tysiące dożywotnie i całą sumę z parcelacyi Magierówki. Nie dziwię mu się, że szuka własnej korzyści, ale w razie takiego układu doszedłby prawie darmo do majątku. Sam papa powiedział mu: „W ten sposób, jeśli rok pożyję, wezmę za Krzemień trzy tysiące, bo Magierówka i tak moja”. Ale pan Maszko odpowiedział, że w dzisiejszym stanie rzeczy za Magierówkę zabiorą pieniądze wierzyciele, gdy zaś papa zgodzi się na taki układ, jaki on proponuje, to weźmie do ręki gotówkę, a oprócz tego może żyć trzydzieści lat, albo i więcej. To także prawda. Wiem, że papie w zasadzie podoba się ten projekt, chodzi mu tylko o to, by więcej utargować. Jedyna w tem wszystkim pociecha, że gdy zamieszkamy w Warszawie, to będę widywała częściej ciebie, moja droga Emilko, i Litkę. Szczerze i z całej duszy kocham was obie i wiem, że na wasze przynajmniej serca zawsze mogę liczyć”.

Nastała chwila milczenia, poczem Połaniecki rzekł:

– Więc tak! Pozbawiłem ją Krzemienia, ale za to posłałem jej aspiranta!

I mówiąc to, nie odgadywał, że Marynia napisała w liście niemal te same słowa, i że tylko pani Emilia opuściła je umyślnie, nie chcąc go ranić. Maszko, jeszcze za ostatniej bytności Pławickich w Warszawie, czynił już pewne zabiegi o rękę panny Maryni, nie potrzebowała więc teraz wielkiej domyślności, żeby odgadnąć, co znaczy nabycie przez niego sumy od Połanieckiego i przyjazd na wieś. W tem właśnie tkwiła cała gorycz, zalewająca jej serce, i głęboka uraza, jaką czuła dla Połanieckiego.

– Trzeba to wszystko koniecznie wyjaśnić – mówiła pani Emilia.

– Posłałem jej aspiranta! – powtórzył Połaniecki – nie mogę się nawet tłómaczyć tem, żem nie wiedział o zamiarach Maszki.

Pani Emilia obracała czas jakiś w swych delikatnych palcach list Maryni, poczem rzekła nagle:

– To tak nie może zostać! Ja chciałam pana z nią połączyć przez przyjaźń, jaką mam dla obojga, ale teraz jest jeden powód więcej, mianowicie pańskie zmartwienie. To byłby wyrzut dla mnie i ja tak pana nie mogę zostawić. Niech pan nie traci nadziei... Jest ładne przysłowie francuskie, a bardzo brzydkie polskie o potędze i woli kobiecej. Doprawdy, że ja chcę bardzo pomódz!

Połaniecki chwycił jej rękę i podniósł ją do ust.

– Pani jest najlepsza i najzaczniejsza w świecie istota, jaką spotkałem.

– Byłam bardzo szczęśliwa – odpowiedziała pani Emilia – a ponieważ myślę, że do tego jest tylko jedna droga, więc chciałabym, żeby moi bliscy nią poszli.

– Ma pani słuszność. Ta droga, albo żadna! Skoro żyję, więc chcę, żeby się to życie komuś i mnie na coś zdało.

– A ja, skoro pierwszy raz w życiu podjęłam się roli swatki – rzekła, śmiejąc się, pani Emilia – chcę także, żeby się to na coś zdało. Trzeba tylko pomyśleć, co teraz wypada zrobić.

To rzekłszy, podniosła oczy w górę. Światło lampy padało w pełni na jej drobną, młodą jeszcze bardzo twarz, na jej jasne włosy, nieco zwichrzone nad czołem, i było w niej coś tak uroczego, a zarazem i dziewiczego, że Połanieckiemu, jakkolwiek głowę miał zajętą czem innym, przyszło na myśl przezwisko, które jej dawał Bukacki: wdowy-dziewicy.

– Marynia ma dużo prostoty – rzekła po chwili namysłu – i najlepiej mnie zrozumie, gdy jej napiszę szczerą prawdę. Powiem jej to, co pan mnie mówił: że pan wyjechał zajęty nią bardzo; że to, co pan zrobił, zrobił pan nie obliczywszy się z sobą, pod wpływem tylko tej myśli, że nie mógłby się pogodzić z ojcem; ale, że obecnie pan najszczerzej tego żałuje, prosi, by nie brała tego za złe i nie odejmowała nadziei, że się pozwoli przebłagać.

– A ja napiszę do Maszki, że odkupię u niego tę sumę z takim zyskiem, jakiego on żąda.

Pani Emilia poczęła się śmiać.

– Oto ten trzeźwy, wyrachowany pan Połaniecki, który się chlubi, że pozbył się polskiego charakteru i polskiej

lekkomyślności.

– A tak! a tak! – zawołał już weselszym tonem Połaniecki. – Wyrachowanie polega na tem, żeby nie żałować na to, co warte. Lecz w tej chwili sposepniał.

– A jeśli ona odpowie, że jest narzeczoną Maszki?

– Nie przypuszczam. Pan Maszko może być najzacniejszy człowiek, ale on nie dla niej. Ona nie wyjdzie za mąż bez przywiązania, a wiem, że pan Maszko nie podobał się jej zupełnie. To się nigdy nie stanie. Pan Maryni nie zna. Niech pan tylko uczyni ze swojej strony, co w pana mocy, ale o pana Maszkę niech pan będzie spokojny.

– Więc, zamiast pisać, zatelegrafuję dziś do niego. On nie może w Krzemieniu długo jednym ciągiem bawić i musi w Warszawie odebrać moją depeszę.

VIII

Odpowiedź Maszki, którą Połaniecki odebrał w dwa dni później, brzmiała: „W dniu wczorajszym nabyłem Krzemień.” – Jakkowiek z listu Maryni można było przewidzieć, że rzeczy wezmą taki a nie inny obrót, i młody człowiek powinien był być na to przygotowany, wiadomość sprawiła na nim wrażenie uderzenia piorunu. Zdawało mu się, że stało się zarówno niespodziewane, jak niepowetowane nieszczęście, za które cała odpowiedzialność spada na niego. Pani Emilia, znając lepiej, niż ktokolwiek, przywiązanie Maryni do Krzemienia, miała również przeczucie, którego nie potrafiła ukryć, że przez tę sprzedaż sprawa zbliżenia do siebie dwojga młodych ludzi utrudnia się w wysokim stopniu.

– Maszko, jeśli nie ożeni się z Marynią – mówił Połaniecki – to złupi starego Pławickiego w ten sposób, że swoją opinię ocali, a tamtego zostawi bez grosza. Gdybym był sprzedał tę sumę pierwszemu lichwiarzowi, staryby się wykręcał, coś splotał, więcej obiecywał – i ruina Krzemienia przewlokłaby się o całe lata, w ciągu których mogłoby się zdarzyć coś pomyślnego, a przynajmniej byłby czas sprzedać Krzemień w dobrych warunkach. Teraz, jeśli zostaną bez grosza, to będzie moja wina.

Ale pani Emilia patrzyła na sprawę także i z innej strony.

– Nietylko w tem złe – mówiła – że Krzemień został

sprzedany. Gdyby to kto inny przyczynił się do tego, nie pan, i to zaraz po bytności u Maryni, cała rzecz nie miałaby tego znaczenia; ale to właśnie jest najgorsze, że Marynia tak bardzo nie spodziewała się tego po panu.

Połaniecki odczuwał to również dobrze, że zaś przywykł zdawać sobie jasno sprawę z każdego położenia, rozumiał więc także, że Marynia jest dla niego tak dobrze, jak stracona. Wobec tego pozostawało jedno: przyznać, iż tak jest, zapomnieć o niej i starać się o inną żonę. Ale cała dusza Połanieckiego buntowała się przeciw temu. Naprzód jego uczucie dla panny Maryni, jakkolwiek nagłe, nie umocnione ani czasem, ani bliższą znajomością, jakkolwiek oparte przeważnie na uroku niemal wyłącznie fizycznym, jaki jej postać na nim wywarła, wzrosło w ostatnich tygodniach znacznie. Sprawił to i jej list, i budzące się w Połanieckim przekonanie, że jej wyrządził krzywdę. Brała go teraz nad nią litość i nie mógł o niej myśleć bez wzruszenia; skutkiem tego samo uczucie powiększyło się o te dwa pierwiastki, grające nader ważną rolę w każdym męskim sercu. Następnie ów energiczny, muskularny człowiek nie umiał nigdy poddawać się biernie zbiegowi zdarzeń. Natura jego wprost nie mogła tego znieść. Widok trudności podniecał go właśnie do czynu. Nakoniec sprzeciwiła się zaniechaniu Maryni i jego miłość własna. Myśl, że musi kiedyś sam przed sobą przyznać, że był tylko sprężyną, w rękę takiego Maszki i jednym ze środków do jego celów, że mu się dał zużytkować, a przynajmniej użytkować, napęłniała go wściekłością. Choćby

Maszko nie otrzymał ręki Maryni, choćby skończyło się na Krzemieniu, i to już było dla Połanieckiego więcej, niż mógł wytrzymać. Teraz brała go niepowstrzymana ochota wystąpić przeciw Maszce, narzucać mu kamieni pod nogi, pokrzyżować przynajmniej dalsze jego plany i pokazać mu, że jego adwokacki spryt, w zetknięciu się z prawdziwą męską energią, nie wystarcza.

Te wszystkie i szlachetniejsze i mniej szlachetne powody popychały Połanieckiego z nieprzetartą siłą do przedsięwzięcia czegośkolwiek, do jakiegoś działania. Tymczasem położenie było tego rodzaju, iż nie pozostawało niemal nic do roboty. W tem przeciwieństwie tkwił właśnie dramat. Siedzieć w Reichenhallu, pozwolić Maszce przeprowadzać swoje plany, rozciągać swoje sieci, starać się o rękę panny Pławickiej – nie! za nic! A więc co? I na to ostatnie pytanie nie było odpowiedzi. Po raz pierwszy w życiu Połaniecki miał takie uczucie, jakby go uwiązano na łańcuchu, i im mniej był przyzwyczajony do takiego położenia, tem znosił je trudniej. Poznał też po raz pierwszy w życiu, czym jest bezsenność i rozdrażnione nerwy. Ponieważ Litka w ostatnich dniach znów uczuła się gorzej, więc nad całym towarzystwem zawisła ciężka, jak ołów, atmosfera niepokoju, w której życie stawało się nieznośnem.

Po upływie tygodnia przyszedł znowu list Maryni... Tym razem nie było w nim wzmianki ani o Połanieckim, ani o Maszce. Marynia donosiła tylko o sprzedaży Krzemienia bez żadnej skargi, bez żadnego objaśnienia, jak się sprawa odbyła. Ale z tego właśnie można było wnosić, jak głęboko dotknęła ją

ta sprzedaż.

Połaniecki wolałby był, żeby go o nią oskarżała. Rozumiał przytem dobrze, że milczenie o nim w liście dowodzi, jak dalece został wykreślony z serca tej panny, podczas gdy milczenie o Maszce może dowodzić czegoś całkiem przeciwnego. Ostatecznie, jeśli jej tak chodziło o ten Krzemień, to mogła do niego wrócić, oddając dzisiejszemu właścicielowi jego swą rękę; może więc porała się właśnie z tą myślą. Stary Pławicki miał wprawdzie swoje szlacheckie uprzedzenia i Połaniecki liczył na nie, ale, uważając go przedewszystkiem za egoistę, przypuszczał, że w danym wypadku poświęci dla własnej wygody i córkę i uprzedzenia.

Koniec końcem, siedzenie w Reichenhallu z założonemi rękoma i czekanie na wiadomość, czy panu Maszce podoba się zaofiarować swą rękę pannie Pławickiej, stało się dla Połanieckiego wprost niemożliwe. Litka powtarzała także od czasu do czasu prośbę do matki, by wracać do Warszawy, więc i Połaniecki postanowił wracać, tem bardziej, że zbliżał się termin, w którym obaj z Bigielem mieli rozpocząć nowy interes.

Postanowienie to przyniosło mu na razie wielką ulgę. Wróci, zajrzy położeniu z bliska w oczy i może coś przedsięwziąć. Zawsze było to coś więcej, niż siedzieć w Reichenhallu. I pani Emilia i Litka przyjęły wiadomość o jego wyjeździe bez zdziwienia. Wiedziały, że przyjechał tylko na kilka tygodni i spodziewały się rychło zobaczyć go w Warszawie. Pani Emilia miała także w połowie sierpnia wyjechać. Przez resztę

miesiąca postanowiła zostać razem z Waskowskim w Salzburgu, potem zaś wracać do Warszawy. Tymczasem przyrzekła Połanieckiemu, że doniesie mu kilkakrotnie o zdrowiu Litki, a oprócz tego będzie pisała do Maryni, by dowiedzieć się, jakie są naprawdę jej myśli względem Maszki.

W dniu wyjazdu obie panie, wraz z Waskowskim, odprowadziły go na kolej. Gdy już był w wagonie, uczyniło mu się nieco żal odjeżdżać. Bądźcobądź, nie wiedział, jak się wszystko obróci w Warszawie, tu zaś otaczały go najżyczliwsze istoty, jakie miał w świecie. Wychylony przez okno, patrzył na smutne oczęta Litki, podniesione ku niemu, i na przyjazną twarz pani Emilii, z takim uczuciem, jakby to była jego rodzina. I znowu uderzyła go nadzwyczajna piękność młodej wdowy, jej aż nadto delikatne rysy, anielski wyraz twarzy i jej postać zupełnie panińska, przybrana w czarną suknię.

– Niech pan będzie zdrow – mówiła pani Emilia – i niech pan do nas napisze z Warszawy; mniej więcej za trzy tygodnie się zobaczymy.

– Za trzy tygodnie – powtórzył Połaniecki. – Napiszę z pewnością. Do widzenia, Lituś!

– Do widzenia! Niech się pan kłania Ewce i Joasi!

– Dobrze!

I wyciągnął jeszcze rękę przez okno:

– Do widzenia! Niech panie pamiętają o przyjacielu.

– Nie zapomnimy, nie zapomnimy! Chce pan, żebyśmy odmawiały nowennę na pańską intencję? – pytała z uśmiechem

pani Emilia.

– Dziękuję i za to. Dobrze! Do widzenia, profesorze!

Pociąg ruszył w tej chwili. Panie poczęły machać jeszcze parasolkami, póki coraz śpieszniejszy oddech lokomotywy nie przesłonił kłębam dymu i pary okna, przez które wyglądał Połaniecki.

– Mamo – spytała Litka – czy naprawdę trzeba mówić nowennę za pana Stacha?

– Trzeba, Lituś. On taki dla nas dobry. Trzeba prosić Boga, żeby był szczęśliwy.

– A czy on jest nieszczęśliwy?

– Nie... To jest... widzisz, każdy ma swoje zmartwienie i on ma swoje.

– Ja wiem, ja słyszałam w Thumsee – odrzekła dziewczynka.

I po chwili dodała ciszej:

– Będę mówiła nowennę...

A profesor Waskowski, który przy całej swej pocziwości nie umiał nigdy utrzymać języka, rzekł po chwili do pani Emilii, gdy Litka poszła naprzód:

– To złote serce i on kocha obie panie, jak brat. Teraz, gdy nam specjalista powiedział, że niema najmniejszej obawy, mogę wszystko powiedzieć. To Połaniecki umyślnie go sprowadził, bo się zaniepokoił o małą w Thumsee.

– On? – spytała pani Emilia. – No, widzi pan, co to za człowiek!

I łzy wdzięczności zakręciły się jej w oczach. Po chwili zaś

dodała:

– Ale ja mu się odpłacę za to, bo mu dam Marynię.

Połaniecki odjeżdżał również z sercem przepełnionem życzliwością i wdzięcznością dla pani Emilii, albowiem człowiek, któremu się coś nie powiedzie i który skutek tego popada w zmartwienie, żywiej odczuwa przyjaźń ludzką. Siedząc więc teraz w kącie wagonu i mając świeżo w myśli obraz pani Emilii, mówił sobie:

– Ot, gdybym się był w niej zakochał! Co za spokój, co za pewność szczęścia! I cel w życiu byłby znaleziony; wiedziałbym, dla kogo pracuję, wiedziałbym, że czemś jestem, że moje istnienie ma jakiś sens. Ona mówi wprawdzie, że nie wyjdzie za mąż, ale za mnie – kto wie! Tamta może być sobie doskonałością, ale może mieć także bardzo oschłe serce.

Tu uczuł nagle, że jednak o tej myśli spokojnie, podczas gdy na każde wspomnienie tamtej chwyta go jakiś niepokój, zarazem przykry i przyjemny. Czuł, że go coś ciągnie tylko do tamtej. Świeżo oto ścisnął rękę pani Emilii i uścisk ów nie zostawił mu żadnego wrażenia, podczas gdy dziś jeszcze pamiętał ciepło dłoni panny Maryni i doznawał pewnego rodzaju dreszczu na samo o tem wspomnienie.

I aż do Salzburga myślał już tylko o „tamtej”. Tym razem myśli jego poczęły nawet przybierać kształt, jeśli nie postanowień, to pytań, jak ma względem niej postąpić i co w tym zbiegu rzeczy jest jego obowiązkiem?

– Nie da się zaprzeczyć, że ja jestem przyczyną sprzedaży

Krzemienia – mówił sobie. – Krzemień nie tylko miał dla niej tę wartość pieniężną, jaką dałoby się może z niego wyciągnąć, gdyby nie przyśpieszona sprzedaż, ale i tę wartość, którą przywiązywało do niego jej serce. Otóż pozbawiłem ją jednej i drugiej; krótko mówiąc: skrzywdziłem ją! Postąpiłem prawnie, ale to dla sumienia, złożonego z czegoś więcej, niż z paragrafów, nie wystarcza. Zawiniłem i przyznaję się do tego, a skoro tak, to muszę to naprawić w jakikolwiek sposób.

Ale jak?

– Na odkupienie Krzemienia od Maszki nie jestem dość bogaty. Mógłbym to może uczynić, rozwiązując spółkę z Bigielem i wycofywując wszystkie moje pieniądze, to zaś jest materyalną niemożebnością. Bigiel mógłby przez to upaść, więc tego nie zrobię. Pozostaje mi zatem jedno, mianowicie: utrzymać z Pławickimi stosunki jakimkolwiek sposobem, a następnie oświadczyć się w krótkim czasie o rękę panny Pławickiej. Jeśli dostanę kosza, to przynajmniej uczynię, co do mnie należy.

Ale tu ów drugi, wewnętrzny człowiek, o którym Połaniecki wspominał, zabrał głos i począł mówić:

– Nie zasłaniaj się kwestią sumienia. Gdyby panna Pławicka była starsza o dziesięć lat i brzydka, to mógłbyś tak samo przyczynić się do sprzedaży Krzemienia, pozbawić ją wszystkiego, czegoś pozbawił, i do głowyby ci nie przyszło oświadczać się o jej rękę. Powiedzże sobie od razu, że panna Pławicka ciągnie cię, jak obcęgami, za pomocą swojej twarzy, oczu, ust, ramion, całej postaci – i nie oszukuj się.

Lecz Połaniecki trzymał wogóle krótko tego drugiego wewnętrznego człowieka i traktował go czasami bardzo niegrzecznie, zgodnie więc z tą metodą, powiedział mu:

– Naprzód, nie wiesz, głupcze, czy i w takim razie nie starałbym się krzywdy nagrodzić. Że zaś w tym wypadku chcę ją wynagrodzić, oświadczając się o pannę, to właśnie jest naturalne. Ludzie oświadczają się zawsze kobietom, które im się podobają, nie zaś takim, do których czują odrazę. Jeśli więc nie masz nic lepszego do powiedzenia, to milcz.

Wewnętrzny człowiek próbował jeszcze kilku nieśmiałych uwag, jak np., że pan Pławicki może kazać zrzucić pana Połanieckiego ze schodów, że mogą go w najlepszym razie przez próg nie puścić; ale pan Połaniecki jakoś się tego nie uląkł. Ludzie, myślał, nie chwytają się dziś takich środków, jeśli zaś Pławiccy mnie nie przyjmą, to tem gorzej dla nich.

Przypuszczał jednak, że jeśli mają choć trochę taktu, to go przyjmą. Zresztą wiedział, że pannę Marynię będzie widywał u pani Emilii.

Rozmyślając w ten sposób, przyjechał do Salzburga. Była godzina czasu do nadejścia pociągu z Monachium, którym miał jechać do Wiednia, więc postanowił przejść się po mieście. Tymczasem w sali restauracyjnej ujrzał nagle jasny kraciasty pidżak Bukackiego, jego monokl i jego małą głowę, nakrytą jeszcze mniejszym miękkim kapeluszem.

– Bukacki, czy jego duch? – zawołał.

– Uspokój się, Połaniecki – odpowiedział z flegmą Bukacki,

witając go tak, jakby się rozstali przed godziną. – Jak się masz?
– Co ty tu robisz?
– Jem kotlet na margarynie.
– Do Reichenhallu?
– Tak. A ty do domu?
– Tak.
– Nie oświadczyłeś się pani Emilii?
– Nie.
– Więc ci przebaczam. Możesz jechać!
– Schowaj koncepta na lepszą porę. Litka jest bardzo zagrożona.

Bukacki spoważniał i, podniósłszy brwi, począł mówić:

– Aj! aj! Czy to zupełnie pewne?

Połaniecki opowiedział mu pokrótce, jakie jest zdanie lekarzy.

Bukacki milczał przez chwilę, następnie rzekł:

– I nie ma tu człowiek być pesymistą! Biedne dziecko i biedna matka. W razie nieszczęścia, zupełnie sobie nie wyobrażam, jak ona je znieśie.

– Ona jest ogromnie religijna, ale strach o tem myśleć.

– Wyjdźmy trochę na miasto – rzekł Bukacki – tu można się udusić...

I wyszli. Po drodze Bukacki począł powtarzać:

– I nie ma tu człowiek być pesymistą. Cóż jest taka Litka? Po prostu gołąb! Każdyby jej pożałował, tylko śmierć nie pożałuje.

Połaniecki milczał.

– Sam nie wiem teraz – mówił Bukacki – czy jechać do Reichenhallu? W Warszawie, jak jest pani Emilia, to i ja mogę wytrzymać. Raz na miesiąc oświadczam się jej, raz na miesiąc dostaję odkosza i tak sobie żyję od pierwszego do pierwszego. Teraz, pierwszy minął, więc zatęskniłem do mojej pensyi... Czy matka zdaje sobie sprawę ze stanu małej?

– Nie. Dziecko jest zagrożone, ale może być, że pozostaje mu jeszcze z parę lat.

– Ha! może nikomu z nas nie pozostaje więcej. Powiedz mi, czy ty często rozmyślasz nad śmiercią?

– Nie. Co mi to pomoże? Wiem, że tę sprawę muszę przegrać, więc sobie głowy nad nią nie łamię, zwłaszcza przed czasem.

– W tem rzecz, że musimy przegrać, a jednak procesujemy się aż do końca. Oto cały sens życia, które inaczej byłoby tylko nudną farsą, a tak jest zarazem głupim dramatem. Co do mnie, mam teraz trzy rzeczy do wyboru: albo się powiesić, albo jechać do Reichenhallu, albo do Monachium obejrzeć raz jeszcze Boeckliny. Gdybym był logiczny, wybrałbym to pierwsze, ponieważ zaś nie jestem logiczny, więc wybiorę Reichenhall. Pani Emilia warta jest Boecklinów, i jako rysunek i jako kolor.

– Co słysząc w Warszawie? – spytał nagle Połaniecki, który to pytanie miał na ustach od początku rozmowy. – Widziałeś Maszkę?

– Widziałem. Kupił Krzemień i jest wielkim posiadaczem, a ponieważ ma rozum, więc stara się wszelkimi siłami, by się nie wydać zbyt wielkim. Jest łaskawy, wyrozumiały, pobłażliwy,

przystępny, to jest zmienić się na korzyść, nie moją wprawdzie, bo cóż mnie to może obchodzić! Ale zapewne na swoją własną.

– Nie żeni się z panną Pławicką?

– Słyszałem, że ma ochotę. Twój współnik, Bigiel, coś o tem wspomniał, również jak i o tem, że Krzemień został kupiony w warunkach zbyt dla Maszki korzystnych. Na miejscu dowiesz się o tem lepiej.

– Gdzie są obecnie Pławiccy?

– W Warszawie. Mieszkają w hotelu Rzymskim. Mała wcale niebrzydka. Byłem u nich, jako kuzynek, i rozmawiałem o tobie.

– Mogłeś wybrać miłszy dla nich przedmiot rozmowy.

– Pławicki, który jest rad z tego, co się stało, powiedział, że im oddałeś przysługę – zapewne, niechący – ale oddałeś... Pytałem panny, jakim sposobem poznała cię dopiero w Krzemieniu. Odpowiedziała mi, że w czasie jej bytności w Warszawie musiałeś być zapewne za granicą.

– Rzeczywiście, wyjeżdżałem wtedy w interesach domu do Berlina i bawiłem tam długo.

– Owóż urazy w nich dla ciebie nie spostrzegłem. Tyle się jednak nasłuchiwałem o miłości panny do zajęć sielskich, że przypuszczam, iż musi być trochę zła, żeś ją ich pozbawił. W każdym razie nie okazuje tego.

– Być może, że okaże dopiero mnie, a sposobności jej nie zbraknie, gdyż zaraz po powrocie będę u nich.

– W takim razie oddaj mi jedną małą przysługę. Ożeń się z panną, bo z dwojga złego wolę zostać twoim kuzynem, niż tego

Maszk.

– Dobrze – odpowiedział krótko Połaniecki.

IX

Po powrocie do Warszawy, Połaniecki przede wszystkim udał się do Bigiela, który dokładnie rozpowiedział mu, w jakich warunkach Krzemień został sprzedany. Warunki te były nader dla Maszki korzystne. Zobowiązał się on wypłacić po upływie roku trzydzieści pięć tysięcy rubli, które miały wpłynąć z parcelacyi Magierówki, a prócz tego płacić po trzy tysiące rubli rocznie aż do śmierci pana Pławickiego. Połanieckiemu nie wydało się to zrazu układem zbyt dla Pławickich niepomysłnym, lecz Bigiel był innego zdania.

– Ja zbyt śpiesznie ludzi nie sędzę – mówił – ale ostatecznie Pławicki jest starym egoistą, który dla własnej wygody poświęcił przyszłość dziecka, a prócz tego człowiekiem lekkomyślnym. W tym wypadku renta jest niby oparta na Krzemieniu, ale Krzemień, jako majątek zrujnowany, w który trzeba wkładać, ma wartość fikcyjną. Jeśli Maszko doprowadzi go do porządku, to dobrze, jeśli nie, to w najlepszym razie będzie zalegał z wypłatą, a przez całe lata Pławicki może grosza nie widzieć. Co wtedy zrobi? Odbierze napowrót Krzemień. Ale Maszko pozaciąga do tego czasu nowe długi, choćby dlatego, żeby spłacić stare, i – w razie jego bankructwa – Bóg wie ilu wierzycieli wyciągnie po Krzemień ręce. Ostatecznie wszystko polega na uczciwości Maszki, który może być sobie porządnym człowiekiem, ale prowadzi interesa ostro, którego zatem jeden fałszywy krok

może zrujnować. Kto wie, czy samo kupno Krzemienia nie jest takim krokiem, bo, chcąc uporządkować majątek, musi wyciągnąć swój kredyt do ostateczności. Widziałem takich, którym się długo udawało, póki nie rzucili się na kupno wielkich majątków ziemskich.

– Pławickim zostanie zawsze gotowizna za Magierówkę – rzekł Połaniecki, jakby chcąc uspokoić własne obawy o ich przyszłość.

– Jeśli stary Pławicki jej nie przeje, nie przegra, nie zmarnotrawi.

– Ja muszę coś obmyślić. Przyczyniłem się do sprzedaży, więc muszę radzić.

– Ty? – spytał ze zdumieniem Bigiel. – Myślałem, że wasze stosunki są zerwane.

– Spróbuję je zawiązać nanowo. Jutro będę u nich.

– Nie wiem, czy cię radzi zobaczą.

– I ja nie wiem.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? Bo chodzi o złamanie lodów. Samego mogą cię nie przyjąć... Szkoda, że mojej żony nie ma... Po całych wieczorach przesiaduję teraz sam i grywam na wiolonczeli, ale w dzień mam dużo czasu i mogę iść, gdzie chcesz.

Połaniecki jednak odmówił i nazajutrz, przybrawszy się z wielką starannością, poszedł sam. Wiedział, że jest przystojnym człowiekiem, a choć zwykle niewiele o tem myślał, teraz postanowił nie zaniedbać niczego, coby mogło przemówić na

jego korzyść. Idąc, miał także pełno w głowie pomysłów: co powie, co zrobi w takim a takim razie, i z góry starał się przewidzieć, jak go przyjmą.

– Będę jak najprostszym i najotwartszym – mówił sobie. – Ostatecznie, to jest najlepszy sposób.

I sam nie wiedział, kiedy znalazł się przed Rzymskim hotelem. Wówczas serce poczęło mu bić nieco żywiej.

– Byłoby nieźle jednak – pomyślał – żebym ich nie zastał. Zostawiłbym kartę i później zobaczyłbym, czy Pławicki odda mi wizytę.

Lecz natychmiast powiedział sobie: „Nie tchórz!” – i wszedł. Dowiedziawszy się od portyera, że pan Pławicki jest w domu, posłał swoją kartę i po chwili poproszono go na górę.

Pan Pławicki siedział przy stole i pisał listy, pociągając od czasu do czasu dym z cybucha, zakończonego wielkim bursztynem. Na widok Połanieckiego podniósł głowę i, spojrzawszy na niego przez złote binokle, rzekł:

– Proszę, proszę!

– Dowiedziałem się od Bigiela, że państwo jesteście w Warszawie – rzekł Połaniecki – i przychodzę złożyć moje uszanowanie.

– Bardzo to pięknie z twojej strony – odrzekł Pławicki – i co prawda, tom się tego nie spodziewał. Rozstaliśmy się w bardzo przykry sposób i to z twojej winy. Ale ponieważ poczułeś się do obowiązku odwiedzenia mnie, więc ja, jako starszy, otwieram ci znowu ramiona.

Jednakże otworzenie ramion ograniczyło się tym razem do wyciągnięcia przez stół ręki, którą Połaniecki uściśnął, mówiąc sobie w duchu:

– Niech mnie лихо porwie, jeśli ja tu do ciebie przyszedłem i jeśli względem ciebie poczuwam się do jakiegokolwiek obowiązku.

Po chwili spytał:

– Państwo przenosicie się do Warszawy?

– Tak jest. Ja stary wieśniak, przywykły do wstawania ze słońcem i do moich zajęć rolniczych... mnie ciężko będzie w waszej Warszawie. Ale nie godziło mi się więzić dziecka, więc zrobiłem tę jedną więcej ofiarę.

Połaniecki, który spędził dwie noce w Krzemieniu, przypomniał sobie, że pan Pławicki wstawał około jedenastej i że właściwie trudnił się interesami Krzemienia, nie jego rolą; pominął to jednak milczeniem, albowiem głowę zajętą miał w tej chwili czem innym. Oto od numeru, który zajmował pan Pławicki, otwarte drzwi prowadziły do innego, w którym musiała mieszkać panna Marynia. Połanieckiemu, który zezował w kierunku tych drzwi od chwili wejścia, przyszło do głowy, że ona może nie chce do niego wyjść, więc spytał:

– A panny Maryi nie będę miał przyjemności zobaczyć?

– Marynia wyszła obejrzeć mieszkanie, które znalazłem dziś rano. Przyjdzie zaraz, bo to o parę kroków. Wyobraź sobie, cacko, nie mieszkanko! Ja będę miał gabinet i sypialnię, Marynia także bardzo ładny pokoik... jadalny jest wprawdzie trochę

ciemny, ale salonik, jak bombonierka...

Tu pan Pławicki przeszedł do opowiadania o mieszkaniu z obfitością słów dziecka, które coś bawi, lub starego wygodnisia, któremu uśmiecha się zmiana na lepsze. W końcu rzekł:

– Ledwom się obejrzał, jużem znalazł. Warszawka to moja stara przyjaciółka i znam ją dobrze.

Lecz w tej chwili ktoś wszedł do przyległego pokoju.

– To pewno Marynia – rzekł Pławicki.

I począł wołać:

– Maryniu, czy to ty?

– Ja – ozwał się młody głos.

– Chodźże tu; mamy gościa.

Panna Marynia ukazała się we drzwiach. Na widok Połanieckiego zdziwienie błysnęło na jej twarzy.

Połaniecki, wstawszy, skłonił się, a gdy zbliżyła się do stołu, wyciągnął ku niej na powitanie rękę. Ona podała mu swoją zarówno chłodno, jak grzecznie. Poczem zwróciła się do ojca, jak gdyby nikogo więcej nie było w pokoju.

– Widziałam mieszkanie – rzekła. – Ładne i wygodne; nie wiem tylko, czy ulica nie zbyt hałaśliwa.

– Wszystkie ulice są hałaśliwe – zauważył pan Pławicki. – To nie wieś.

– Przepraszam, pójde zdjąć kapelusz – odrzekła panna Marynia.

I wróciwszy do swego pokoju, nie ukazywała się przez czas dość długi.

– Nie pokaże się więcej – pomyślał Połaniecki.

Lecz ona widocznie poprawiała tylko włosy przed lustrem po zdjęciu kapelusza, poczem weszła znowu i spytała:

– Nie przeszkadzam?

– Nie – rzekł Pławicki – nie mamy już ze sobą żadnych interesów, z czego, mówiąc nawiasem, rad jestem mocno. Pan Połaniecki przyszedł tylko z grzeczności.

Połaniecki poczerwieniał nieco i chcąc zmienić przedmiot rozmowy, rzekł:

– Wracam z Reichenhallu, przywożę pani ukłony od pani Chwastowskiej i od Litki, i to jest także jeden z powodów, dla których ośmieliłem się przyjść.

Na chwilę, ów chłodny spokój, który był na twarzy panny Maryni, znikł.

– Pisała mi Emilka o ataku Litki – rzekła. – Jakże ona się teraz ma?

– Drugiego nie było.

– Spodziewam się też znowu listu i może już przyszedł, ale go nie odebrałam, ponieważ Emilka adresowała prawdopodobnie do Krzemienia.

– To ci go odeślą – rzekł Pławicki. – Dałem polecenie, by wszystko, co przyjdzie, tu odsyłano.

– Państwo już nie powrócicie na wieś? – spytał Połaniecki.

– Nie; nie powrócimy – odrzekła panna Marynia, której oczy przybrały napowrót wyraz chłodnego spokoju.

Nastała chwila milczenia. Połaniecki patrzył na młodą

dziewczynę i zdawał się walczyć sam ze sobą. Jej twarz ciągnęła go z nieznaną mu dotąd siłą. Czuł coraz wyraźniej, że w takiej właśnie znalazłby największe upodobanie, że taką mógłby pokochać, że to jest jego typ kobiety wybranej – i tem bardziej jej chłód stawał mu się nieznośny. Dałby teraz Bóg wie co, by w tych rysach odnaleźć znów ten wyraz, który widział w Krzemieniu, to zajęcie się jego słowami i zaśłuchanie, tę zaciekawioną przezroczystość oczu pełnych uśmiechów; dałby Bóg wie co, żeby to wszystko wróciło, a nie wiedział, jaką drogą iść do tego, powolną, czy prędką, więc dlatego się wahał. Wybrał na koniec tę, która była zgodniejsza z jego naturą.

– Wiedziałem – rzekł nagle – jak pani kochała Krzemień, i mimo tego, być może, że przyczyniłem się do jego sprzedaży. Jeśli tak jest, to powiadam pani otwarcie, że tego najmocniej żałuję i nigdy żałować nie przestanę. Na swoją obronę nie mogę nawet powiedzieć, że to uczynił w uniesieniu i bez namysłu. Owszem, namysliłem się, tylko namysł był zły i bezrozumny. Tem większa moja wina i tem bardziej proszę panią o przebaczenie.

To rzekłszy, wstał. Policzki mu zapłonęły, z oczu biła prawda i otwartość, ale słowa jego pozostały bez wrażenia. Połaniecki szedł błędną drogą. Zamało on znał kobiety wogóle, żeby mógł sobie zdać sprawę, jak dalece sądy ich, zwłaszcza o mężczyznach, bywają zależne od ich uczuć, zarówno chwilowych, jak stałych. Wszystko na mocy tych uczuć może być przyjęte za dobrą, lub złą monetę; wszystko tłumaczone

na złe lub dobre, uznane za słuszne lub za fałszywe; głupota może być poczytaną za rozum, rozum za głupotę, egoizm za poświęcenie, poświęcenie za samolubstwo, grubiaństwo za otwartość, otwartość za brak delikatności. Mężczyzna, który w danej chwili budzi niechęć, nie może mieć dla kobiety słuszności, nie może być szczerym, nie może być sprawiedliwym, nie może być dobrze wychowanym. Owóż panna Marynia, czując do Połanieckiego od chwili przyjazdu Maszki do Krzemienia głęboką urazę i niechęć, wzięła mu teraz wprost za złe jego otwartość. Pierwszą jej myślą było: „Cóż to za człowiek, który uznaje za bezrozumne i złe to, co kilka dni temu zrobił z rozmysłem?...” Następnie Krzemień, jego sprzedaż, przyjazd Maszki i znaczenie tego przyjazdu, które odgadła, to była w niej jakby rana, która jątrzyła się coraz bardziej. I teraz zdawało jej się, że Połaniecki rozkrwawia tę ranę z całą bezwzględnością człowieka o szorstkiej naturze i grubych nerwach.

On wstał i, z oczyma w jej twarzy, czekał, czy się ku niemu nie wyciągnie przyjazna i przebacząca ręka, z jasnym poczuciem, że jedno takie wyciągnięcie dłoni może stanowić o jego losie; lecz jej oczy pociemniały na chwilę, jakby z bólu i gniewu, twarz zaś stała się jeszcze zimniejsza.

– Niech pan się tem nie kłopoce – odrzekła z lodowatą grzecznością. – Papa jest owszem bardzo rad z układu i z całego stosunku z panem Maszką.

To rzekłszy, wstała także, jakby rozumiejąc, że Połaniecki

chce się pożegnać. On zatrzymał się jeszcze chwilę, zrażony, zawiedzony, pełen uczucia upokorzenia, jakiego doznaje zawsze człowiek, którego odepchnięto, wreszcie pełen urazy i tłumionego gniewu.

– Jeśli tak – odrzekł – to i ja niczego więcej nie pragnąłem.

– Ale tak! ale tak! – zrobiłem dobry interes – zakończył pan Pławicki.

Połaniecki wyszedł – i schodząc po kilka schodów od razu, z zaciśniętym na głowę kapeluszem, powtarzał sobie w duchu:

– Noga moja u was więcej nie postanie.

Czuł jednak, że gdy wróci do domu, to go zadławi gniew; ruszył więc przed siebie, nie myśląc o tem, gdzie go nogi poniosą. Zdawało mu się w tej chwili, że nie kocha Maryni, że ją nawet nienawidzi, ale jednak myślał o niej, i gdyby myślał spokojniej, zdałby sobie sprawę, że samo zobaczenie jej wstrząsnęło nim głęboko. Widział ją oto znowu, patrzył na nią, porównał z rzeczywistością ten jej obraz, który nosił w pamięci – i obraz, stawszy się przez to jeszcze wyraźniejszy, bardziej realnie ponętny, tem silniej działał na niego. I, mimo gniewu, w głębi jego duszy podnosiło głowę ogromne upodobanie i zachwyt. Istniały teraz dla niego jakby dwie Marynie: jedna potulna, przyjazna, zasłuchana i gotowa kochać, Marynia z Krzemienia; druga, ta lodowata panna z Warszawy, która go odrzuciła. Kobieta często zdwaja się tak w sercu męskiem, które wówczas najczęściej gotowe jest przebaczyć tej nieprzyjemnej dla tamtej kochanej. Połaniecki nie przypuszczał nawet, żeby

Marynia potrafiła być taką, jaką dziś okazała się dla niego, z tego powodu w jego gniewie było jakby pewne zdziwienie. Znając swoją istotnie niezaprzeczoną wartość i będąc dostatecznie zarozumiałym, nosił w sobie przeświadczenie, do którego nie chciałby się przyznać sam przed sobą, że dość mu wyciągnąć rękę, by za nią pochwyciono. Tymczasem pokazało się inaczej. Ta potulna panna Marynia wystąpiła nagle nietylko w roli sędziego, który wydaje wyroki i potrafi potępić, ale zarazem i w roli jakby królowej, u której można być w łasce lub niełasce. Połaniecki nie mógł się z tą myślą oswoić i szamotał się z nią, ale taka jest natura ludzka, że gdy poznał, iż dla tej panny nie jest tak pożądanym, jak sądził, że ona nietylko nie ceni go zbyt wysoko, ale niżej od siebie samej, wbrew niechęci, urazie, gniewowi, cena jej wzrosła w jego oczach. Jego miłość własna została zraniona, a z drugiej strony jego wola, istotnie silna, gotowa była porwać się do walki z trudnościami i podruzgotać je. Wszystkie te myśli krążyły teraz bezładnie w jego głowie, a raczej były to bardziej poczucia, niż myśli, poszarpane i same szarpiące. Powtarzał sobie stokroć, że wszystkiego poniecha, że musi i chce poniechać, a jednocześnie był dość słabym i małym, by w tej samej chwili, gdzieś w najtajniejszym kącie duszy, liczyć na przyjazd pani Emilii i na tę pomoc, jaką ów przyjazd mógł mu przynieść.

Pograżony w tej duchowej rozterce, nie opamiętał się, aż w połowie Zjazdu. Wówczas zadał sobie pytanie: „Po licha ja szedłem na Pragę?” – i zatrzymał się. Dzień był pogodny i schylał się ku wieczorowi. Wisła płynęła poniżej w blasku, a za nią i

za bliższymi kępami zieloności widać było rozległy kraj, zakryty na widnokręgu mgłą różową i sinawą. Hen, za temi mgłami, był Krzemień, który Marynia kochała i który straciła. Połaniecki, utopiwszy oczy w mgły, powiedział sobie:

– Ciekawym, coby zrobiła, żebym jej go oddał?

Lecz nie umiał sobie tego dokładnie wyobrazić, natomiast wyobraził sobie, że utrata tego kawałka ziemi była dla niej istotnie wielką przykrością – i zrobiło mu się jej żal. W tym żalu poczęła się rozpyływać jego uraza i przesłaniać się jakby mgłą. Sumienie jęło mu szeptać, że miał to, na co zasłużył.

Wracając, mówił sobie:

– Jednakże ja o tem wszystkim ciągle myślę.

I rzeczywiście tak było. Nigdy w najważniejszych sprawach pieniężnych nie doznawał ani pół takiego niepokoju, nigdy też nie pogrążał się w nie tak dalece. I znów przyszło mu na myśl to, co mówił Waskowski, że natura jego, jako Połanieckiego, nie zdolna jest włożyć całej duszy w robienie pieniędzy. Nigdy nie doświadczył równie jasnego poczucia, że mogą być sprawy od tego ważniejsze i po prostu bardziej pozytywne. Po raz drugi ogarnęło go pewne zdziwienie.

Była już blisko dziewiąta, gdy zaszedł do Bigiela. Bigiel, sam w obszernem, pustem mieszkaniu, siedział we drzwiach otwartych na ogrodową werandę i wygrywał na wiolonczeli, tak, że aż wszystko w domu drgało. Ujrawszy Połanieckiego, przerwał jakieś tremolo i spytał:

– Byłeś dziś u Pławickich?

– Byłem.

– Jakże panna?

– Jak karafka „frapowanej” wody. Na taki gorący dzień to przyjemność. Zresztą grzeczni ludzie.

– Przewidywałem to.

– Graj dalej.

Bigiel zaczął grać „Träumerei” i grając, przymykał oczy, lub podnosił je na księżyc. W ciszy muzyka zdawała się napępniać słodyczą dom, ogród i samą noc.

Gdy skończył, milczał przez chwilę, poczem rzekł:

– Wiesz co? Jak pani Emilia wróci, żona moja zaprosi ją do siebie na wieś, a z nią i pannę Pławicką. Może tam te lody między wami stopnieją.

– Zagraj jeszcze raz „Träumerei”.

Dźwięki ozwały się po raz drugi, spokojne i rozmarzone. I Połaniecki był zbyt młodym, by nie miał być również choć trochę marzycielem. Więc wyobraził sobie, że Marynia słucha z nim razem „Träumerei” z rękami w jego rękach, z głową na jego piersiach, kochająca bardzo i nad wszystko w świecie kochana.

X

Pan Pławicki był jednak człowiekiem co się nazywa dobrze wychowanym, albowiem trzeciego dnia oddał wizytę Połanieckiemu. Oddał ją nie drugiego, taka bowiem skwapliwość oznaczałaby chęć utrzymania bliskich stosunków, i nie czwartego, albo piątego, byłoby to bowiem dowodem braku znajomości zwyczajów światowych, tylko w terminie najwłaściwszym i jedynie wskazanym przez przykazania „savoir vivre”. Pan Pławicki szczycił się całe życie znajomością tych przykazań oraz właściwych im odcieni i zachowywanie ich uważał za najwyższą mądrość ludzką. Jako człowiek wyrozumiały, pozwalał wprawdzie istnieć i innym gałęziom wiedzy, pod warunkiem wszelako, żeby się nie przeceniały, a zwłaszcza, by nie miały pretensji narzucania się ludziom prawdziwie dobrze wychowanym.

Połaniecki, dla którego wszystko było pożądanem, co nawiązywało jakąkolwiek nić dalszych stosunków z panną Marynią, z trudnością potrafił ukryć radość, jaką mu sprawiło przybycie pana Pławickiego. Radość ta odbiła się też w uprzejmem i pełnem dobrego humoru przyjęciu. Musiał on zresztą podziwiać pana Pławickiego i wpływ, jaki na niego uczyniło miasto. Czupryna jego lśniła się, jak skrzydła krucze, małe wąsiki sterczały do góry, walcząc o lepsze pod względem barwy z czupryną, biała kamizelka okrywała wysmukłą pierś,

pąsowy zaś gwoździak przy czarnej żakietce dodawał jakiegoś świątecznego blasku całej postaci.

– Pod słowem, nie poznałem wujaszka w pierwszej chwili! – zawołał Połaniecki. – Myślałem, że jaki młodzik wchodzi.

– Bonjour, bonjour! – odpowiedział pan Pławicki. – Chmurny dzień, trochę tu ciemno, i chyba dlatego wzięłeś mnie za młodzika.

– Chmurno, czy jasno – co to za figura! – odpowiedział Połaniecki.

I, chwyciwszy bez ceremonii w boki pana Pławickiego, począł nim obracać i mówić:

– Talia zupełnie jak u panny. Chciałbym mieć taką!

Pan Pławicki, mocno zgorszony tak bezceremonialnem powitaniem, ale zarazem jeszcze mocniej uradowany tym podziwem, jaki wzbudzała jego postać, mówił, broniąc się:

– Voyons! Waryat jesteś. Mógłbym się pogniewać! Waryat jesteś.

– Ale wujaszek nazawraca głów, ile sam zechce.

– Co powiadasz? – spytał pan Pławicki, sadowiąc się w fotelu.

– Powiadam, że wujaszek przyjechał tu na podboje...

– Nie myślę o tem wcale. Waryat jesteś!

– A pani Jamiszowa? Albo to nie widziałem na własne oczy...

– Co?

Tu pan Pławicki przymknął jedno oko i wysunął koniec języka, ale trwało to chwilę tylko, poczem podniósł brwi i rzekł:

– Widzisz, Jamiszowa?... Dobrze to na Krzemień... Między

nami, nie znoszę afektacyi, bo to zawsze trąci prowincją. Niech Jamiszowej Pan Bóg nie pamięta, ile mnie ona namęczyła swoją afektacją. Kobieta powinna mieć odwagę zestarzeć się – wtedy stosunek kończy się przyjaźnią, inaczej zaś staje się niewolą.

– I wujaszek czuł się motylem w pętach?

– Tylko nie mów tak – odrzekł z godnością pan Pławicki – i nie wyobrażaj sobie, żeby coś między nami było. Gdyby też i było, nie usłyszałbyś odemnie o tem ani słowa. Wierz mi, jest wielka różnica między wami, a nami z poprzedniego pokolenia. My nie byliśmy może świętymi, ale umieliśmy milczeć, a to jest wielka cnota, bez której to, co się nazywa prawdziwym szlachectwem, nie istnieje.

– Z tego wnoszę, że mi się wuj nie przyzna, gdzie odemnie pójdzie z tym czerwonym gwoździkiem przy wyłogu.

– Owszem, owszem... Maszko dziś prosił na śniadanie mnie i kilka innych osób. Z początku odmówiłem, nie chcąc zostawić Maryni samej... Ale nasiedziałem się dla niej tyle na wsi, że istotnie należy mi się trochę rozrywki. A ty nie jesteś proszony?

– Nie.

– To mnie dziwi. Jesteś, jak sam powiadasz, „aferzystą,” ale nosisz porządne nazwisko. Maszko zresztą sam jest adwokatem... Wogóle jednak powiem ci, iż nie myślałem, żeby on potrafił się tak postawić.

– Maszko potrafi postawić się nawet na głowie...

– Bywa wszędzie, wszyscy go przyjmują... A ja miałem niedługo do niego uprzedzenie.

– A teraz wuj nie ma uprzedzenia?

– Muszę przyznać, że ze mną postępował w całej tej sprawie z Krzemieniem, jak gentleman.

– Panna Marynia jest tego samego zdania?

– Zapewne... chociaż myślę, że jej ten Krzemień leży na sercu... Dla niej to zrobiłem, żem się go pozbył, ale młodość nie wszystko potrafi zrozumieć. Zresztą wiedziałem o tem i gotów jestem znieść każdą przykrość ze spokojem. Co do Maszki... zapewne!... Ona nie może mu nic zarzucić. Kupił Krzemień, to prawda, ale...

– Ale gotów go oddać?...

– Ty należysz do rodziny, więc, między nami mówiąc, myślę, że tak jest... Jego Marynia zajęła bardzo, jeszcze za naszego poprzedniego pobytu, ale to jakoś nie szło. Dziewczyna była za młoda – nie dość jej się podobał, ja sam, trochę się krzywiłem, bo mnie uprzedzono co do jego rodziny. Bukacki ostrzył sobie na nim zęby – ot i skończyło się na niczem...

– Nie skończyło się, skoro się rozpoczyna na nowo.

– Bom się przekonał, że on pochodzi z bardzo dobrej rodziny, niegdyś włoskiej... Oni się kiedyś nazywali Masco – i przyszli tu z Boną, a potem osiedli na Białorusi. On, jeśliś zauważył, ma nawet trochę twarz włoską.

– Nie, on ma portugalską.

– To już wszystko jedno... Ostatecznie, pomyśl: sprzedać Krzemień, a jednak go mieć – to nie lada głowa wymyśli... Co do Maszki – tak! Sądzę, że taki jest jego zamiar, ale

Marynia, to dziwna dziewczyna. Przykro to mówić, ale człowiek prędzej potrafi zrozumieć obcego, niż własne dziecko. Jeśli ona sobie jednak powie: „Paris vaut la messe,” jak to powiedział Talleyrand...

– A? Ja myślałem, że to powiedział Henryk IV?

– Bo ty jesteś „aferzysta,” człowiek nowych czasów. Wam, młodym, historia i stare dzieje nie w smak, wolicie robić pieniądze... Wszystko tedy zależy od Maryni, a ja nie będę przynaglał; nie będę, bo ostatecznie, przy naszych stosunkach, może się jej jeszcze lepsza partya trafić. Trzeba będzie trochę wejść między ludzi i odszukać dawnych znajomych. Trud to tylko i umęczenie, ale co trzeba, to trzeba. Myślisz, że ja z przyjemnością idę na to śniadanie? Nie! ale muszę trochę i młodzieży przyjmować. Spodziewam się też, że nie będziesz o nas zapominał...

– Nie, nie będę...

– Wiesz, co mi o tobie powiedzieli? że ty dyabło robisz pieniądze. No! no! nie wiem w kogo się wdałeś – nie w ojca! W każdym razie, nie ja ci to będę ganił, nie, nie!... Dusiłś mnie bez miłosierdzia, obszedłeś się ze mną, jak wilk z jagnięciem, ale jest w tobie coś, co mi się podoba, mam do ciebie jakąś słabość.

– I wzajemnie! – rzekł Połaniecki.

Rzeczywiście, pan Pławicki nie kłamał. Miał on instynktowną cześć dla majątku i ten młody człowiek, który go robił, wzbudzał w nim pewien podziw, graniczący z sympatią. To nie był pierwszy lepszy biedny krewniak, któryby potrzebował pomocy,

i dlatego pan Pławicki, choć na razie nie miał względem niego żadnych wyrachowań, postanowił zachować z nim stosunki.

Pod koniec wizyty począł się jeszcze oglądać po pomieszkaniu.

– Pięknie mieszkasz! – rzekł.

Była to także prawda. Połaniecki miał tak przygotowane mieszkanie, jakby się miał żenić. Samo urządzenie go w ten sposób sprawiało mu przyjemność, albowiem dawało jakiś pozór rzeczywistości jego pragnieniom.

Pławicki też, rozejrzawszy się po salonie, za którym widać było drugi, mniejszy, urządzony nader wykwintnie, spytał:

– Czemu ty się nie żenisz?

– Zrobię to, jak będę mógł najprędzej.

Pan Pławicki uśmiechnął się domyślnie i, klepiąc po kolanie Połanieckiego, począł powtarzać:

– I wiem z kim, i wiem z kim!...

– To mi głowa! – zawołał Połaniecki – ukrywajże tu co przed takim dyplomata.

– Aha! co... Z wdówką? z wdówką – co?

– Kochany wujaszek!...

– Co? Niech ci Bóg błogosławi, jak ja błogosławię. A teraz ruszam, bo czas na śniadanie, a wieczorem koncert w Dolinie.

– W kompanii z Maszką?

– Nie, z Marynią – ale i Maszko będzie.

– Wybieram się i ja z Bigielem.

– A to się zobaczymy. Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek

z człowiekiem zawsze może.

– Jak powiedział Talleyrand...

– Więc do widzenia.

Połaniecki lubił czasem muzykę, ale nie wybierał się wcale na koncert, gdy mu jednak Pławicki o tem wspomniał, chwyciła go chęć zobaczenia Maryni. Po odejściu Pławickiego, namyślał się jeszcze czas jakiś, czy iść, czy nie iść, ale, możnaby rzec, dla formy, albowiem z góry wiedział, że nie wytrzyma i pójdzie. Bigiel, który przyszedł do niego na konferencję handlową po południu, z łatwością dał się namówić i koło czwartej znaleźli się w Dolinie. Dzień, jakkolwiek wrześnieowy, był tak ciepły i pogodny, że ludzie zgromadzili się licznie i całe zgromadzenie miało pozór letni. Wszędy mnóstwo jasnych sukien, jasnych parasolek i młodych kobiet, które wyroiły się, jak kolorowe motyle, przygrzane słońcem. Między tym rojem, przeznaczonym do kochania, albo też kochanym i kochającym, zgromadzonym tu zarówno dla muzyki, jak w poszukiwaniu miłości, miała się znajdować i Marynia. Połanieckiemu przypomniały się czasy studenckie, gdy kochał się w nieznanym i wyszukiwał ich w tłumie, myśląc się co chwila z powodu podobieństwa kapeluszy, włosów, ogólnej postawy. I teraz zdarzyło mu się wziąć z daleka za Marynię kilka osób, mniej lub więcej do niej podobnych; i teraz, jak dawniej, za każdym razem, w którym sobie mówił: „To ona!” doznawał tych dziwnych drgań koło serca, tego niepokoju, jakiego doświadczał dawniej. Dziś jednak brała go złość, bo wydawało mu się to śmiesznem, a przytem czuł, że

takie poszukiwania spotkań i widzeń, pochłaniając człowieka i skupiając jego myśl na jednej istocie, zwiększają zajęcie, jakie ona budzi i tem bardziej do niej przykuwają.

Tymczasem orkiestra poczęła grać, zanim mógł odnaleźć tę, której w tłumie upatrywał. Trzeba było się i słuchać, co czynił z przymusem, niecierpliwiąc się w duszy na Bigiela, który słuchał bez ruchu, z przymkniętymi oczyma. Po skończeniu numeru, dojrzał wreszcie błyszczący cylinder i czarne wąsiki pana Pławickiego, a za nimi profil Maryni. Trzeci siedział Maszko, spokojny, pełen dystynkcji, z miną angielskiego lorda. Chwilami przemawiał do Maryni, a ona zwracała się ku niemu, potakując lekko głową.

– Pławiccy tu są – rzekł Połaniecki – trzeba się pójść przywitać.

– Gdzie ich widzisz?

– Ot, tam, z Maszką.

– A prawda. Pójdźmy.

I poszli. Panna Marynia, która lubiła panią Bigielową, powitała Bigiela bardzo serdecznie, Połanieckiemu zaś skinęła głową nie tak zimno, by to mogło zwrócić czyjąkolwiek uwagę, lecz poczęła rozmawiać z Bigielem, wypytując o zdrowie żony i dzieci. On, w odpowiedzi, jął zapraszać i ją i ojca bardzo gorąco, żeby odwiedzili ich w przyszłą niedzielę na letniem mieszkaniu.

– Moja żona będzie szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! – powtarzał. – Może też i pani Emilia przedtem przyjedzie...

Marynia próbowała odmówić, ale pan Pławicki, który chciał

się bawić, a z poprzedniego pobytu w Warszawie wiedział, że Bigielowie żyją dostatnio – przyjął. Stało na tem, że przyjadą na obiad, a powrócą wieczorem. Była to wycieczka łatwa, bo willa Bigielów leżała o jedną stację kolei.

– Tymczasem siadajcie koło nas – rzekł pan Pławicki – właśnie obok nas jest kilka krzeseł próżnych.

Przedtem jednak Połaniecki zwrócił się do Maryni:

– Pani nie miała wiadomości od pani Chwastowskiej?

– Chciałam właśnie spytać, czy pan nie miał – odrzekła.

– Nie, ale jutro spytam depeszą o Litkę.

I rozmowa urwała się. Bigiel usiadł koło pana Pławickiego, Połaniecki zaś na kraju. Marynia zwróciła się znów do Maszki, tak że Połaniecki mógł widzieć tylko jej profil i to niezupełny. Zdawało mu się, że nieco zmizerniała, a przynajmniej cera jej stała się po kilku tygodniach pobytu w mieście bledszą i delikatniejszą, przez co długie jej rzęsy wydawały się cienistsze i bardziej wyraźne. Cała jej postać była jakby bardziej wykwinutą, do czego przyczyniał się staranny ubiór i równie staranne uczesanie, którego sposób był inny, niż dawniejszy. Dawniej nosiła włosy związane niżej, teraz były one upięte modniej, to jest wysoko pod kapeluszem. Połaniecki ogarniał oczyma jej wysmukłą postać, podziwiając całą duszą jej wdzięk, widny we wszystkim, nawet w trzymaniu ręki na kolanach. Wydała mu się bardzo piękna. Odczuł znów z wielką siłą, że jeśli każdy mężczyzna nosi w sobie swój typ kobiecego uroku, który jest miarą wrażenia, jakie dana kobieta na nim sprawia – to ona jest

tak bliską tego typu, że prawie z nim tożsamą. I patrząc na nią, mówił sobie w duszy:

– Ach, taką mieć żonę, taką mieć żonę!

Lecz ona zwracała się do Maszki. Może nawet zwracała się zanadto, i gdyby Połaniecki zachował całą zimną krew, mógłby pomyśleć, że czyni to umyślnie, dlatego, by jemu czynić na złość. I prawdopodobnie tak było. Rozmowa musiała być ożywiona, gdyż przez jej twarz przelatywały od czasu do czasu lekkie kolory.

– Ależ ona go po prostu kokietuje!... – myślał, ściskając zęby, Połaniecki.

I chciał koniecznie usłyszeć, co mówią. Było to jednak trudno. Publiczność w czasie długiej pauzy zachowywała się dość gwarnie. Maryni Połaniecki, przedzielony dwiema osobami, nie mógł wcale słyszeć, natomiast po skończonym nowym numerze usłyszał urwane słowa i zdania Maszki, który miał zwyczaj mówić z przyciskiem, chcąc przez to nadać większą wagę każdemu słowu.

– Ja go lubię – mówił Maszko. – Każdy ma swoje słabości – jego słabością są pieniądze... Wdzięczny mu jestem, bo on mnie namówił... do Krzemienia... Myślę przytem, że jest pani szczerze życzliwy, bo nie szczędził... – ...I wyznaję, że pobudził moją ciekawość...

Marynia odpowiedziała coś na to z wielkiem ożywieniem, poczem Połaniecki znów dosłyszał koniec odpowiedzi Maszki:

– Charakter jeszcze niewyrobiony i inteligencja może

mniejsza, niż energia, ale natura raczej dobra...

Połaniecki doskonale rozumiał, że to o nim mówią – i również dobrze zdał sobie sprawę z taktyki Maszki. Sądzić niby wyrozumiale i bezstronnie, raczej chwalić, lub przynajmniej przyznawać różne przymioty, a jednocześnie obdzierać z wszelkiego uroku, był to znany sposób młodego adwokata. Przez to wznosił się sam na stanowisko sędziego, wyjątkowe i wyższe. Połaniecki wiedział też, że Maszko mówił to nie tyle w chęci poniżenia jego, ile wywyższenia siebie, i że, prawdopodobnie, mówiłby tak samo o każdym innym młodym człowieku, w którym podejrzewałby możliwego współzawodnika.

Była to ostatecznie taktyka, którą może sam Połaniecki byłby się w danym razie posługiwał, co nie przeszkadzało, że w tej chwili poczytał ją Maszce za szczyt przewrotności i postanowił mu za nią zapłacić, byle zdarzyła się sposobność.

Pod koniec koncertu mógł jeszcze zauważyć, jak dalece Maszko wchodzi w rolę starającego się. Gdy panna Marynia, chcąc zawiązać woalkę, zdjęła rękawiczki, a te stoczyły się z jej kolan, Maszko podniósł je i zatrzymał, wraz z parasolką, przyczem zdjął z poręczy krzesła jej pelerynkę i przewiesił sobie przez ramię, by ją jej podać w chwili wyjścia z ogrodu – słowem, całkowicie był nią zajęty, jakkolwiek i w tem zachowywał zimną krew i takt człowieka prawdziwie światowego.

Zdawał się przytem pewny siebie i szczęśliwy. Jakoż Marynia, prócz krótkiej rozmowy, poświęconej Bigielowi, przez resztę czasu, o ile nie słuchała muzyki, rozmawiała tylko z Maszką.

Gdy ruszyli ku wyjściu, szła przed ojcem z nim razem, i znów Połaniecki widział uśmiechnięty jej profil, zwracający się ku Maszce. Rozmawiając, patrzyli sobie w oczy. Twarz jej była ożywiona, a jej uwaga skupiona wyłącznie na tem, co on mówił. Rzeczywiście kokietowała Maszkę. On sam widział to, nie przypuszczając zresztą, mimo swego sprytu, ani na chwilę, że mogła tak czynić tylko dla drażnienia Połanieckiego.

Przed wejściem czekał powóz, do którego Maszko podsadził ją i starego Pławickiego, sam zaś począł się żegnać. Lecz Marynia, przechyliwszy się ku niemu, rzekła:

– Jakże? Papa przecie prosił pana? Prawda, papo?

– Takeśmy się umówili – rzekł pan Pławicki.

Maszko siadł – i odjechali, zamieniwszy ukłony z Bigielem i Połanieckim. Dwaj przyjaciele szli dość długi czas w milczeniu, wreszcie Połaniecki rzekł, udając spokój w głosie:

– Ciekawym, czy oni już są narzeczeni?

– Nie przypuszczam – rzekł Bigiel – ale do tego idzie.

– To i ja widzę.

– Myślałem, że Maszko będzie szukał majątku. Ale on jest rozkochany. To się może nawet trafić takiemu, który myśli tylko o karierze... Maszko jest rozkochany. Przytem, wzięwszy ją, uwolni się od wypłat za Krzemień. Nie! to nawet i interes nie jest tak zły, jak się zdaje... A panna jest bardzo ładna, co prawda, to prawda!...

I znów umilkli. Połanieckiemu jednak było tak ciężko, że nie mógł wytrzymać.

– Powiem ci otwarcie – ozwał się – to jest dla mnie po prostu męka ta myśl, że ona za niego wyjdzie... I ta bezradność! Wolę wszystko, niż taką bezradność. Jaką ja śmieszną i głupią rolę odegrałem w całej tej sprawie!

– Zapędziłeś się, a to się każdemu może trafić. To jest raczej wina tego dziwnego zbiegu okoliczności, że byłeś wierzyicielem jej ojca. Ty masz zupełnie inne pojęcia o takich sprawach, niż on... jesteście ludzie z dwóch różnych planet – więc nieporozumienie było gotowe. Tyś może postawił rzecz za ostro, ale jak się zastanowię nad wszystkim, to nie mogłeś być zbyt miękkim, nawet ze względu na pannę Pławicką. Czyniąc zbyt wielkie ustępstwa, czyniłbyś je dla niej – nieprawda? Więc cóżby z tego wypadło? Oto, że ona pomaga ojcu w wyzyskiwaniu ciebie. Nie, tę sprawę należało skończyć.

Tu roztropny Bigiel przystanął na chwilę, zastanowił się i rzekł:

– A co do twojej roli to jest jedno wyjście: usunąć się zupełnie, zostawić rzeczy ich biegowi i powiedzieć sobie, że wszystko idzie po twojej myśli.

– Co mi pomoże – zawołał gwałtownie Połaniecki – że sobie to powiem, kiedy nie idzie! nie idzie! Idzie przeciw myśli... A że mi jest głupio, niema i na to rady. Jakże? Naprzód sam to wszystko zrobiłem, a teraz chciałbym odrobić? Ja całe życie wiedziałem, czegom chciałem, a w tym razie działałem, jakbym nie wiedział.

– To są przejścia, o których się zapomina.

– Dobrze, mój kochany, ale tymczasem upada interes do życia. Myślisz, że mnie to obchodzi dzisiaj, tak jak dawniej, czy będę zdrow, czy chory, bogaty lub goły? Czczo mi się robi na samą myśl o przyszłości. Ty jesteś ustalony i związany z życiem, ale co ja? Ot, był widok, i już go nie ma. Przecie to ogromnie zniechęca!

– Ostatecznie, nie jedna panna Pławicka na świecie.

– Co tu gadać! Teraz ona jedna, bo żeby była jaka druga, tobym o tej drugiej myślał. Co tu gadać! Cała rzecz i cała zgryzota w tem, że ona jedna. Za rok może mi dachówka na głowę zlecieć, albo może znajdę inną, ale tego, co będzie jutro – nie wiem, a że mnie dziś lichy bierze, to wiem. To się wiąże we mnie i z innemi rzeczami, o których dziś nie chcę mówić. W życiu zewnętrznem trzeba mieć spokojny chleb – prawda? Otóż w życiu wewnętrznem tak samo. I to pilna sprawa, ale widzisz, ja ją odkładam do ożenienia się, bo to rozumiem, że nowe warunki wyrabiają nowy sposób myślenia, i zresztą chcę skończyć z jednym, nim zacznę drugie. A tu się wszystko tak gmatwa! – i nietylko gmatwa, ale znika! Ledwo się coś zjawi, już niknie. Tak jest i teraz. Żyje się w niepewności. Ot, wolałbym, żeby już byli narzeczonymi, bo w takim razie wszystkoby się skończyło samo przez się.

– Ja ci tylko powiem jedno – rzekł Bigiel – jakem był dzieckiem i zdarzyło mi się czasem wbić sobie drzazgę, to mnie daleko mniej bolało, gdym ją sobie sam wyciągnął, niż gdy mi to zrobił ktoś drugi.

– W tem masz słuszość! – rzekł Połaniecki.

Lecz po chwili dodał:

– Tylko, widzisz, drzazgę można wyciągnąć, jeśli nie za głęboko wlaźła i jeśli się da uchwycić. Zresztą, co są porównania! Z wyciągniętą drzazgą nic nie tracisz, a mnie się widok na przyszłość psuje.

– To prawda, ale jeśli niema innej rady...

– Kto nie jest niedołągą, na to właśnie ciężko mu się zgodzić.

Rozmowa ustała. Dopiero z chwilą, gdy się zaczęli żegnać, Połaniecki rzekł:

– Wiesz co? Wolę nie być u was w niedzielę.

– Może i dobrze zrobisz – odpowiedział Bigiel.

XI

W domu czekała Połanieckiego niespodzianka, zastał bowiem depeszę od pani Chwastowskiej, zawierającą następne słowa: „Wracam jutro rano, Litka dobrze!” Powrót ten był niespodziany, a przynajmniej nadzwyczaj przyśpieszony, że zaś depesza zawierała zapewnienie co do zdrowia Litki, Połaniecki więc zrozumiał, że pani Emilia wraca tylko dlatego, by się zająć jego sprawą. I na tę myśl serce wezbrało mu wdzięcznością. „Ot, to jest pocziwa natura – mówił sobie – to przyjaciółka!...” I obok wdzięczności wezbrała mu w sercu taka nadzieja, tak, jakby pani Emilia posiadała czarodziejski pierścień, lub magiczną łaskę, za pomocą której mogła zmienić w jednej chwili serce panny Maryni. Połaniecki nie widział jasno, jak się to robi, ale wiedział, że przynajmniej ktoś, bardzo życzliwy, będzie za nim przemawiał, będzie go usprawiedliwiał, będzie podnosił jego serce i charakter, a zmniejszał uprzedzenia przeciw niemu, nagromadzone biegiem zdarzeń. Liczył, że pani Emilia będzie w tem bardzo wytrwała, i że będzie to dla niej kwestią obowiązku. Człowiek, któremu coś dokucza, rad szuka tych, na którychby mógł złożyć za to odpowiedzialność. Tak i Połanieckiemu, zwłaszcza w chwilach wezbrania goryczy, wydawało się, że pani Emilia jest także odpowiedzialną za jego stosunek do panny Maryni, gdyby bowiem nie była pokazała owego listu, z którego widać było gotowość panny Maryni do pokochania go – to on

byłby jeszcze zdołał odczepić od niej i myśl i serce. Może poniekąd i było tak, gdyż w historii jego uczucia list ten odegrał rzeczywiście ważną rolę. On mu pokazał, jak szczęście było blizkie i prawie już realne, jak dalece ona w myśli oddawała mu już serce i duszę. Najtrudniej jest porzucić szczęście, które nietylko jest upragnione, ale i zaczęte – i gdyby nie ów list, może istotnie Połaniecki mniejby żałował przeszłości, łatwiej zapomniał i łatwiej się zgodził z położeniem. Teraz nie pamiętał, że to on sam wymógł na pani Chwastowskiej pokazanie owego listu, uważał tylko, mimo całej przyjaźni i wdzięczności dla niej, że ona powinna go wspomagać ze wszystkich sił. Zresztą rozumiał, że tak się będzie działo samo przez się; spodziewał się często widywać pannę Marynię, i to w warunkach dla siebie najkorzystniejszych, albowiem w domu, w którym go kochano, ceniono i w którym podobne uczucia musiały się udzielać każdemu z gości. Wszystko to wzmoгло nadzieję Połanieckiego z nową siłą, ale wzmagając nadzieję, dodało nowe ogniwa do tych, które łączyły jego myśli z Marynią. Poprzednio był sobie obiecał, że nie będzie u Bigielów, teraz zmienił postanowienie, przypuszczając, że jeśli tylko zdrowie pozwoli, pani Emilia także weźmie udział w tej wycieczce. A swoją drogą, poza tymi wszystkimi powodami, związanymi z panną Marynią, rad był z całej duszy, że zobaczy te kochane twarze, tak pani Emilii, jak i Litki, która dotychczas była największem jego przywiązaniem w życiu.

Tegoż jeszcze wieczora napisał parę słów do pana

Pławickiego o przyjeździe, przypuszczając, że mu panna Marynia będzie wdzięczna za tę pośrednią wiadomość; dał znać do mieszkania pani Emilii, by nazajutrz czekano z herbatą, i zamówił wygodny powóz, by odwieźć nim te panie do domu. Nazajutrz o piątej był już na kolei.

W oczekiwaniu na pociąg, począł biegać szybkim krokiem wzdłuż peronu, by się nieco rozgrzać, albowiem ranek był chłodny. Dał, budynki kolejowe i wagony, stojące na bliższych liniach, tonęły w mgle, która, bardzo gęsta przy ziemi, w górze czyniła się różowa i świecąca, zwiastując, że dzień będzie pogodny. Na peronie, prócz urzędników i służby, nie było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, nikogo; zwolna jednak ludzie poczynali napływać. Nagle przed Połanieckim wysunęły się z mgły dwie postacie, z których w jednej poznał z biciem serca Marynię, która z panną służącą pośpieszyła powitać panią Emilię. Nie spodziewając się takiego spotkania, w pierwszej chwili zmieszał się mocno. Ona również zatrzymała się, jakby zdziwiona lub zakłopotana. Po chwili jednak zbliżył się i wyciągnął ku niej rękę.

– Dzień dobry pani! – rzekł – i prawdziwie będzie dla nas obojga dobry, jeśli nasze podróżniczki przyjadą.

– Więc to jeszcze nie pewne? – spytała Marynia.

– Jakto? chybaby zaszło coś niespodziewanego. Miałem wczoraj depeszę i posłałem wiadomość panu Pławickiemu, w tej myśli, że pani ucieszy się z nowiny.

– Dziękuję. Taka miła niespodzianka!...

– Najlepszy dowód, że pani tak rano wstała.

– Jeszczem się nie odzwyczaiła.

– I oboje przyszliśmy zawczasie. Pociąg nadejdzie dopiero za pół godziny. Tymczasem radzę pani nie stać, ale chodzić, bo ranek chłodny, choć dzień zapowiada się śliczny.

– Mgła opada – rzekła Marynia, podnosząc ku górze swoje niebieskie oczy, które Połanieckiemu wydały się w porannem świetle fioletowe.

– Zechce pani przejść się po peronie?

– Dziękuję panu. Wolę zaczekać w sali.

I skinąwszy głową, odeszła. Połaniecki począł znów latać śpiesznymi krokami po peronie. Było mu nieco przykro, że nie chciała z nim zostać, ale tłumaczył sobie, że to może nie wypadało, a jeszcze większą pociechą napełniała go myśl, jak dalece przyjazd pani Emilii będzie sam przez się ich zbliżał i ile spowodzi spotkań. Dziwna jakaś otucha i dobry humor wzrastały w nim z każdą chwilą. Myślał o fioletowych oczach Maryni, o jej twarzy, zaróżowionej porannym chłodem, i przelatując koło okien sali, w której ona siedziała, mówił sobie prawie wesoło:

– Aha! siedz tam, chowaj się! Znajdę ja cię!

I czuł z większą siłą, niż kiedykolwiek, jak bardzo mogłaby mu być drogą, gdyby chciała być choć trochę dobrą.

Tymczasem zadzwoniono i po kilku minutach we mgle, która jeszcze przy ziemi trzymała się gęsto, choć niebo nad nią było już błękitne, ukazały się mętne zarysy pociągu, który, w

miarę zbliżania się, czynił się coraz wyraźniejszy. Lokomotywa, oddychając przerywanymi kłębami dymu, wtoczyła się coraz wolniejszym ruchem na stację i, stanąwszy, poczęła z szumem i sykiem wyrzucać niepotrzebną już resztę pary pod przednie koła.

Połaniecki skoczył do sleepingu – pierwsza bowiem twarz, jaka mignęła mu w szybie, była twarz Litki, która na jego widok rozjaśniła się, jakby na nią padł promień słońca. Rączki dziewczynki poczęły też poruszać się radośnie, kiwając na Połanieckiego, który w jednej chwili był w wagonie.

– Moje kociątko najmilsze! – zawołał, chwytając dłonie Litki – a wyspane? a zdrowe?

– A zdrowam! i wróciliśmy! I będziemy razem – i dzień dobry, panie Stachu!

Tuż za nią stała pani Emilia, której „pan Stach” ucałował rękę bardzo serdecznie i począł mówić tak prędko, jak się zwykle mówi w chwilach powitania:

– Dzień dobry drogiej pani. Mam powóz. Mogą panie zaraz jechać; mój służący odbierze rzeczy, proszę tylko o kwit. W domu czekają z herbatą. Proszę o kwit. Panna Pławicka jest tu także.

Panna Pławicka czekała istotnie przed wagonem i obie z panią Emilią poczęły ścisnąć sobie ręce z twarzami pełnymi uśmiechów. Litka patrzyła przez chwilę na pannę Marynię, jakby wahając się, potem jednak i ona rzuciła się jej na szyję ze zwykłą dawniejszą serdecznością.

– Maryniu, pojedziesz z nami na herbatę – mówiła pani Emilia. – Nas czekają, a ty musisz być naczczo. Dobrze? prawda?

– Jesteście pewno zmęczone, jechałyście całą noc.

– I spałyśmy od granicy, jak zabite, a zbudziwszy się, miałyśmy czas ubrać się i umyć. W każdym razie musimy wypić herbatę, więc nam nic nie przeszkodzi.

– Zatem dobrze. Z największą radością.

Lecz Litka poczęła ciągnąć za suknię matki.

– Mamusiu, a pan Stach?

– Ale naturalnie, że i pan Stach także. On myślał o wszystkim, dzięki jemu znajdziemy wszystko przygotowane, więc musi z nami jechać.

– Musi! musi! – zawołała Litka, zwracając się ku niemu.

A on począł się przekamarzać:

– Otóż nie musi, ale chce.

I po chwili wszyscy czworo siedzieli w powozie. Połaniecki był w wybornym humorze, mając naprzeciw Marynię, a przy sobie małą Litkę. Zdawało mu się, że jasność poranku wchodzi w niego i że zaczynają się dla niego lepsze dni. Czuł, że odtąd będzie należał do małego kółka istot, związanych z sobą życiem towarzyskiem i przyjaźnią, w tem zaś kółku będzie i Marynia. Oto już teraz siedziała naprzeciw niego, bliska jego oczu, i bliska przyjaźnią, jaką oboje czuli dla pani Emilii i Litki.

Tymczasem wszyscy czworo rozmawiali wesoło.

– Co się stało, Emilko – pytała Marynia – żeś przyjechała wcześniej?

- Litka tak codzień prosiła, żeby wracać!
- Nie lubisz zagranicy? – pytał Połaniecki.
- Nie.
- Tęskniłaś za Warszawą?
- Tak.
- A za mną? co? Mów zaraz, bo będzie źle!

Litka spojrzała na matkę, na Marynię, na Połanieckiego i wreszcie odrzekła:

- I za panem Stachem także.
- Masz za to! – rzekł Połaniecki.

I, porwawszy jej rączkę, usiłował ją pocałować, a ona broniła się, jak mogła.

Wreszcie pochowała rączki, on zaś, zwróciwszy się do Maryni i okazując swoje zdrowe, białe zęby, rzekł:

- Bo widzi pani, my ciągle wojujemy, ale się lubimy.
- Tak zwykle bywa – odrzekła panna Marynia.

A on popatrzył jej w oczy szczerze i prosto:

- Ej, żeby to tak zwykle bywało!

Panna Marynia zarumieniała się zlekka i spoważniała, lecz nie odrzekła nic i poczęła rozmawiać z panią Emilią.

Połaniecki zaś zwrócił się do Litki:

- A gdzie profesor Waskowski? Pojechał do Włoch?
- Nie. Został w Częstochowie i pojutrze wraca.
- Zdrów?
- Zdrów.

Tu dziewczynka popatrzyła na swego przyjaciela i rzekła:

– Ale pan Stach schudł, mamó, prawda?

– Istotnie pan zmizerniał – rzekła pani Emilia.

Połaniecki był nieco zmieniony, bo źle spał, a przyczyna jego bezsenności siedziała przed nim w powozie. Lecz począł się tłumaczyć kłopotami i pracą w biurze. Tymczasem zajechali przed mieszkanie pani Emilii.

Przez chwilę, gdy pani Emilia poszła witać się ze służącymi, a Litka wybiegła za nią, Połaniecki i panna Marynia zostali sami w salce jadalnej.

– Pani tu chyba nie ma bliższej znajomości, niż pani Emilia? – spytał Połaniecki.

– Ani bliższej, ani tak kochanej.

– W życiu potrzeba jest dobroci, a ona jest bardzo dobra i życzliwa. Ja, na przykład, który nie mam rodziny, uważam ten dom za rodzinny. Inaczej mi wygląda Warszawa, gdy te panie tu są...

Poczem, mniej już pewnym głosem, dodał:

– Tym razem cieszę się także z ich przyjazdu dla pani i dlatego, że wreszcie będzie między nami coś wspólnego i zgodnego.

Tu począł patrzeć na nią z prośbą w oczach, jakby jej chciał powiedzieć: „Ja tak nie mogę żyć! Podaj mi rękę na zgodę, bądź dobrą i dla mnie, skoro nam się zdarzył dzień tak miły.”

Lecz ona, właśnie dlatego, że nie mogła być dla niego zupełnie obojętną, szła coraz bardziej w kierunku niechęci. Im okazywał większą dobroć serca, im bardziej był sympatyczny, tem jego

postępowanie z nią wydawało jej się bardziej niesłychanem i tem bardziej uraza zwiększała się w jej sercu.

Mając naturę delikatną, a przytem raczej lękliwą, i odczuwając rzeczywiście, że odpowiedź zbyt niechętna popsułaby harmonię dnia, wołała milczeć; lecz on nie potrzebował odprawy w słowach, albowiem w oczach jej wyczytał, co następuje:

– Im mniej będziesz się starał naprawić nasze stosunki, tem one będą lepsze, a będą najlepsze wówczas, gdy będą jak najdalsze.

I radość jego zgasła w jednej chwili, zastąpił ją tylko gniew i żal, jeszcze od gniewu silniejszy, bo płynący jednocześnie z tego niezwalzonego niczem uroku, któremu Połaniecki poddawał się coraz silniej, i z przeświadczenia, że istotnie rozdział między nim a Marynią staje się codzień głębszy.

I ot, patrząc teraz na jej słodką i dobrą twarz, czuł, że staje ona mu się równie drogą, jak niepowrotnie straconą.

Przybycie Litki położyło koniec tej chwili ciężkiej dla niego nad wyraz. Dziewczynka wbiegła z wielką radością, z czupryną w nieładzie, ze śmiechem na ustach, lecz, spostrzegłszy ich, stanęła nagle i poczęła spoglądać to na jedno, to na drugie, swemi ciemnymi oczyma – i wreszcie siadła cicho przy stoliku z herbatą. Wesołość jej znikła także, chociaż Połaniecki, zamknąwszy ból w sercu, starał się być w czasie śniadania rozmowny i wesoły.

Prawie jednak nie zwracał się już do Maryni. Zajmował się

wyłącznie panią Emilią i Litką – i dziwna rzecz: Marynia odczuła to jednak, jak przykrość. Do szeregu uraz przybyła jedna więcej.

Nazajutrz pani Emilia z Litką były wieczorem na herbacie u Pławickich. Pan Pławicki zaprosił i Połanieckiego, który nie przyszedł. I taka jest natura ludzka, że to znów dotknęło Marynię. Niechęć, tak jak miłość, potrzebuje mieć blisko osobę, przeciw której się zwraca. Marynia mimowoli spoglądała cały wieczór ku drzwiom, gdy zaś nadeszła godzina, w której stało się już pewnem, że Połaniecki nie przyjdzie, poczęła kokietować Maszkę, tak, że przejęła zdziwieniem panią Emilię.

XII

Maszko był człowiekiem bardzo sprytnym, ale zarazem pełnym miłości własnej; nie miał zresztą żadnego powodu nie brać wprost za dobrą monetę uprzejmości, jaką okazywała mu Marynia. Niejednakowy jej stopień przypisywał trochę kokieteryi, trochę zmiennemu usposobieniu panny, i jakkolwiek to ostatnie przejmowało go pewnym niepokojem, nie było jednak dość silne, by powstrzymać go od stanowczego kroku.

Bigiel odgadywał istotny stan rzeczy, twierdząc, że Maszko był zakochany. Tak istotnie było. Przedtem już panna Pławicka podobała mu się w wysokim stopniu; następnie, uczyniwszy rachunek wszystkich **za** i wszystkich **przeciw**, doszedł do przekonania, że kategoria **za** przeważa. Młody adwokat cenił wprawdzie majątek, ale, obdarzony przytem wielką trzeźwością umysłu i znając doskonale stosunki, w których się obracał, doszedł do przekonania, że panny bardzo majątnej nie znajdzie i nie dostanie. Zupełnie majątne panny znajdowały się albo między arystokracją rodową i to były dla niego progi zbyt wysokie, albo wśród świata finansów, który ze swej strony szukał znowu związków z rodzinami, noszącemi mniej więcej znane nazwiska. Maszko wiedział doskonale, że jego malowani biskupi i pancernicy, z których podrwiwał Bukacki, nie potrafią mu otworzyć ogniotrwałych kas bankierskich. Rozumiał, że gdyby nawet byli mniej fantastyczni, sam jego zawód adwokacki

stanowiłyby pewną „deminutionem capitis” w oczach grubych ryb finansowych. Z drugiej strony czuł naprawdę pewien rasowy wstręt do tego rodzaju związków, podczas gdy dobrze wylegitymowane dziewczyny miały dla niego ten niepospolity urok, jaki miewają zwykle dla parweniuszów.

Panna Pławicka nie miała posagu – a przynajmniej bardzo nieznaczny – prawda. Biorąc ją jednakże, uwalniał się tem samem Maszko od wszelkich zobowiązań, jakie zaciągnął względem Pławickich, kupując Krzemień. Powtóre, połączywszy się z dobrą szlachecką rodziną, postarałby się zagarnąć całą klientelę szlachecką – i to mogłaby już być korzyść bardzo realna; a nakoniec, przez rodzinne stosunki Maryni, mógłby z czasem objąć interesa kilku, lub kilkunastu rodzin prawdziwie zamożnych – co było od dawna celem jego zabiegów.

Pławiccy, jak wszystkie nieco więcej niż średnie rodziny wiejskie, mieli wprawdzie takich krewnych, do których nie bardzo się przyznawali, ale mieli też i takich, którzy do nich nie bardzo się przyznawali, co zresztą działo się nie tyle z powodów dumy, ale samo przez się, na podstawie pewnego doboru towarzyskiego, z mocy którego każdy poszukuje w życiu ludzi, znajdujących się mniej więcej w takich samych warunkach życia. Większe jednak uroczystości rodzinne związują chwilowo takie rozluźnione stosunki i Maszce nietylko przyjemnie było myśleć o tem, że na ślubie miałyby zupełnie donośnie brzmiące nazwiska, ale widział w tem w przyszłości różne możliwe korzyści. Byłoby bowiem tylko rzeczą zrzeczności, poddać tego

rodzaju ludziom myśl, że będzie z ich strony ładnie, a dla nich samych dobrze i bezpiecznie, gdy swoje interesa powierzą człowiekowi, znanemu z energii, a zarazem więcej niż jednemu ze swoich, bo powinowatemu. Byłby to niejako posag, jaki mogliby dać niebogatej kuzynce. Maszko, obliczając się z siłami, ufał, że potrafi im się narzucić, a z czasem i opanować ich. Wiedział, że ten i ów przyjdzie z początku o radę, taką, jakiej można zaczerpnąć w pogawędce ze znajomym, lub z dalekim krewnym, który wypadkowo zna się na rzeczy; później, o ile rady okażą się dobre, będzie przychodził częściej, a w końcu odda mu wszystko w ręce. W ten sposób, pomagając innym, mógł sam wypłynąć na szerokie wody, oczyścić z czasem Krzemień, dojść do znacznego majątku, porzucić wreszcie adwokaturę, której nie lubił i którą uważał tylko za środek dojścia do celu, i ustalić się wreszcie w wysokich sferach towarzyskich, jako człowiek niezależny, a zarazem przedstawiciel większej i opartej na silnej podstawie własności ziemskiej.

To wszystko przewidział, wyrachował i obliczył, zanim postanowił starać się o rękę panny Pławickiej.

Nie przewidział jednak jednej rzeczy, oto, że się zakocha w takim stopniu, jak się zakochał.

Poniekąd gniewało go to, sądził bowiem, iż uczucie zbyt silne jest czemś przeciwnem tej równowadze, jaką człowiek z wysokiego towarzystwa powinien umieć zawsze zachować. Ta równowaga była jednym z jego złudzeń. Gdyby do tego świata nie potrzebował się wdzierać, ale gdyby się był w nim urodził,

byłby sobie pozwolił kochać się, na ile serca wystarczy. Mimo całego swego sprytu, nie rozumiał, że jednym z największych przywilejów tego świata, który uważa się za uprzywilejowany, jest swoboda. Z tego powodu nie był zupełnie kontent, gdy serce nadto mu topniało w obecności panny Maryni. Ale z drugiej strony, sam cel, do którego dążył, coraz bardziej utożsamiał się w nim z osobistym szczęściem, graniczącem niemal z upojeniem.

Były to dla niego rzeczy nowe, tak nowe, że jasność tych nieznanych widnokręgów oślepiła go. Maszko doszedł do trzydziestu kilku lat życia, nie znając, co jest zachwyty. Teraz rozumiał, ile uroków i szczęścia mieści się w tem słowie, zachwycił się bowiem panną Marynią z całej duszy. Gdy zdarzało się, że pan Pławicki przyjmował go w swoim pokoju, a ona była w sąsiednim, Maszko tak dalece był myślami przy niej, iż z trudnością pojmował, co pan Pławicki mówi. Gdy wchodziła, powstawały mu w sercu zupełnie nieznane przedtem uczucia, tklive i miękkie, które czyniły go lepszym, niż był zwykle. Niebieskie jego oczy zmieniały wówczas swój zwykły stalowy i zimny blask na wyraz słodczy i upojenia, wypieki na twarzy, którymi przypominał profesora Waskowskiego, stawały się jeszcze silniejsze, cała postać traciła pozory sztywności, i rozczesywał palcami swoje ciemne baki, nie jak angielski lord, ale jak zwykły zakochany śmiertelnik. Podniósł się w końcu do tego stopnia, że chciał nietylko swego dobra, ale i jej dobra, nie pojmując go oczywiście inaczej, jak przez siebie i w sobie.

Był tak zakochany, że odtrącony, mógł się stać

niebezpiecznym, zwłaszcza ze względu na brak wyrobienia moralnego, przy wielkiej rzeczywiście energii i bezwzględności. Do tej pory nie kochał tak nigdy i pierwsza Marynia rozbudziła w nim wszystko to, co było zdolne do kochania. Nie była ona świetną pięknoscią, ale posiadała w najwyższym stopniu wdzięk kobiecy i ta jej kobiecość była powodem, że pociągała ku sobie szczególniejszej natury energiczne. W jej delikatnych kształtach było coś z pnącej się rośliny; twarz miała spokojną, oczy przezroczyste i trochę zmysłowe usta – wszystko to razem na pierwszy rzut oka nie czyniło wielkiego wrażenia, ale po chwili każdy najobojętniejszy nawet człowiek spostrzegał, że jest w niej coś szczególnego, co nakazuje pamiętać, że ma się przed sobą kobietę, która mogłaby być kochana.

Zresztą, o ile Maszko czuł się i był rzeczywiście lepszym w tym okresie swego życia, niż zwykle, o tyle poziom duchowy Maryni obniżył się od czasu zamieszkania Pławickich w Warszawie. Sprzedaż Krzemienia odjęła jej pracę i moralną podstawę życia. Zbrakło jej podnioslejszego celu. Przytem przebieg zdarzeń nagromadził w niej dużo goryczy i niechęci, które zawsze zmieniają się w skazy na sercu. Panna Marynia sama odczuwała to wyraźnie i w kilka dni po owym wieczorze, na który Połaniecki nie przyszedł, pierwsza zaczęła o tem mówić z panią Emilią, gdy szarą godziną zostały sam na sam w saloniku, przytykającym do pokoju Litki.

– Ja to widzę – mówiła – że my nie jesteśmy z sobą tak szczerze, jak dawniej. Chciałam z tobą mówić otwarcie i nie

mogłam się zebrać, bo mi się zdawało, że nie jestem już warta twojej przyjaźni.

A pani Emilia zbliżyła swoją słodką twarz do głowy panny Maryni i poczęła całować jej skroń.

– Oj, ty Maryniu, Maryniu! co też ty mówisz, ty, taka zawsze rozsądna i spokojna?

– Bo w Krzemieniu byłam więcej warta, niż teraz. Ty nie uwierzysz, jaka ja byłam do tego kąta przywiązana. Miałam wszystkie dni zajęte i w sobie jakąś dziwną nadzieję, że z czasem przyjdzie coś bardzo szczęśliwego. Dziś to wszystko przeszło i sama siebie nie mogę odnaleźć w tej Warszawie, a co gorzej, i mojej dawnej uczciwości. Widziałam, jakieś się dziwiła, że kokietowała pana Maszkę. Nie mów mi, żeś tego nie spostrzegła. A myślisz, że ja sama wiem, dlaczego to robiłam? Chyba dlatego, że jestem gorsza, chyba z jakiejś złości na siebie, na niego i na cały świat. Nie kocham go, nie pójdę za niego; więc postępuję nieuczciwie i ze wstydem się do tego przyznaję, ale przychodzą chwile, w których chciałabym komuś wyrządzić umyślną krzywdę. Tyś powinna zerwać ze mną dawną przyjaźń, bo ja naprawdę jestem inną, niż byłam.

Tu po twarzy panny Maryni poczęły się toczyć łzy, skutkiem czego pani Emilia tem bardziej ją pieściła i uspokajała; wreszcie rzekła:

– Pan Maszko stara się o ciebie najwidoczniej i przyznaję, iż myślałam, że masz zamiar go przyjąć. Powiem ci teraz szczerze, że mnie to zmartwiło, bo to nie jest człowiek dla ciebie; ale,

wiedząc, jak kochałaś Krzemień, przypuszczałam, że chcesz do niego w taki sposób wrócić...

– Z początku, prawda! miałam takie myśli... Chciałam w siebie wmówić, że mi się pan Maszko podoba; nie chciałam go odpychać... Chodziło mi także o co innego, ale chodziło i o Krzemień. Jednak nie mogłam się przekonać. Za taką cenę nie chcę nawet Krzemienia, ale w tym właśnie leży zło. Bo w takim razie, czemu ja wprowadzam w błąd pana Maszkę, czemu go łudzę? Przez prostą nieuczciwość...

– Nie dobrze, że go łudzisz, ale zdaje mi się, że rozumiem, skąd to wypływa. Z niechęci i urazy dla kogoś innego – czy nie tak? Pociesz się jednak tem, że zło nie jest jeszcze niepowetowane, bo przecie postępowanie swoje z panem Maszką możesz zmienić zaraz od jutra... I trzeba, Maryniu, zmienić, póki czas, póki nic nie było przyrzeczone.

– Ja wiem, Emilko, ja to rozumiem; tylko widzisz kiedy jestem przy tobie i czuję, jak dawniej, jak prawa i uczciwa dziewczyna, to rozumiem, że nietylko słowo, ale i postępowanie obowiązuje. I on może mi to powiedzieć...

– To mu odpowiesz, że chciałaś się do niego przekonać i nie mogłaś. W każdym razie jest to jedyna droga...

Nastąpiła chwila milczenia, ale i Marynia i pani Emilia czuły, że nie rozpoczęły jeszcze rozmawiać o tem, o co, jeśli nie obu, to przynajmniej pani Emilii, najmocniej chodziło. Jakoż, wzięwszy rękę Maryni, rzekła:

– Teraz przyznaj się, Maryniu, że kokietowałaś Maszkę także

i z urazy dla pana Stanisława?

Ta zaś odrzekła głucho:

– Tak jest.

– A czy to nie znaczy, że owo wrażenie pierwszego jego przyjazdu do Krzemienia i pierwszych waszych rozmów jeszcze się nie zatarło?

– Lepiejby było, żeby się zatarło.

Pani Emilia poczęła gładzić jej ciemne włosy.

– Ty nie uwierzysz, jaki to dobry, dzielny i szlachetny człowiek. Dla nas ma on trochę przyjaźni; zawsze lubił Litkę, za co mu jestem z całej duszy wdzięczna. Ale ty wiesz, jakie to bywa nie gorące i nawet nie ciepłe, ale letnie uczucie ta przyjaźń. On jednak i pod tym względem stanowi wyjątek. Czy uwierzysz, że kiedy Litka zachorowała w Reichenhallu, on sprowadził z Monachium sławnego lekarza, a nam, nie chcąc mnie przestraszać, powiedział, że doktor przyjechał do innego chorego, że więc trzeba tylko korzystać z okazji. Pomyśl, co to za troskliwość i dobroć. To jest człowiek bardzo pewny, na którym można się oprzeć, i energiczny i prawy. Bywają ludzie inteligentni, ale bez energii; inni mają energię, ale bez delikatności serca. On łączy jedno i drugie. Zapomniałam ci powiedzieć, że gdy majątek Litki był zachwiany i gdy brat mojego męża wziął się do ratowania go, największą pomoc znalazł w panu Połanieckim. Gdyby Litka była dorosłą, nikomu w świecie nie oddałabym jej z taką ufnością, jak jemu. I nie potrafię ci nawet wyliczyć, ile myśmy doznały od niego dobrego.

– Jeśli tyle, ile ja złego, to bardzo dużo.

– Maryniu, on tego nie chciał. Żebyś wiedziała, jak on cierpi nad swoją nierozwagą i jak szczerze przyznaje się do winy względem ciebie.

– Sam mi to powiedział – odrzekła Marynia. – Ja, moja Emilko, dużo myślałam nad tem; prawdę powiedziawszy, nie myślałam o niczem innem i nie sędzę, żeby on względem mnie zawinił. W Krzemieniu był dla mnie dobry, tak dobry, że mi się zdawało... Tobie jednej to powiem, bom ci to już zresztą pisała, że wieczorem tej niedzieli, którą on spędził u nas, poszłam spać z głową i sercem tak nim przepełnionem, że aż mi wstyd dziś o tem mówić... I czułam, że jeden dzień dłużej, jedno przyjazne słowo więcej z jego strony, a pokocham go na całe życie... Zdawało mi się, że i on... Na drugi dzień wyjechał zagniewany... Była wina ojca, była i moja, więc potrafiłam to zrozumieć i pamiętasz, jaki list napisałam do ciebie do Reichenhallu? Widzisz, zupełnie taką samą ufność, jaką ty w nim masz, miałam i ja... Pojechał. Sama nie wiem, dlaczego myślałam, że wróci lub napisze. Nie wrócił i nie napisał. Coś mi mówiło, że on mi Krzemienia nie odbierze – odebrał... I potem... Ja wiem, że pan Maszko mówił z nim otwarcie, a on go zachęcał i zaręczył mu, że sam o niczem nie myśli... Oj, moja Emilko!... Jeśli chcesz, to on nie zawinił, ale ile złego mi wyrządził! Przez niego straciłam nie tylko kochany kąt, w którym pracowałam, ale i coś więcej: bo wiarę w życie, w ludzi... w to, żeby rzeczy lepsze i szlachetniejsze były w świecie górą nad złemi i płaskimi... I sama stałam się gorsza.

Ja ci szczerze mówię, że nie mogę się odnaleźć. Miał prawo tak postąpić, jak postąpił? – dobrze. Sama to mówię i winy nie uznaję. Tylko, widzisz, połamiał we mnie jakąś sprężynę życiową. I na to niema rady, to się nie da naprawić. Bo jak? Co mi z tego, że w nim zaszła potem zmiana, że żałuje tego, co uczynił i że gotów byłby się nawet ze mną ożenić? Co mi z tego, skoro ja, która go już prawie kochałam, teraz nietylko nie kocham, ale muszę bronić się od wstrętu. To gorzej, niż gdyby mi był obojętny... Ja wiem, o co tobie idzie, ale przecie życie można budować tylko na miłości, nie na niechęci. Jak ja mu mogę podać rękę z tą urazą w duszy i z tym żalem, że przez niego – winien, czy nie winien – tyle się popsuło? Myślisz, że ja nie widzę jego zalet, ale cóż na to poradzę, kiedy im więcej widzę, tem bardziej właśnie mnie od niego odtrąca, i gdybym musiała wybierać, wybrałabym pana Maszkę, choć on mniej wart. Na wszystko, co mi możesz powiedzieć o nim dobrego, zgadzam się, ale na wszystko odpowiadam ci: nie kocham go i nigdy nie pokocham...

Teraz oczy pani Emilii zaszczyły łzami.

– Biedny pan Stach! – rzekła, jakby sama do siebie.

A po chwili milczenia spytała:

– I nic ci go nie żal?

– Żal mi go, gdy myślę o takim, jakim był w Krzemieniu, żal mi go także, gdy go nie widzę, ale z chwilą, gdy go zobaczę, mam dla niego tylko... niechęć.

– Bo nie wiesz, jaki on już był w Reichenhallu nieszczęśliwy,

a teraz jeszcze jest nieszczęśliwszy. On nie ma nikogo na świecie...

– Ma swoją przyjaźń i ma to, że kocha Litkę...

– Moja Maryniu, to jest co innego! Ja z całej duszy mu jestem wdzięczna za to przywiązanie do Litki, ale to zupełnie co innego, i sama to rozumiesz, że on cię kocha inaczej i sto razy mocniej, niż Litkę...

W pokoju było już zupełnie ciemno, ale po chwili służący wniósł lampę i, postawiwszy ją na stole, wyszedł. Przy jej blasku pani Emilia spostrzegła nagle jakiś białawy kształt, skulony na kozetce przy drzwiach, prowadzących do dziecinnego pokoju.

– Kto tam jest? czy to Litka?

– Ja, mamusiu.

W głosie jej było coś niezwykłego. Pani Emilia wstała i podeszła śpiesznie ku niej.

– Kiedy tu weszłaś? Co tobie jest?

– Tak mi jakoś smutno i niedobrze.

Pani Emilia siadła na kozetce i, przygarnawszy do siebie dziewczynkę, spostrzegła w jej oczach łzy.

– Lituś, ty płaczesz? co tobie jest?

– Tak smutno, tak smutno!

I, przytuliwszy głowę do ramienia matki, poczęła płakać. Było jej istotnie smutno, dowiedziała się bowiem, że „pan Stach” jeszcze jest nieszczęśliwszy, niż w Reichenhallu i że Marynię sto razy więcej kocha, niż ją.

Tegoż wieczora, idąc spać, wspięła się, już tylko w koszulce,

do ucha matki i poczęła szeptać:

– Bo, mamusiu, ja mam jeden bardzo wielki grzech na sumieniu...

– Moje biedactwo, cóż ci tam dokucza?

A ona szepnęła jeszcze ciszej:

– Bo ja nie kocham panny Maryni...

XIII

Pani Emilia z Litką i Marynią, a z niemi pan Pławicki, jechali na obiad do Bigielów, do letniego ich domu, położonego w lesie, o półtrzeciej godziny drogi od miasta. Dzień był wrześnieowy, pogodny, pełen błyszczących pajęczyn w powietrzu i na rzyskach. Na drzewach trzymała się jeszcze zieleń dość świeża, gdzieniegdzie jednak, wśród liściastych zagajeń, widać było jakby fontanny lub bukiety żółte i czerwone. Pannie Maryni owa biała i złotawa jesień przypominała zajęcia wiejskie, zapach zbóż w sąsiekach, pola w brogach i przejryste przestrzenie łąk, zakończone aż hen gdzieś na widnokręgu wstążkami olszyn. Zrobiło jej się tęskno po tem życiu i po tym spokoju, wobec których miasto, mimo pracy, która kipi w jego codziennym bycie, ale której panna Marynia nie umiała odczuć, wydało jej się czczem i próżniaczem. Czuła teraz, że to życie, w którem odnajdywała swoją wartość i swoją zasługę, jest dla niej bezpowrotnie stracone – a natomiast nie zarysowało się przed nią nic, coby jej zdołało je zastąpić i wynagrodzić. Mogła wprawdzie poniekąd wrócić do niego, zostawszy panią Maszkową, ale na samą tę myśl, serce zalało się jej goryczą i Maszko, wraz ze swą warszawską pewnością siebie, wraz ze swymi wypiekami i faworytami, wraz ze swem małpowaniem angielskiego lorda, wydał się jej wprost wstrętny. Nigdy też nie czuła większej niechęci do Połanieckiego, który jej odjął Krzemień, a podsunął

na to miejsce Maszkę. Tym brzydziła się w tej chwili, tamtego, zdawało jej się, że nienawidzi. Widziała przed sobą życie z ojcem, na warszawskim bruku, bez celu, bez pracy, bez ideału – z żalem za przeszłością i do przeszłości, a z pustką w przyszłości. Z tej przyczyny, ów pogodny, jesienny dzień, zamiast ją uspokoić, przejął jej duszę smutkiem i goryczą. Droga wogóle nie odbywała się wesoło. Litka siedziała nachmurzona, ponieważ „pana Stacha” nie było w powozie. Pani Emilia zaś całą uwagę zwracała na nią w obawie, czy jej posępny humorek nie stoi w związku ze zdrowiem. Tylko pan Pławicki był w prawdziwie dobrym humorze, zwłaszcza w początku drogi. Naprzód, w swoim zapiętym surducie z czerwonym gwoździkiem w dziurce, w jasnym paletocie i z nastawionymi jak igły wąsikami, czuł się pięknym, a że reumatyzmy, które czasem odczuwał, nie dokuczały mu z powodu pogody, więc i rzeźkim; powtórę, naprzeciw niego siedziała jedna z najprzystojniejszych kobiet w Warszawie, o której przypuszczał, że nie pozostanie obojętna na tyle powabów, o tyle przynajmniej, że potrafi je zauważyć i ocenić. Niechby przynajmniej powiedziała sobie: „Ach, jaki to uroczy musiał być mężczyzna!” – byłby się pan Pławicki w najgorszym razie zadowolił choćby takim, obowiązującym wstecz uznaniem. W tej nadziei był istotnie czarujący, bo naprzemian to wzniosły i ojcowski, to figlarny; wychodząc zaś ze stanowiska, że dzisiejsza młodzież nie umie być grzeczną dla kobiet, w grzecznościach, jakie prawil pani Emilii, zawadzał aż o mitologię, co było nawet pod pewnym

względem usprawiedliwione, patrzył bowiem na nią, jak satyr.

Lecz wszystko to było przyjmowane z bladym uśmiechem i ze zbyt małą uwagą, więc w końcu zraził się i począł mówić o czem innem, mianowicie, że dzięki stosunkom córki, pozna „burżuazyę,” z czego zresztą jest poniekąd rad, bo dotychczas widywał tego rodzaju towarzystwo tylko na scenie, a przecie w życiu trzeba się stykać z najrozmaitszego rodzaju ludźmi, albowiem od wszystkich można się czegoś nauczyć. Dodał wreszcie, że jest obowiązkiem pewnych sfer nie odpychać od siebie ludzi, lecz przeciwnie, przygarniać ich, by tym sposobem wdrażać w nich zdrowe zasady, więc i on, który starał się zawsze spełniać obowiązki społeczne, nie cofnie się przed tą misją. Tu szlachetny wyraz jego twarzy przybrał pewien rodzaj melancholii i w ten sposób zajechali przed willę Bigielów.

Stała ona w szczerym lesie sosnowym, w sąsiedztwie innych, wśród starych sosen, które miejscami wycięto, miejscami pozostawiono w grupach po kilka lub kilkanaście. Zdawały się one nieco dziwić, co robi między niemi, wśród dawnej leśnej zaciszy, dom tak świeży, ale osłaniały go jednak gościnnie przed wiatrem, w dni zaś pogodne otaczały go balsamicznem powietrzem, przesiąkniętem wonią igliwa i żywicy.

Bigielowie, wraz z czeredą dzieci, wyszli na spotkanie gości. Pani Bigielowa, która Marynię bardzo lubiła, witała ją z wielką serdecznością, pragnąc prócz tego ująć ją tem dla Połanieckiego, rozumowała bowiem sobie w ten sposób, że im lepiej panna Marynia pozna, jak mogłoby być jej między nimi dobrze, tem

mniej będzie robiła trudności. Pan Pławicki, który za poprzednią bytnością z Marynią w Warszawie, poznawszy Bigielów u pani Emilii, poprzestał być tylko na złożeniu im kart wizytowych, okazał się teraz tak łaskawym księciem, jakim tylko mógł okazać się człowiek najbardziej wykwiniony, a przytem spełniający misję przygarniania „burżuazyi”. Panią Bigielową pocałował w rękę, Bigielowi zaś rzekł ze wspaniałomyślną dobrocią:

– W dzisiejszych czasach każdemu jest przyjemnie znaleźć się pod dachem człowieka, jak pan, a mnie tem bardziej, skoro mój kuzyn, Połaniecki, wszedł na drogę handlową i jest pańskim współnikiem.

– Połaniecki, to tęgi człowiek – odpowiedział z prostotą Bigiel, ściskając urękawiczoną dłoń pana Pławickiego.

Panie weszły na chwilę do pokojów zdjąć kapelusze, poczem, ponieważ ciepło było zupełnie, wróciły na werandę.

– A pana Połanieckiego niema jeszcze? – spytała pani Emilia.

– Pan Stanisław jest tu od rana – odpowiedziała Bigielowa – ale teraz poszedł odwiedzić panią Krasławską. To tuż obok – dodała, zwracając się do Maryni – niema nawet pół wiorsty... Tu wszędzie pełno letnich mieszkań, a te panie, to nasze najbliższe sąsiedztwo.

– Pamiętam pannę Terkę Krasławską z karnawału – odrzekła Marynia. – Była zawsze bardzo blada.

– O, ona dotychczas bardzo anemiczna. Przeszłą zimę spędzała w Pau.

Tymczasem małe Bigieleta, które kochały na zabój Litkę,

wyciągnęły ją przed dom na zabawę. Dziewczynki pokazywały jej swoje ogródki, pozakładane na piasku między sosnami, na których po prawdzie nic nie chciało rosnąć. Oględziny te były przerywane co chwila ze strony dziewczynek wspinaniem się na palce i całowaniem policzków Litki, która, pochylając swą płową, śliczną główkę, oddawała je z wielką tkliwością.

Ale chłopcy chcieli mieć także swój udział. Naprzód spustoszyli do szczytu gieorginie rosnące pod domem, wybierając dla Litki najpiękniejsze okazy, poczem pokłócili się o to, w co się Litka lubi bawić i poszli na sprawę do pani Emilii. Edzio, który miał zwyczaj mówić bardzo głośno, a przytem zamykać oczy, począł krzyczeć:

– Proszę pani, ja mówię, że ona najlepiej lubi serso, tylko nie wiemy, czy pani pozwoli na serso.

– Byle nie biegała, bo to jej szkodzi.

– Nie, proszę pani. Będziemy tak rzucali, żeby wszystkie kółka prosto szły do niej, to wtedy nic nie będzie biegała. A jeśli Józio nie umie, to niech rzuca do kogo innego.

– Ja chcę do niej! – odpowiedział żałośnie Józio.

I na samą myśl, że go pragną pozbawić tej przyjemności, usta jego przybrały kształt podkówki i poczęły drgać, jednakże Litka zapobiegła wybuchowi żalu, mówiąc:

– I ja będę do ciebie rzucała, Józiu, będę bardzo często do ciebie rzucała.

A wilgotne już oczy Józia poczęły się zaraz uśmiechać.

– Nie zrobią jej oni krzywdy – mówił Bigiel do pani Emilii. –

Dziwna rzecz: chłopczyska urwisy, co się zowie, a z nią ogromnie uważni! Ale to Połaniecki wychował ich w takim kulcie dla niej.

– Takie kochane dzieci, jak mało na świecie! – odrzekła pani Emilia.

Dzieci zaś zbiły się przez chwilę w kupkę, dla rozebrania między siebie kótek i pałeczek. W środku tej kupki stała najstarsza wiekiem i najwyższa Litka, a jakkolwiek Bigielęta należały do dzieci raczej przystojnych, ona ze swą słodką i poetyczną twarzyczką, o rysach prawie nadto delikatnych, wyglądała wśród tych czerstwych pucołowatych twarzyczek, jak istota z innej planety. Pierwsza pani Bigielowa zwróciła na to uwagę.

– Patrzcie – rzekła – czy to nie istna królewna? Szczerze mówię, że jej się napatrzeć nigdy nie mogę.

– Takie to jakieś szlachetne – dodał Bigiel.

A pani Emilia patrzyła na swoją jedynaczkę wzrokiem, w którym było morze miłości. Dzieci rozbiegły się teraz i ustawiły w wielkie koło, tworząc na szarem tle igliwa różnobarwne plamki, przyczem pod ogromnemi sosnami wydawały się tak małe, jak kolorowe grzybki.

Panna Marynia zeszła z werandy i stanęła przy Litce, żeby jej pomagać w łapaniu kótek, pod które trzeba było podbiegać i by w ten sposób ochraniać ją od zmęczenia.

W tej chwili na szerokiej drodze leśnej, prowadzącej do willi, ukazał się Połaniecki. Dzieci nie dostrzegły go od razu, lecz on ogarnął wzrokiem werandę, podwórze i ujrawszy jasną suknię

Maryni pod sosną, przyśpieszył kroku. Litka, która wiedziała, że mama niepokoi się każdym jej żywszym ruchem, a nie chcąc niepokoić mamy za nic w świecie, stała z kolankami przy sobie, prawie nie poruszając się z miejsca i chwytając na pałeczkę tylko te kółka, które spadały wprost na nią, panna Marynia zaś biegła za wszystkimi dalszemi. Z powodu tej bieganiny włosy jej rozluźniały się co chwila, tak, że musiała je poprawić, i w chwili, gdy Połaniecki wchodził w bramę, stała pochylona nieco w tył, z podniesionemi ku głowie ramionami.

On nie spuszczał z niej oczu i ją jedną tylko widział: wydawała mu się na tym obszernym dziedzińcu młodsza i mniejsza niż zwykle, a przytem tak dziewicza, tak niesłychanie ponętna, tak stworzona do tego, by ją otoczyć ramionami i przycisnąć do piersi, jako kobietę i jako najdroższe w świecie stworzenie, że nigdy dotąd nie odczuł z równą siłą, jak dalece już ją kocha.

Dzieci na jego widok porzucały kółka, pałeczki i z krzykiem ruszyły na spotkanie. Zabawa przerwała się. Litka w pierwszej chwili skoczyła również ku niemu, ale nagle wstrzymała się i poczęła spoglądać swemi wielkimi oczyma, to na Połanieckiego, to na Marynię.

– A ty nie lecisz powitać pana Połanieckiego? – spytała panna Marynia.

– Nie...

– Czemu Lituś?

– Bo...

I policzki jej przeczerwieniały nieco, choć biedne dziecko nie

umiało, czy nie śmiało wypowiedzieć swej myśli, którą mogłoby wyrazić w słowach:

– Bo on już nie mnie najwięcej kocha, tylko ciebie i na ciebie tylko patrzy.

On zaś zbliżał się, opędzając się od dzieci i powtarzając im:

– Nie czepiajcie się, smyki, bo poprzewracam!

I wyciągnął rękę ku Maryni, patrząc jej w oczy z prośbą o przyjazny uśmiech, o powitanie choćby odrobinę mniej obojętne niż zwykle – poczem dopiero zwrócił się do Litki:

– A kociątko najmiłsze, zdrowe?

Ona zaś, zapomniawszy na jego widok i pod wpływem jego głosu o całym strapieniu swego małego serduszka, podała mu obie rączki, mówiąc:

– A tak! a zdrowe, a wczoraj pan Stach nie przyszedł do nas i było smutno, a teraz zaprowadzę pana Stacha do mamy na sprawę.

I po chwili wszyscy znaleźli się na werandzie.

– Jak się mają panie Krasławskie? – spytała pani Emilia.

– Zdrowe i wybierają się tu po obiedzie – odpowiedział Połaniecki.

Przed samym obiadem przyjechał profesor Waskowski i przywiózł z sobą Bukackiego, który w wigilię tego dnia przyjechał był do Warszawy. Jego zażyłe stosunki z Bigielami pozwalały mu przybyć do nich bez zaproszenia, a obecność u nich pani Emilii była dla niego zbyt silną pokusą, aby się miał jej oprzeć. Zresztą witał się z nią bez śladu sentymentu, w sposób

zartobliwy, jak zwykle, ona zaś rada go widziała, bo ją bawił oryginalnym i dziwnym sposobem wyrażania myśli.

– Miał pan jechać do Monachium i do Włoch? – spytała go, gdy siedli do obiadu.

– Tak pani – odpowiedział – ale zapomniałem w Warszawie nożyka do rozcinania kartek w drodze i wróciłem po niego.

– O! to ważny powód.

– Zawsze mnie to niecierpliwiło, że ludzie wszystko robią z ważnych powodów. Co za przywilej mają ważne powody, by każdy musiał się do nich stosować? Zresztą, oddałem niechcący ostatnią przysługę przyjacielowi, albowiem wczoraj byłem zaraz na pogrzebie Lisowicza.

– To ten, taki mały, chudy sportsman? – spytał Bigiel.

– Ten – odparł Bukacki – i wyobraźcie sobie, że dotychczas nie mogę wyjść ze zdumienia, jak człowiek, który całe życie błaznował, mógł się zdobyć na rzecz tak poważną, jak śmierć. Po prostu nie poznaję mego Lisowicza! Na każdym kroku ma człowiek zawody.

– Ale – rzekł Połaniecki – opowiadały mi panie Krasławskie, że Płoszowski, ten, w którym to wszystkie kobiety w Warszawie się kochały, zastrzelił się w Rzymie.

– To mój krewny – rzekł pan Pławicki.

Wiadomość poruszyła jednak głównie panią Emilię. Samego Płoszowskiego prawie nie знаła, lecz kilka razy w życiu widziała jego ciotkę, u której starszy brat jej męża, po stracie osobistego znacznego majątku, był plenipotentem. Wiedziała też o ślepem

przywiązaniu tej ciotki do siostrzeńca.

– Mój Boże, co za nieszczęście! – rzekła. – Czy to tylko prawda? Człowiek młody, taki zdolny, taki bogaty... Biedna panna Płoszowska.

– I jaki wielki majątek bez spadkobiercy – dodał Bigiel. – Ja te stosunki znam, bo to tak blisko Warszawy. Stara panna Płoszowska miała dwoje krewnych: panią Kromicką – choć ta była dalsza – i Leona Płoszowskiego, który był najbliższy. Dziś oboje nie żyją.

Te słowa poruszyły znów pana Pławickiego. Był on istotnie jakimś dalekim krewnym panny Płoszowskiej i nawet niegdyś widział ją dwa czy trzy razy w życiu, ale zostało mu po niej tylko wspomnienie strachu, za każdym bowiem razem wypowiadała mu gorzkie prawdy bez ogródek, a raczej, mówiąc po prostu, za każdym razem wyłajała go, ile się zmieściło. Z tego powodu w dalszym ciągu życia unikał jej najstaranniej i wszelkie stosunki były między nimi zerwane, choć przy sposobności lubił dla świata wtrącić słówko o swem pokrewieństwie z rodziną tak znaną i możną. Należał on do tej, licznej w naszym kraju, kategorii ludzi, która jest przekonana, że Pan Bóg łatwą drogę dojścia do majątku za pomocą spadku umyślnie dla niej stworzył, i która każdą nadzieję tego rodzaju uważa za pewność. To też powiódł uroczystym wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł:

– Może też Opatrzność postanowiła, żeby te majątki przeszły na inne głowy, które potrafią lepiej ich użyć.

A Połaniecki rzekł:

– Ja Płoszowskiego spotkałem też raz zagranicą i uczynił na mnie wrażenie zupełnie niepospolitego człowieka. Przypominam go sobie doskonale.

– Taki był podobno świetny i sympatyczny – dodała pani Bigielowa.

– Niech Bóg okaże mu miłosierdzie – rzekł profesor Waskowski – znałem go i ja: to był prawdziwy Arya!

– Ozorya – rzekł pan Pławicki.

– Arya – powtórzył profesor.

– Ozorya... – poprawił z naciskiem i godnością pan Pławicki.

I dwaj starzy ludzie poczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem, nie wiedząc, czego wzajem od siebie chcą i ku wielkiej ucieście Bukackiego, który, nałożywszy monokl, rzekł:

– Jakże: arya czy ozorya?

Nieporozumieniu położył koniec Połaniecki, wyjaśniając, że Ozorya jest to nazwa herbu rodziny Płoszowskich, że więc można być razem Aryą i Ozoryą, na co zresztą pan Pławicki zgodził się niechętnie, czyniąc przytem nawiasową uwagę, że kto nosi porządne nazwisko, ten nie potrzebuje się go wstydzić, ani przekręcać.

Bukacki zaś, zwróciwszy się do pani Emilii, począł mówić swym zwykłym zimnym tonem:

– Jedno jedyne samobójstwo uważam za usprawiedliwione, a mianowicie samobójstwo z miłości, skutkiem czego namawiam się na nie od kilku lat – zawsze na próżno!

– Mówią, że samobójstwo, to tchórzostwo – wtrąciła Marynia.

– To też ja nie odbieram sobie życia ze zbytku odwagi.

Lecz Bigiel rzekł:

– Mówmy o życiu, nie o śmierci, i o tem, co w niem najlepsze, to jest o zdrowiu. Za zdrowie pani Emilii!

– I Litki! – dodał Połaniecki.

Poczem zwrócił się do panny Maryni:

– Za zdrowie naszych wspólnych przyjaciółek!

– Najchętniej – odrzekła panna Marynia.

On zaś zniżył nieco głos i mówił dalej:

– Bo widzi pani, ja uważam je nie tylko za swoje przyjaciółki, ale także... jakby to powiedzieć?... za orędowniczki. Litka to jeszcze dziecko, ale pani Emilia wie przecie, komu ofiarować przyjaźń, więc gdyby ktoś miał do mnie jakieś uprzedzenia, choćby słuszne, gdybym z kimś postąpił nie tak, jak powinienem, ale wprost źle – i gdyby widział, że ja się tem męczę, to przecie powinien pomyśleć, że jednak nie jestem najgorszym z ludzi, skoro taka pani Emilia ma dla mnie szczerą życzliwość.

Panna Marynia zmieszała się, ale jednocześnie uczyniło się jej go żal, on zaś kończył jeszcze ciszej:

– A ja się naprawdę męczę. Mnie o to bardzo, bardzo chodzi!

Zanim odpowiedziała, pan Pławicki wzniósł zdrowie pani Bigielowej i wypowiedział całą mowę, której treścią było, że królową stworzenia jest właściwie nie kto inny, tylko kobieta, zatem przed kobietą, jako królową, powinny się wszelkie głowy pochylać i z tej przyczyny on pierwszy skłaniał swoją całe życie przed wszystkimi kobietami wogóle, a obecnie skłania ją przed

panią Bigielową w szczególności.

Połaniecki życzył mu w duszy, żeby się udławił, czuł bowiem, że mógłby być uzyskać jakie dobre słowo od panny Maryni i czuł, że chwila minęła. Jakoż panna Marynia poszła uściskać panią Bigielową, a wróciwszy, nie podniosła więcej zaczętej rozmowy, on zaś nie śmiał spytać jej wprost o odpowiedź.

Zaraz po skończonym obiedzie nadjechały panie Krasławskie: matka, kobieta lat pięćdziesięciu, żywa, pewna siebie, wielomówna – i panna, w zupełnym przeciwstawieniu do matki, sztywna, sucha, zimna, wymawiająca: „tek” zamiast „tak”, ale zresztą z twarzą przystojną, choć bladą, przypominającą nieco twarze holbeinowskich madon.

Połaniecki począł ją ze złości bawić, ale, spoglądając od czasu do czasu na świeżą twarz i niebieskie oczy Maryni, mówił sobie w duchu: „Żebyś też choć słowo dobre dała! ty... ty, bezlitosna! ...”

I złościł się coraz bardziej, a gdy panna Krasławska wymówiła raz: „meme” zamiast „mama”, spytał jej szorstko:

– Kto taki?

„Meme” zaś wyładowywała cały zapas swych wiadomości, a raczej domysłów o samobójstwie Płoszowskiego.

– Wyobraźcie sobie państwo – mówiła z zapałem – mnie zaraz przyszło do głowy, że on się zastrzelił z powodu śmierci Kromickiej. Panie, świeć nad jej duszą, to była kokietka – i nie lubiłam jej nigdy. Kokietowała go tak, że m bała się Terki prowadzić tam, gdzie oni razem byli, bo to dla takiej młodej

dziewczyny po prostu zły przykład. Co prawda, to prawda!...
Panie, świeć nad jej duszą... Terka także nie miała dla niej sympatii.

– Ach, pani – rzekła pani Emilia – ja zawsze słyszałam, że to był anioł.

A Bukacki, który nigdy w życiu nie widział pani Kromickiej, zwrócił się do pani Krasławskiej i rzekł z flegmą:

– *Madame, je vous donne ma parole d'honneur*, że to był archanioł.

Pani Krasławska umilkła na chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, następnie, zaperzywszy się, byłaby odpowiedziała coś ostrego, gdyby nie to, że Bukacki, jako człowiek zamożny, mógł w danym razie być dobrą partią dla panny Terki. Równymi względami cieszył się w jej oczach i Połaniecki – i dla nich to wyłącznie utrzymywała w lato stosunki z Bigielami, których zresztą, gdy jej tak wypadło, nie poznawała na ulicy.

– U panów – rzekła – każda przystojna kobieta to zaraz anioł, albo archanioł. Ja nawet i wówczas tego nie lubię, kiedy mi o Terce to mówią. A pani Kromicka mogła być dobrą osobą, ale nie miała taktu – i cała rzecz!

W ten sposób rozmowa o Płoszowskim upadła, tem bardziej, że uwaga pani Krasławskiej zwróciła się wyłącznie na Połanieckiego, który bawił pannę Terkę. On bawił ją trochę na złość sobie, trochę na złość pannie Maryni i starał się sam w sobie wmówić, że mu jest przy niej dobrze; starał się nawet znaleźć w niej wdzięk i odkrył, że ma za cienką szyję i

oczki, jakby zgasłe, które ożywiają się i zwracają pytająco do niego wówczas, gdy na pytanie niema miejsca. Zauważył także, że mogła być cichą despotką, gdy bowiem matka poczyniała mówić zbyt głośno, panna Terka przykładła lornetkę do oczu i spoglądała na nią uważnie, matka zaś pod wpływem tego wzroku zniżała głos lub milkła zupełnie. Wogóle panna Terka nudziła go niepomiernie, i jeśli zajmował się nią pilniej, niż kiedykolwiek, to czynił to tylko jako desperat, dla obudzenia choćby cienia zazdrości w pannie Maryni. Nawet zupełnie rozumni ludzie chwytają się takich marnych środków, gdy ich uczuciowa bieda zbyt przycisnie. Wywołują one zresztą zwykle wprost odwrotny skutek, bo z jednej strony utrudniają później zbliżenie i rozwikłanie nieporozumień, z drugiej potęgują tylko uczucie w sercu tego, kto ich używa. Połaniecki w końcu tak był stęskniony za Marynią, że zgodziłby się nawet na usłyszenie niechętnego słowa z jej ust, byle się do niej zbliżyć i przemówić, a tymczasem wydało mu się to trudniejsze teraz, niż przed godziną.

Odetchnął też głęboko, gdy wieczór się skończył i gdy goście poczęli się zabierać do odjazdu. Przedtem jednak Litka zbliżyła się do matki i, objąwszy rękami jej szyję, poczęła coś do niej szeptać. Pani Emilia skinęła głową, poczem, zbliżywszy się ku niemu, rzekła:

– Panie Stanisławie, jeśli pan nie ma zamiaru nocować, to niech pan jedzie z nami. My z Marynią weźmiem Litkę między siebie i miejsca będzie dosyć.

– Dobrze; nie mogę nocować i bardzo jestem wdzięczny –

odpowiedział Połaniecki.

I domyśliwszy się łatwo, kto był autorem projektu, zwrócił się do Litki i rzekł:

– Ty kociątko moje najlepsze, ty!...

Ona zaś, trzymając się przy sukni matki, podniosła ku niemu swe oczy, nawpół smutne, nawpół uradowane, pytając cicho:

– Dobrze, panie Stachu?

W kilka chwil później ruszono. Po dniu pogodnym nastąpiła jeszcze pogodniejsza noc, trochę chłodna, ale cała rozjaśniona i srebrna od księżyca. Połaniecki, któremu dzień zszedł marnie i ciężko, odetchnął teraz pełną piersią i czuł się prawie szczęśliwy, mając przed sobą dwie istoty, które kochał bardzo głęboko, a jedną, którą kochał nad wszystko w świecie. Przy blasku księżyca widział teraz jej twarz, i wydała mu się ona spokojna i łagodna. Pomyślał, że i uczucia Maryni muszą być w tej chwili takie same i że może niechęć jej dla niego taje wśród tego ogólnego spokoju.

Litka zasunęła się w głąb siedzenia i zdawała się spać. Połaniecki przyrzucił szalem wziętym od pani Emilii jej nóżki i jechali czas jakiś w milczeniu.

Poczem pani Emilia poczęła mówić o Płoszowskim, wiadomość bowiem o jego śmierci uczyniła na niej silne wrażenie.

– Tkwi naprawdę w tem wszystkim jakiś bardzo smutny dramat – rzekł Połaniecki – i pani Krasławska może mieć trochę słuszności, utrzymując, że te dwie śmierci stoją z sobą w

związku.

Na to panna Marynia rzekła:

– Jest w samobójstwie to okropnego, że powinno się je potępić, a potępiając, ma się także wrażenie, jakby się nie miało żadnego współczucia dla nieszczęścia.

Połaniecki zaś odpowiedział:

– Współczucie trzeba mieć dla tych, którzy jeszcze czują, a więc dla żywych.

Rozmowa urwała się i czas jakiś jechali znów w milczeniu. Po chwili Połaniecki ukazał na oświecone okna domu, stojącego w głębi leśnego parku, i rzekł:

– To willa pani Krasławskiej.

– Nie mogę jej darować tego – rzekła pani Emilia – co mówiła o tej nieszczęśliwej pani Kromickiej.

– To jest kobieta wprost drapieżna – odpowiedział Połaniecki – a wiecie panie dlaczego? Oto z powodu córki. Cały świat uważa za tło, któreby chciała uczynić jak najczarniejszem, żeby panna Terka odbiła się na niem tem jaśniej. Być może, że matka kroila niegdyś na Płoszowskiego – być może, że panią Kromicką uważała za przeszkodę i stąd jej nienawiść do niej.

– To ładna panienka – rzekła Marynia.

– Są istoty, dla których poza światem form towarzyskich zaczyna się inny, daleko obszerniejszy – dla niej nie zaczyna się nic – a raczej kończy wszystko. To jest zupełny automat, w którym serce uderzy wówczas dopiero, kiedy matka je kluczem nakręci. Zresztą, dużo jest podobnych panien na świecie, a i te

nawet, które wydają się inne, często są takie właśnie... Wieczna historia Galatei... Czy panie uwierzą, że w tej lalce, w tej zgaszonej świeczce, zakochał się przed paru laty, bez pamięci, jeden młody lekarz, mój znajomy. Dwakroć się oświadczał i dwakroć został odrzucony, bo te panie patrzyły wyżej. Zaciągnął się następnie do służby holenderskiej – i zapewne umarł tam gdzieś na febrę, bo z początku pisywał do mnie, dopytując się o swój automat, a później listy ustały.

– Czy ona wie o tem?

– Wie, bo ilekroć ją zobaczę, tylekroć o nim mówię. I co jest charakterystyczne, to to, że jego wspomnienie nie mąci ani na sekundę jej pogody. Mówi o nim, jak o każdym innym. Jeśli spodziewał się od niej choć pośmiertnego żalu, to i w tem się zawiódł... Muszę paniom pokazać kiedyś jeden jego list. Ja mu próbowałem wytłómaczyć to uczucie, on zaś odpisał mi: „Ja ją sądzę trzeźwo, ale nie mogę duszy od niej odedrzeć...” Był to zresztą sceptyk, człowiek pozytywny – dziecko ostatnich czasów... Ale pokazuje się, że uczucie drwi sobie ze wszystkich filozofii, ze wszystkich prądów... Wszystko mija, a ono było, jest i będzie... Przytem tamten mówił mi kiedyś tak: „Wolałbym być nieszczęśliwy z nią, niż szczęśliwy z inną...” I co tu gadać. Człowiek patrzy trzeźwo, ale nie może duszy odedrzeć – i skończyło się.

Rozmowa skończyła się również. Wjechali teraz na drogę, wysadzoną kasztanami, których pnie migotały różowo w świetle powozowych latarni.

– A jak komu bieda, to musi cierpieć! – dorzucił naostatek Połaniecki, idąc widocznie za biegiem własnych myśli.

Tymczasem pani Emilia pochyliła się nad Litką:

– Śpisz dziecinko? – spytała.

– Nie, mamusiu – odpowiedziała Litka.

XIV

– O majątek nie ubiegałem się nigdy – mówił pan Pławicki – ale jeśli Opatrzność w niezbadanych swych wyrokach tak pokierowała, żeby choć część tej wielkiej fortuny przeszła w nasze ręce, to nie chcę jej dróg krzyżować... Mnie z tego wiele już nie przyjdzie, mnie potrzebne wkrótce będą cztery deski i cicha łza dziecka, dla którego żyłem, ale tu idzie o Marynię.

– Zwracam pańską uwagę – rzekł zimno Maszko – że, po pierwsze, to są widoki bardzo niepewne...

– Ale czy godzi się nie brać ich pod uwagę?...

– Po wtóre, że pani Płoszowska żyje jeszcze...

– Ale z babinki trociny już się sypią... stara jak grzyb!

– Po trzecie, że może zapisać majątek na cele publiczne...

– Ale czyby nie można przeciw temu wystąpić?

– Po czwarte, że wasze pokrewieństwo jest niezmiernie dalekie. W ten sposób wszyscy w Polsce są sobie krewni.

– Jednakże bliższych krewnych niema.

– Połaniecki to przecie także wasz krewny?

– Żaden! dalibóg, żaden! On jest krewny pierwszej mojej żony, nie mój!

– A Bukacki?

– Dajże pan spokój. Bukacki jest kuzynem żony mojego szwagra.

– Innych krewnych pan nie ma?

– Przyznawali się do nas Gątowscy z Jałbrzykowa. Jak to pan wie... Ludzie to mówią, co im pochlebia... Z Gątowskim zresztą nie potrzebuję się liczyć.

Maszko umyślnie przedstawiał trudności, by potem ukazać brzeżek nadziei, więc rzekł:

– U nas ludzie są chciwi na spadki – i niech się spadek jaki otworzy – zlatują się ze wszystkich stron, jak wróble na pszenicę... Wszystko w takich razach polega na tem, kto się prędzej zgłosi... Pamiętaj pan, że człowiek sprężysty i znający się na rzeczy może z niczego coś zrobić, gdy przeciwnie, człowiek bez energii i znajomości interesów, mając nawet pewne podstawy działania, może nic nie wskórać...

– To wiem z doświadczenia. Całe życie miałem póty interesów.

Tu pan Pławicki przeciągnął ręką po gardle, Maszko zaś dodał:

– Prócz tego możesz się pan stać igraszką adwokatów i być wyzyskiwanym bez granic...

– Liczyłbym w takim razie na osobistą pańską z nami przyjaźń...

– I nie zawiódłbyś się pan – odrzekł z powagą Maszko. – I dla pana i dla panny Maryni mam tak głęboką przyjaźń, jak gdybyście należeli do mojej rodziny.

– W imieniu sieroty, dziękuję – odpowiedział pan Pławicki. I wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej.

Maszko zaś spoważniał i rzekł:

– Ale jeśli chcecie, bym bronił waszych praw i w tym wypadku, który, jak powiedziałem, może się okazać złudzeniem – i w innych – to mi te prawa dajcie...

Tu młody adwokat chwycił rękę pana Pławickiego.

– Szanowny panie – rzekł – pan domyślasz się, o czym chcę mówić, więc zechciej wysłuchać mnie cierpliwie do końca.

Poczem zniżył głos i, choć nikogo nie było w pokoju, jął mówić prawie cicho. Mówił z siłą, powagą a zarazem z wielkiem umiarkowaniem, jak przystało na człowieka, który nigdy nie zapomina, kim jest i co przynosi. Pan Pławicki przymykał chwilami oczy, chwilami ścisnął rękę Maszki, wreszcie po ukończonej konferencji rzekł:

– Przejdź pan do salonu, ja tam przyślę Marynię. Nie wiem, co ona panu odpowie, w każdym razie niech się stanie to, czego Bóg chce... Ja umiałem pana zawsze cenić, teraz cenię jeszcze więcej – i ot!

Ramiona pana Pławickiego otworzyły się szeroko – i Maszko pochylił się ku nim, powtarzając nie bez wzruszenia, choć zawsze z wysoką godnością:

– Dziękuję, dziękuję!

I po chwili znalazł się w salonie.

Panna Marynia wyszła z twarzą mocno pobladłą, ale spokojną. Maszko podsunął jej krzesło, sam siadł na drugim i począł mówić:

– Jestem tu z upoważnienia ojca pani. Słowa moje nie powiedzą pani już nic takiego, czegoby przedtem nie

wypowiedziało milczenie, które pani odgadywała. Ale ponieważ przyszła chwila, w której powinienem nazwać po imieniu moje uczucia, czynię więc to z całą ufnością w serce i charakter pani. Jestem człowiekiem, który panią kocha, na którym się oprzeć można, więc składam w ręce pani moje życie – i proszę z głębi serca, by pani zgodziła się iść razem ze mną.

Panna Marynia milczała przez chwilę, jakby szukając słów, poczem rzekła:

– Winnam panu jasno i szczerze odpowiedzieć; wyznanie to jest dla mnie ciężkie, bardzo ciężkie, ale nie chcę, by się taki człowiek, jak pan, łudził; nie kochałam pana, nie kocham i żonę pańską nie zostanę nigdy, choćby mi przyszło nigdy niczyją nie zostać.

Tu zapanowało milczenie jeszcze dłuższe. Wypieki na twarzy Maszki zapłonęły silniej, a oczy jego poczęły rzucać zimne stalowe blaski.

– Odpowiedź jest równie stanowcza – rzekł – jak dla mnie bolesna i nieoczekiwana. Czy jednak pani nie zechce, zamiast odtrącać mnie w tej chwili stanowczo, dać sobie kilka dni czasu do namysłu?

– Sam pan powiedział, że odgadywała uczucia pana, więc miałam czas zastanowić się nad sobą i odpowiedź, jaką panu daję, daję po zupełnym namyśle.

Głos Maszki stał się teraz suchy i ostry:

– Czy pani sądzi przytem, że na mocy zachowania się pani ze mną, nie miałem prawa zanieść takiej prośby, jaką zaniósłem?

I pewien był w tej chwili, że panna Marynia odpowie mu, iż to zachowanie się źle rozumiał, że nie było w niem nic, coby mogło go upoważniać do jakiejkolwiek nadziei, słowem, że pójdzie drogą wykrętów, jak zwykle czynią kokietki, które kokieteryę zmuszone są okupywać kłamstwem – lecz ona podniosła na niego oczy i rzekła:

– Postępowanie moje z panem nie było chwilami takie, jak być powinno; przyznaję się do winy i z całej duszy za nią przepraszam.

Maszkó zamilkł. Kobieta, która się wykręca, budzi pogardę, kobieta, która przyznaje się do winy, wytrąca broń z ręki każdego przeciwnika, w którego naturze, lub choćby tylko w wychowaniu, leży iskra uczuć rycerskich. Prócz tego, jedynym, ostatnim sposobem poruszenia serca kobiety jest w takim razie: nie uznać wspaniałomyślnie jej występku. Maszko, jakkolwiek widział przed sobą przepaść, zrozumiał to – i postanowił postawić wszystko na ostatnią kartę.

Każdy nerw dygotał w nim z gniewu i obrażonej miłości własnej, jednakże opanował się, wziął kapelusz i, zbliżywszy się do panny Maryni, podniósł do ust jej rękę.

– Wiedziałem, że pani kocha Krzemień – rzekł – i kupiłem go po to jedynie, by go złożyć u nóg pani. Widzę, że siedlę błędną drogą i cofam się, chociaż czynię to z żalem bez granic. To ja panią przepraszam. Winy ze strony pani nie było i niema żadnej. Spokój pani droższy mi jest od własnego szczęścia, dlatego proszę, jak o jedyną łaskę: niech pani nie czyni sobie wyrzutów.

A teraz żegnam panią.

I wyszedł.

Ona zaś siedziała długi czas nieruchoma, z bladą twarzą i uczuciem znękania w duszy. Nie spodziewała się znaleźć w nim tyle szlachetnych uczuć. Obok tego przyszła jej do głowy następna myśl: „Tamten odebrał mi Krzemień, by uratować swoje – ten go kupił, by mi go zwrócić!” I nigdy dotąd Połaniecki nie był tak dalece zgubiony w jej myślach. W tej chwili nie pamiętała, że Maszko kupił Krzemień nie od Połanieckiego przecie, tylko od jej ojca, po wtóre, że kupił go korzystnie, po trzecie, że wprowadzić chciał go zwrócić, ale zarazem i zabrać go na nowo wraz z jej ręką, uwolniwszy się w dodatku od wypłat, które na nim ciążyły, a nakoniec, że, właściwie biorąc, Krzemienia nie wydzierał jej ani Połaniecki, ani nikt inny, tylko pan Pławicki sprzedał go dobrowolnie, ponieważ znalazł kupca. Ale ona patrzyła w tej chwili po kobiecemu na tę sprawę i przeciwstawiała Połanieckiemu Maszkę, wywyższając nad miarę ostatniego, potępiając nad winę pierwszego. Postępowanie Maszki wzruszyło ją tak dalece, że gdyby nie czuła ku niemu wprost odrazy, byłaby go odwołała. Przez chwilę zdawało jej się nawet, że powinna to uczynić – ale zbrakło jej sił.

Nie wiedziała też, że Maszko schodził ze schodów z wściekłością i rozpaczą w duszy. Rzeczywiście, otworzyła się przed nim przepaść.

Wszystkie rachuby go zawiodły; kobieta, którą istotnie pokochał, nie chciała go i odrzuciła – i jakkolwiek starała

się go w słowach oszczędzać, czuł się upokorzony, jak nigdy w życiu. Cokolwiek dotychczas w życiu przedsiębrał, zawsze przeprowadzał to w poczuciu własnej siły i własnego rozumu, z niezachwianą pewnością, że mu się uda. Odmowa Maryni odebrała mu i tę pewność. Pierwszy raz zwątpił o sobie, pierwszy raz miał poczucie, że jego gwiazda zaczyna blednąć i że może rozpocząć się dla niego okres klęsk na wszystkich polach, na których dotychczas działał. Okres ten już się nawet rozpoczął. Maszko kupił Krzemień w warunkach wyjątkowo korzystnych, był to jednak majątek zbyt wielki w stosunku do jego środków. Gdyby Marynia nie odrzuciła go, byłby sobie dał rady, w takim bowiem razie nie potrzebowałby myśleć ani o dożywotniej rencie dla pana Pławickiego, ani o spłaceniu tej sumy, która, według układu, przypadała Maryni za Magierówkę. Obecnie miał do spłacenia Marynię, Połanieckiego i długi na Krzemieniu, które trzeba było spłacić co prędzej, albowiem, z powodu lichwiarskich procentów, rosły one z dnia na dzień i groziły zupełną ruiną. Na to wszystko był tylko kredyt – dotąd wprawdzie nie zachwiany, ale wyciągnięty, jak struna; Maszko zaś czuł, że gdyby ta struna kiedykolwiek pękła, byłby zgubiony bezpowrotnie.

Dlatego chwilami, obok żalu za Marynią, obok bólu, jakiego doznaje człowiek po stracie szczęścia, porywał go gniew bez granic, niemal szalony – i również niepohamowana chęć zemsty. Był to człowiek z duszą energiczną, w którego naturze leżała chęć zapłacenia złem za krzywdę. Dlatego, wchodząc do siebie,

mruczał przez zaciśnięte zęby:

– Jeśli nie zostaniesz moją żoną, nie daruję ci tego, coś mi uczyniła; jeśli zostaniesz – nie przebaczę ci również.

Tymczasem pan Pławicki wszedł do pokoju, w którym siedziała Marynia, i rzekł:

– Odmówiłaś mu, bo inaczej byłby wstąpił do mnie, wychodząc.

– Tak, papo.

– Nie dałaś mu żadnej nadziei na przyszłość?

– Nie, papo... Szanuję go, jak nikogo w świecie, ale nie dałam mu nadziei.

– Co ci odpowiedział?

– Wszystko, co mógł odpowiedzieć taki szlachetny człowiek.

– Nowe nieszczęście – rzekł – i kto wie, czy nie pozbawiłaś mnie kawałka chleba na starość... Ale wiedziałem, że z tem nie będziesz się liczyła.

– Nie mogłam, nie mogłam inaczej postąpić.

– Nie chcę też cię zmuszać, a swoje zmartwienie idę ofiarować tam, gdzie każda łza starego będzie policzoną.

I poszedł do Loursa patrzeć na grających w bilard. Byłby się zgodził na Maszkę, ale w gruncie rzeczy nie uważał go za partyę zbyt świetną i, sądząc, że Maryni może się trafić lepsza, nie martwił się zbytecznie tem, co się stało.

Marynia zaś w pół godziny później wpadła do pani Emilii.

– Jeden przynajmniej ciężar spadł mi z serca – rzekła na wstępie – odmówiłam dziś stanowczo panu Maszce.

Pani Emilia uściskała ją w milczeniu.

Marynia zaś mówiła dalej:

– Żał mi go... Postąpił ze mną tak szlachetnie i delikatnie, jak tylko taki człowiek mógł postąpić, i gdybym miała dla niego choć małą iskierkę uczucia, wróciłabym do niego dziś jeszcze.

Tu powtórzyła pani Emilii całą rozmowę z Maszką. Istotnie, nie można mu było nic zarzucić i pani Emilia nie mogła oprzeć się pewnemu zdziwieniu, posądzała bowiem Maszkę o charakter gwałtowny i nie spodziewała się, żeby w tak ciężkiej dla siebie chwili potrafił się zdobyć na tyle umiarkowania i szlachetności. A panna Marynia rzekła:

– Moja Emilko, znam twoją przyjaźń dla pana Połanieckiego, ale sądz tych dwóch ludzi z ich uczynków, nie ze słów, i porównaj ich z sobą.

– Nigdy nie będę ich porównywała – odrzekła pani Emilia. – Tu nie można robić porównań. Pan Stanisław jest dla mnie naturą stokroć wyższą od Maszki, ty zaś sądzisz go niesłusznie. Ty, Maryniu, nie masz prawa mówić: „Jeden odebrał mi Krzemień, drugi chciał mi go zwrócić”. Tak nie było. Pan Połaniecki nie odbierał ci go nigdy, a dziś, gdyby mógł, zwróciłby ci go z całego serca. To uprzedzenie mówi przez ciebie.

– Nie uprzedzenie, ale rzeczywistość, której nic zmienić nie może.

A pani Emilia posadziła ją przed sobą i rzekła:

– Owszem, Maryniu: uprzedzenie, i powiem ci, dlaczego. Oto ty nie jesteś dotychczas dla niego obojętna.

Panna Marynia drgnęła, jakby ktoś dotknął bolącej ją rany, i po chwili odpowiedziała zmienionym głosem:

– Pan Połaniecki nie jest mi obojętny... Masz słuszność... Wszystko, co mogło być we mnie sympatyą dla niego, zmieniło się w niechęć – i słuchaj, Emilko, co ci teraz powiem: gdybym miała wybór między tymi ludźmi, wybrałabym bez żadnego wahania Maszkę.

Pani Emilia spuściła głowę – po chwili ramiona panny Maryni oplotły jej szyję.

– Jakie to dla mnie zmartwienie, że ja tobie sprawiam taką przykrość, ale ja muszę mówić prawdę. Wiem, że w końcu i ty przestaniesz mnie kochać i zostanę zupełnie sama na świecie.

I rzeczywiście poczęło się stawać coś podobnego. Obie młode kobiety rozstały się w uściskach i pocałunkach, a jednak, gdy się znalazły zdale od siebie, uczuły obie jednocześnie, że coś naderwało się między nimi i że wzajemny ich stosunek nie będzie tak serdeczny, jak był dotąd.

Pani Emilia wahała się przez kilka dni, czy powtórzyć Połanieckiemu słowa Maryni, lecz on prosił ją tak usilnie o całą prawdę, iż w końcu pomyślała, że i trzeba i lepiej będzie ją wypowiedzieć. On zaś, wysłuchawszy wszystkiego, rzekł:

– Dziękuję pani. Jeśli panna Pławicka mną pogardza, muszę się na to zgodzić, nie mogę się tylko na to zgodzić, bym sam sobą zaczął pogardzać. Zaszedłem i tak zadaleko. Pani droga wie, że jeśliś względem niej zawinił, tom się starał to naprawić, a ją przebłagać. Do dalszych obowiązków się nie poczuwam. Będę

miał ciężkie chwile, tego pani nie ukrywam, ale niedołągą nie byłem, nie jestem, i potrafię zdobyć się na to, by wszystko, co dla panny Pławickiej czuję, wyrzucić przez okno, jako rzecz w moim pokoju niepotrzebną. To pani święcie przyrzekam!

– Wierzę panu, ale się przytem bardzo cierpi.

On zaś odrzekł prawie wesoło:

– Co tam! jak mi zbyt sparzenie dokuczy, poproszę pani o opatrunek, a wiem, że gdy mi go takie pocziwe ręce zrobią, to będzie skuteczny. Lituś pani pomoże i ani syknę.

Poczem wrócił do siebie, pełen wewnątrz poczucia woli i energii. Zdawało mu się, że potrafi wziąć to uczucie i złamać je, jak się łamie laskę o kolano. Tym zapędem żył kilka dni następnych. Nie pokazywał się przez ten czas nigdzie, prócz w biurze, gdzie rozmawiał z Bigielem wyłącznie o interesach. Pracował od rana do wieczora i nie pozwalał sobie we dnie nawet myśleć o Maryni.

Ale nie mógł się od tego obronić podczas bezsennych nocy. Wówczas przychodziło na niego wyraźne poczucie, że Marynia mogła go kochać, mogła wyjść za niego, że byłaby mu najlepszą żoną, że mógł być z nią szczęśliwy, jak nigdy z nikim nie będzie, i że kochałby ją, jak swoje najwyższe dobro.

Żal, który narodził się z tych rozmyślań, wniknął w jego całe istnienie i nie opuszczał go więcej, że zaś żal pożera duszę i zdrowie, jak rdza żelazo, więc Połaniecki począł marnieć. Spostrzegł, że łamanie uczucia daje jeden niewątpliwy skutek: złamanie szczęścia. Nigdy nie widział przed sobą takiej pustki i

nigdy nie odczuwał z równą siłą, że nic mu jej zapłacić nie zdoła. Spostrzegł także, że można kobietę kochać nie taką, jak jest, ale taką, jakby być mogła. I wreszcie tęsknił bez miary.

Ale, mając nad sobą dużo władzy, unikał Maryni. Wiedział zawsze, kiedy ma być u pani Emilii i wówczas zamykał się w domu.

Dopiero gdy Litka zachorowała, począł chodzić do pani Emilii codziennie, przesiadywać u niej po całych dniach i spędzać godziny razem z Marynią przy chorem dziecku.

XV

A biedna Litka po nowym, groźniejszym niż poprzednio, ataku, nie mogła już przyjść do zdrowia. Dnie spędzała teraz, leżąc na szezlongu w saloniku, albowiem na jej prośbę lekarze i pani Emilia zgodzili się nie trzymać jej cały czas w łóżku. Lubiała też, gdy Połaniecki siedział przy niej i rozmawiała z nim i z matką o wszystkim, co jej przechodziło przez główkę. Z Marynią bywała zwykle milcząca, natomiast czasem wpatrywała się w nią długo, a potem podnosiła oczy do sufitu, jakby namyślając się nad czymś, jakby chcąc coś zrozumieć i zdać sobie z czegoś sprawę. Nieraz te zamyślenia się jej zdarzały się i wówczas, gdy zostawała z matką sam na sam, pewnego zaś popołudnia zbudziła się jakby ze snu i, zwróciwszy się do matki, rzekła:

– Mamusiu, niech mamusia siądzie przy mnie, tu, na sofie.

Pani Emilia siadła; dziecko otoczyło ręką jej szyję i, wsparłszy głowę na jej ramieniu, poczęło mówić pieszczotliwym, osłabionym nieco głosem:

– Bo ja się chciałam mamusi spytać o jedną rzecz, tylko nie wiem, jak to powiedzieć.

– O co ci idzie, dziecinko?

Litka milczała przez chwilę, zbierając myśli, poczem spytała:

– Jeżeli się, mamusiu, kogo kocha, to co?

– Jeśli się kogoś kocha, Lituś?

Pani Emilia powtórzyła pytanie, nie rozumiejąc zrazu dobrze,

o co dziewczynka pyta, ona jednak nie umiała pytać dokładniej.

– To co, mamusiu?...

– To chciałoby się, żeby ten ktoś był zdrow, tak, jak ja chcę, żebyś ty była zdrowa.

– I co jeszcze?

– I chciałoby się, żeby był szczęśliwy, żeby mu na świecie było dobrze, a jeśli trafi mu się co złego, to chciałoby się samemu za niego cierpieć.

– I co jeszcze?

– I chciałoby się mieć go zawsze przy sobie, tak, jak ty jesteś przy mnie – i chciałoby się, żeby on tak kochał, jak ty mnie kochasz.

– To teraz rozumiem – rzekła po chwili zamyślenia się Litka.

– I ja sama myślałam, że to tak.

– Tak, kotku.

– Bo, widzi mamusia, ja jeszcze w Reichenhallu, pamięta mama? w Thumsee, słyszałam, że pan Stach kocha pannę Marynię, i teraz wiem, że on musi być nieszczęśliwy, chociaż nigdy o tem nie mówi.

Pani Emilia, bojąc się wzruszeń dla Litki, rzekła:

– Czy ciebie, kotku, nie męczy ta rozmowa?

– O, nic a nic! Już teraz rozumiem. Onby chciał, żeby ona jego kochała, a ona nie kocha, i chciałby być zawsze przy niej, a ona mieszka z ojcem i nie chce się z nim ożenić.

– Wyjść za niego...

– Wyjść za niego. On się tem martwi, mamusiu? prawda?

– Pewnie, moje dziecko.

– Bo ja to wszystko wiem. A żeby ona wyszła za niego, czyby go kochała?

– Pewnie, kotku, on taki dobry człowiek.

– To ja już teraz wiem.

Dziewczynka przymknęła oczy, i pani Emilia sądziła przez chwilę, że usypia, ale ona po jakimś czasie znów poczęła pytać:

– A jakby on się ożenił z Marynią, czyby nas przestał kochać?

– Nie, Lituś. Onby nas zawsze tak samo kochał.

– Ale Marynię lepiej?

– Marynia byłaby mu wtedy bliższą, niż my. Czemu się ty, kotku, o to dopytujesz?

– To źle?

– Nie; niema w tem nic złego, nic a nic! Tylko boję się, że się zmęczysz.

– O nie! ja i tak ciągle o panu Stachu myślę. Ale niech mamusia nic o tem Maryni nie mówi.

Na tem skończyła się rozmowa, po której Litka przez kilka następnych dni była milcząca, tylko jeszcze uporczywiej, niż przedtem, wpatrywała się w Marynię. Czasem brała ją za rękę i zwracała ku niej oczy, jakby chciała ją o coś zapytać. Czasem, gdy oboje z Połanieckim byli przy niej, przenosiła ustawicznie wzrok to na nią, to na niego, a potem przymykała powieki. Oni zaś przychodzili często, codziennie, czasem i kilka razy na dzień, chcąc ulżyć pani Emilii, która, nie pozwalając się nocami nikomu przy Litce zastąpić, spędzała je od tygodnia bezsennie, śpiąc

nico tylko w dzień, gdy sama Litka ją o to uprosiła. Pani Emilia nie zdawała sobie jednak sprawy z całego niebezpieczeństwa, jakie małej groziło, lekarz bowiem, sam nie wiedząc, jak się obróci ten okres choroby, czy będzie tylko krokiem naprzód, czy końcem, uspokajał matkę tem bardziej stanowczo, że Połaniecki jak najusilniej go o to prosił.

Miała jednak przeczucie, że stan dziecka nie jest pomyślny i, mimo uspokojień lekarza, serce zamierało w niej nieraz z trwogi. Litce ukazywała wprawdzie twarz zawsze uśmiechniętą i wesołą, również jak Połaniecki i panna Marynia, ale dziewczynka nauczyła się obecnie tak uważać na wszystko, że najstaranniej ukrywany niepokój nie uszedł jej baczenia.

Więc też pewnego rana, gdy Połaniecki, zostawszy sam z nią, zajęty był nadymaniem dla niej wielkiego globusa z tafty jedwabnej, który przyniósł jej w darze, dziewczynka rzekła:

– Panie Stachu, ja czasem widzę, że mamusia okropnie się martwi, że ja chora.

Połaniecki przestał nadymać balon i odpowiedział:

– Ani jej się śni. Co tam się roi pod tą czupryną! Zresztą, naturalnie, że się martwi, bo wołałaby, żebyś była zdrowa...

– Dlaczego to wszystkie inne dzieci są zdrowe, tylko ja jedna ciągle choruję?

– Ładnie zdrowe! A Bigieleta nie chorowały, jedno w drugie, na koklusz? Przez kilka miesięcy cały dom był, jak owczarnia. A Józio nie miał odry? Wszystkie dzieciśka wiecznie chorują i tyle z nich pociechy.

– To pan Stach tylko tak mówi, bo one chorują, a potem są zdrowe...

Tu poczęła trząść główką.

– Nie; to co innego. I teraz ciągle muszę leżeć, bo mi zaraz serce bije. I jak onegdaj zaczęli śpiewać na ulicy, a mamusi nie było w pokoju, to poszłam trochę do okna i zobaczyłam pogrzeb – i pomyślałam, że ja także pewno umrę...

– Plecie Litka! – zawołał Połaniecki.

I począł prędko znów nadymać globus, żeby pokryć wzruszenie, a zarazem pokazać dziewczynce, jak mało znaczą jej słowa.

Lecz dziecko szło dalej za swoją myślą:

– Mnie tak czasem duszno i tak mi serce bije... Mamusia powiedziała, żebym ja wtedy mówiła: „Pod twoją obronę” – i ja zawsze mówię, bo ja się okropnie boję umrzeć! Ja wiem, że w niebie dobrze, ale nie byłabym z mamusią, tylko sama na cmentarzu... Tak, i w nocy...

Połaniecki położył nagle globus, siadł przy kanapce i, wziąwszy rękę Litki, rzekł:

– Mój Lituś, jeśli mamę kochasz, jeśli mnie kochasz, nie myśl o takich rzeczach. Tobie nic nie będzie, ale dopieroby się mama martwiła, gdyby wiedziała, czym dziecko sobie główkę zaprzęta! Bo pamiętaj, że sobie tem szkodzisz...

A Litka złożyła ręce:

– Mój panie Stachu, już tylko o jedno zapytam, tylko o jedno – nic więcej!

On pochylił ku niej głowę.

– No, pytaj, kocie. Byle o co mądrego.

– Czy pan Stach bardzoby mnie żałował?

– A, widzisz, jakaś niepoczciwa!

– Mój panie Stachu!... powiedzieć!

– Ja? co za niegodziwe dziecko! Lituś wie, że ją kocham... ogromnie kocham! Niech Bóg broni... Nikogo na świeciebym tak nie żałował... Będieszże ty mi cicho nareszcie, ty mucho utrapiona! ty... najmilsze drogie stworzenie!...

A dziewczynka zwróciła ku niemu rozjaśnione oczy:

– Już będę cicho... Dobry pan Stach!

I w chwili, gdy weszła pani Emilia, a on zabierał się do odejścia, spytała jeszcze:

– Ale pan Stach nie gniewa się na mnie?

– Nie, Lituś! – odrzekł Połaniecki.

Wyszedłszy do przedpokoju, usłyszał lekkie stukanie we drzwi, pani Emilia bowiem kazała zdjąć dzwonki. Otworzył i spostrzegł Marynię, która zwykle przychodziła wieczorami. Przywitawszy się z nim, spytała:

– Jak dziś Litka?

– Jak zwykle.

– Był doktor?

– Był. Nic nowego nie znalazł. Pozwoli pani sobie pomódz?

To powiedziawszy, chciał zdjąć z niej paletot, lecz ona odmówiła, nie chcąc przyjmować jego usług. Wówczas, mając serce wezbrane poprzednią rozmową z Litką, napadł na nią

najniespodzianie:

– To jest prosta grzeczność, nic więcej, a choćby było czemś więcej, mogłaby wreszcie pani zostawić swoją niechęć do mnie za tym progiem, bo tam jest dziecko chore, które nietylko ja, ale i pani niby kocha. W tem po prostu niema nietylko dobroci, ale i miary. Zdjąłbym tak samo paletot z każdej innej kobiety, i niech pani wie, że teraz myślę o Litce i o niczem więcej.

I mówił to z wielką zapalczywością, tak, że zaskoczona nią nagle panna Marynia trochę przestraszyła się naprawdę, trochę straciła głowę, tak, że pozwoliła pokornie zdjąć z siebie paletot, i nietylko nie znalazła w sobie siły, by się obrazić, ale uczuła, że tak może przemawiać człowiek szczerze i głęboko dotknięty niepokojem, zmartwieniem, zatem człowiek prawdziwie czujący i z gruntu dobry.

Może wreszcie ta niespodziana jego energia przemówiła do jej natury kobiecej, dość, że Połaniecki ujął ją w tej chwili więcej, niż kiedykolwiek od czasu widzenia się w Krzemieniu, i nigdy dotychczas nie przypomniął jej tak silnie owego dzielnego, młodego człowieka, którego oprowadzała niegdyś po krzemienieckim ogrodzie. Było to wprawdzie wrażenie przelotne, które nie mogło stanowić o wzajemnym ich do siebie stosunku, ale na razie podniosła na niego oczy nieco zdziwione, lecz nie gniewne, i rzekła:

– Przepraszam pana...

On zaś pohamował się przez ten czas i zawstydził:

– To ja przepraszam. Litka gadała mi dziś o swojej śmierci

i taki jestem wzburzony, że rady sobie dać nie mogę... Pani powinna to zrozumieć i przebaczyć mi.

To rzekłszy, ścisnął silnie jej rękę i wyszedł.

XVI

Następnego dnia Marynia ofiarowała się pani Emilii zamieszkać u niej aż do zupełnego wyzdrowienia Litki, Litka zaś poparła jej prośbę, na którą pani Emilia po krótkim oporze była zmuszona się zgodzić. Rzeczywiście upadała ze znużenia; zdrowie chorej wymagało nieustającej i wyjątkowej czujności, nowy atak bowiem mógł przyjść lada chwila. Trudno było liczyć, żeby służąca, choćby najbardziej przywiązana, nie zdrzemnęła się w takiej właśnie chwili, w której śpieszny ratunek mógł stanowić o życiu dziecka – więc obecność Maryni była prawdziwą pomocą i uspokojeniem dla stroskanej matki.

Co do pana Pławickiego, ten wołał jadać w restauracyi, niż w domu, nie robił więc trudności. Marynia zresztą wpadała codzień dowiedzieć się o jego zdrowie i przyprowadzić do porządku domowe rachunki, potem wracała do pani Emilii, by połowę nocy przesiedzieć przy małej.

W ten sposób Połaniecki, który wszystkie chwile wolne od zajęć spędzał u pani Emilii i przyjmował a raczej odprawiał z podziękowaniami wszystkich, którzy przychodzili dopytywać się o zdrowie dziewczynki, widywał Marynię codziennie.

I podziwiał ją szczerze. Sama pani Emilia nie okazywała więcej troskliwości dla chorej i nie umiała lepiej koło niej chodzić. Po tygodniu twarz panny Maryni pobladła z niewyczasu i obawy, oczy podkrzały się ciemno, ale siły jej i

energia zdawały się wzrastać z każdą chwilą. Było w niej przytem tyle słodczy i dobroci, coś tak cichego i delikatnego w usługach, jakie oddawała Litce, że dziewczynce, mimo owej urazy, którą dla Maryni żywiła w głębi swej małej duszki, poczęło być z nią dobrze, i gdy oddaliła się na kilka godzin do ojca, chora wyglądała jej z utęsknieniem.

Zresztą zdrowie małej raczej się poprawiło w ostatnich czasach. Doktor pozwolił jej wstawać, przechadzać się po pokoju i siadywać w fotelu, który w słoneczne dni przysuwano jej do drzwi, prowadzących na balkon, aby mogła spoglądać na ulicę i rozrywać się ruchem ludzi i powozów.

Połaniecki, pani Emilia i panna Marynia otaczali ją często wówczas, a przedmiotu do rozmów i pogadanek dostarczało to, co się działo na ulicy. Czasem dziecko było znużone i jakby zadumane, czasem jednak dziecinna natura brała górę i bawiło ją wszystko, więc i październikowe słońce, obrzucające dachy, ściany i szyby sklepów bladem złotem, i stroje przechodniów, i nawoływania przekupniów. Zdawało się, że owe potężne pierwiastki życia, pulsujące w wirze miejskim, wchodzi w dziecko i ożywiają je. Czasem przychodziły jej też do głowy dziwne myśli, i raz, gdy przed balkonem przesuwiał się ciężki wóz, wiozący drzewa cytrynowe w donicach, które, lubo skrępowane łańcuchami, chwiały się zgodnie z ruchem wozu, mała rzekła:

– Im serce nie bije.

A potem, podnosząc oczy na Połanieckiego, spytała:

– Panie Stachu, czy drzewa długo żyją?

– Bardzo długo, niektóre żyją tysiące lat.

– O, to ja chciałabym być drzewem. A mamusia jakie najlepiej lubi?

– Brzozę.

– To ja chciałabym być małą brzożką, a mamusia byłaby dużą i rosłybyśmy razem. A pan Stach chciałby także być brzożą?

– Byłem rósł gdzie niedaleko od małej brzożki.

Litka zaś popatrzyła na niego i, potrząsając trochę smutno główką, rzekła:

– O, nie! ja teraz wiem wszystko. Ja wiem przy kimby pan Stach chciał rosnąć.

Panna Marynia zmieszała się i spuściła oczy na robotę, Połaniecki zaś począł gładzić lekko dłonią płową główkę i powtarzać:

– Moje kociątko kochane, moje miłe! moje, moje!...

Litka umilkła; następnie z pod długich jej rzęs wypłynęły dwie łzy i stoczyły się cicho po policzkach.

Po chwili podniosła jednak swoją słodką twarzyczkę, rozjaśnioną uśmiechem.

– Ja mamusię bardzo kocham – rzekła – i pana Stacha kocham i Marynię kocham...

XVII

Profesor Waskowski dowiadywał się codziennie o zdrowie małej i choć najczęściej go nie przyjmowano, przysyłał jej kwiaty. Połaniecki, spotkawszy go kiedyś na obiedzie, począł mu dziękować w imieniu pani Emilii.

– Astry tylko, astry! – odrzekł profesor. – Jak ona się dziś ma?

– Dziś nieźle, a wogóle niedobrze. Gorzej, niż w Reichenhallu. Strach zawsze ogarnia przed każdym następnym dniem, a gdy się pomyśli, że tego dziecka może zabraknąć!...

Tu Połaniecki urwał, bo zbrakło mu w gardle dalszych słów; wreszcie, chcąc się sam przełamać, począł kląć:

– Co tu się oglądać za jakimś zmiłowaniem! Jest tylko logika, która powiada, że kto ma chore serce, ten musi umrzeć – i niechże piorun trzaśnie takie życie!

Na to nadszedł Bukacki, który, dowiedziawszy się o co chodzi, napadł również na profesora Waskowskiego, i on bowiem, kochając Litkę, buntował się w duszy na myśl o grożącej jej śmierci.

– Jak można łudzić się dobrowolnie przez tyle lat i wygłaszać zasady, które obracają się w niwecz wobec ślepego przeznaczenia.

Lecz stary człowiek odpowiedział łagodnie:

– Jak wy możecie, moi kochani, mierzyć waszą własną miarą mądrość boską i miłosierdzie boskie? Kto wszedł w podziemie,

tęgo otacza ciemność, ale ten nie ma jeszcze prawa przeczyć, że ponad sklepieniem istnieje niebo i słońce, światło i ciepło...

– Oto mi pociecha! – przerwał Połaniecki – mucha nie wyżyje na tej filozofii, a cóż dopiero matka, której jedyne i kochane dziecko umiera.

Lecz niebieskie oczy profesora były już jakby za światem; przez chwilę wpatrywał się uporczywie przed siebie, poczem ozwał się, jak człowiek, który coś widzi, ale nie jest pewny, czy widzi dokładnie:

– A mnie się zdaje, że to dziecko zanadto wszczepiło się w serce ludzkie, żeby tak ot przejść i odejść bez śladu. Coś w tem jest... Coś jej było przeznaczone, ona musi coś spełnić – i przedtem nie umrze.

– Mistycyzm! – rzekł Bukacki.

Lecz Połaniecki przerwał:

– Oby tak było! Mistycyzm, nie mistycyzm, ale, oby tak było! Człowiek w biedzie chwyta się nawet za cień nadziei. Mnie też nigdy się w głowie nie mieściło, żeby ona miała umrzeć.

A profesor dodał:

– Kto wie! może ona nas wszystkich jeszcze przeżyje!

Połaniecki był w tej fazie sceptycyzmu, w której człowiek w niczem nie uznaje pewności, ale wszystko uznaje za możliwe, zwłaszcza to wszystko, czego w danym wypadku pragnie serce; odetchnął więc lżej i nabrał jakoś otuchy.

– Niech Bóg zmiłuje się nad nią i nad panią Emilią – rzekł. – Dałbym na sto mszy, gdybym wiedział, że jej to pomoże.

– Daj na jedną, byle ze szczerą intencją.

– A dam! a dam! Co do szczerości intencji, nie byłbym szerszy, gdyby o własną moją skórę chodziło.

A Waskowski uśmiechnął się i rzekł:

– Ty jesteś na dobrej drodze, bo umiesz kochać.

I jakoś łżej uczyniło się wszystkim. Bukacki, jeśli myślał w duszy coś przeciwnego temu, co mówił Waskowski, nie śmiał się z tem odezwać, bo sceptycyzm, choćby najbardziej wkorzeniony, gdy ludzie wobec prawdziwego nieszczęścia szukają ratunku w wierze, nakłada czapkę na uszy i nie tylko tchórzy, ale wydaje się sam sobie marnym i małym.

Bigiel, który nadszedł w tej chwili, ujrzał weselsze twarze i rzekł:

– Widzę po was, że mała nie gorzej.

– Nie, nie! – rzekł Połaniecki – i profesor mówił nam takie pocziwe rzeczy, że tylko go do rany przyłożyć.

– Chwała Bogu! Żona moja dała dziś na mszę, a potem poszła do pani Emilii. Dziś będę jadł z wami, bo mam urlop, i skoro Litce lepiej, to powiem wam drugą wesolą nowinę.

– Co takiego?

– Spotkałem przed chwilą Maszkę, który zresztą zaraz tu przyjdzie, a jak przyjdzie, to mu powinszujcie, bo się żeni.

– Z kim? – spytał Połaniecki.

– Z moją sąsiadką.

– Z panną Krasławską?

– Tak.

– Rozumiem – rzekł Bukacki – skruszył na proch te panie swoją wielkością, swoim urodzeniem, swoim majątkiem i z tego prochu ulepił sobie żonę i teściową.

– Wytlómaczcie mi jedną rzecz – rzekł profesor Waskowski – Maszko jest człowiekiem religijnym...

– Jako konserwatysta – przerwał Bukacki – dla przyzwoitości.

– I te panie także – ciągnął dalej Waskowski.

– Ze zwyczaju...

– Dlaczego oni nie zamyślają się nigdy o życiu przyszłym?

– Maszko! czemu ty nie zamyślasz się nigdy o życiu przyszłym? – zawołał Bukacki, zwracając się do wchodzącego w tej chwili adwokata.

Maszko zaś zbliżył się do nich i spytał:

– Jak powiadasz?

– Powiadam: Tu felix, Maszko, nube!

Wówczas wszyscy poczęli mu składać życzenia, on zaś przyjmował je z pełną godności powagą, w końcu przemówił:

– Moi drodzy, dziękuję wam z całego serca, a ponieważ wszyscy znacie moją narzeczoną, więc nie wątpię o szczerości waszych życzeń.

– Nie pozwól sobie na to! – rzekł Bukacki.

A Połaniecki dorzucił:

– W porę ci przyszedł Krzemień.

Krzemień istotnie przyszedł Maszce w porę, bez niego bowiem może nie zostałby przyjęty. Ale właśnie dlatego ta uwaga nie była mu przyjemną, więc skrzywił się i rzekł:

– Ułatwiłeś mi to kupno i czasem ci jestem za to wdzięczny, a czasem cię przeklinam.

– Dlaczego?

– Bo twój wujaszek Pławicki jest najnudniejszą i najnieznośniejszą figurą na świecie, nie mówiąc o twojej kuzynce, która jest bardzo miła panna, ale odmienia od rana do wieczora swój nieodżałowany Krzemień przez wszystkie siedm przypadków, dodając do każdego łezkę. Ty tam mało bywasz, ale wierz mi, że to jest także niepospolicie nudne.

A Połaniecki począł mu patrzeć w oczy i odpowiedział:

– Słuchaj Maszko. Ja wygadywałem na mojego wujaszka, co wlaźło, ale nie idzie za tem, żebym miał słuchać cierpliwie, gdy ktoś na niego wygaduje, zwłaszcza ktoś, kto zrobił na nim dobry interes. Co do panny Maryni, wiem, że jej żal Krzemienia, ale to dowodzi, że nie jest pustą lalką, nie jest manekinem, tylko kobietą z sercem, rozumiesz mnie!

Nastąpiła chwila milczenia. Maszko doskonale zrozumiał, kogo Połaniecki miał na myśli, mówiąc o pustej lalce i manekinie, więc wypieki na twarzy przybrały barwę cegły, a usta poczęły drgać. Jednak pohamował się. Nie był on wcale tchórzem, ale nawet najzuchwalszy człowiek ma zwykle kogoś, z kim woli nie zadzierać, i dla Maszki takim kimś był właśnie Połaniecki.

Więc wzruszywszy ramionami, rzekł:

– Czego ty się gniewasz? Jeśli ci to robi przykrość...

Lecz Połaniecki przerwał:

– Ja się nie gniewam, tylko radzę ci pamiętać moje słowa.

I patrzył mu dalej w oczy, Maszko zaś pomyślał: „Jeśli chcesz koniecznie awantury, to będziesz ją miał.”

– Twoje słowa – odrzekł – mogę pamiętać, tylko przyjmijże i ty odemnie radę: nie pozwalaj sobie do mnie mówić tym tonem, bo mógłbym go także zapamiętać i wezwać cię do obrachunku.

– Co u licha! – zaczął Bukacki. – Co wam jest!?

Lecz Połaniecki, w którym rozdrażnienie na Maszkę zbierało się od dawna, byłby posunął niechybnie rzeczy do ostateczności, gdyby nie to, że w tej chwili wpadł do gabinetu służący pani Emilii.

– Proszę pana – rzekł zdyszanym głosem – panienka umiera!

Połaniecki zbladł i, porwawszy za kapelusz, skoczył do drzwi. Nastąpiło głuche, długie milczenie, które przerwał wreszcie Maszko:

– Zapomniałem – rzekł – że jemu wszystko trzeba teraz wybaczyć...

A Waskowski, zakrywszy oczy rękoma, począł się modlić.

Wreszcie podniósł głowę i ozwał się:

– Bóg jeden okiełznał śmierć i potrafi ją powstrzymać.

Jakoż w kwadrans później Bigiel odebrał od żony kartkę ze słowami:

– „Atak minął.”

XVIII

Połaniecki pędził do pani Emilii w trwodze, czy zastanie jeszcze Litkę przy życiu, służący bowiem powiedział mu podczas drogi, że panienka dostała konwulsyi i była konająca. Gdy jednak przybył na miejsce, pani Emilia sama wybiegła na jego spotkanie i jednym tchem, z głębi piersi, rzuciła mu słowa:

- Lepiej! lepiej!
- Doktor jest? – spytał Połaniecki.
- Jest.
- A mała?
- Śpi.

W twarzy pani Emilii resztki przerażenia walczyły z nadzieją i radością. Połaniecki zauważył, że usta jej były prawie białe, oczy suche i zaczerwienione, a twarz w wypiekach. Była śmiertelnie znużona, albowiem nie spała od dwudziestu czterech godzin.

Lekarz jednak, człowiek młody i energiczny, uważał, że niebezpieczeństwo na razie minęło. Panią Emilię pokrzepiło szczególnie to, co powiedział jej przy Połanieckim:

– Nie powinniśmy dopuścić do następnego ataku i nie dopuścimy.

Była w tych słowach istotnie otucha, widocznie bowiem doktor uważał za rzecz możliwą niedopuszczenie do następnego ataku, ale było i ostrzeżenie, że następny mógłby być śmiertelnym. Lecz pani Emilia czepiała się teraz każdej nadziei,

jak człowiek spadający w przepaść czepia się gałęzi drzew, rosnących nad jej krawędzią.

– Nie dopuścimy! nie dopuścimy! – powtarzała, ściskając gorączkowo rękę doktora.

Połaniecki spojrzał mu nieznacznie w oczy, jakby chcąc wyczytać w nich, czy mówi to dla uspokojenia matki, czy na podstawie lekarskiego przeświadczenia, poczem spytał na próbę:

– Pan nie odstąpi jej dzisiaj?

– Nie widzę tego najmniejszej potrzeby – odpowiedział doktor. – Dziecko jest wyczerpane i prawdopodobnie będzie spało długo i mocno. Jutro przyjdę, ale dziś z zupełnym spokojem mogę iść do domu.

Poczem zwrócił się do pani Emilii:

– Pani również powinna wypocząć. Wszelkie niebezpieczeństwo minęło, trzeba zaś, żeby chora nie widziała na twarzy pani ani zmęczenia, ani niepokoju, albowiem sama mogłaby się tem zaniepokoić, a na to jest zbyt słaba.

– Nie mogłabym zasnąć – odpowiedziała pani Emilia.

Lecz doktor zwrócił na nią swoje blade-niebieskie oczy i, wpatrzywszy się w nią jakby z pewnem natężeniem, rzekł zwolna:

– Za godzinę położy się pani i zaraz zaśnie. Sześć do ośmiu godzin będzie pani spała nieprzerwanym snem. Powiedzmy ośm... Jutro będzie się pani czuła silna i wypoczęta. A teraz, dobranoc.

– A krople na wypadek, jeśli się mała obudzi?

– Krople da kto inny. Pani będzie spała. Dobranoc.

I począł się żegnać. Połaniecki chciał iść za nim, by wypytać go na cztery oczy o Litkę, pomyślał jednak, że dłuższa tego rodzaju rozmowa mogłaby zaniepokoić panią Emilię, więc wołał jej zaniechać, przyrzekłszy sobie natomiast, że nazajutrz pójdzie do mieszkania doktora i tam się z nim rozmówi.

Po chwili, gdy zostali sam na sam z panią Emilią, rzekł:

– Niech pani uczyni, jak doktor mówi. Trzeba odpocząć. Zapowiadam, że idę teraz do pokoju Litki i nie ruszam się całą noc.

Lecz jej wszystkie myśli były przy małej, więc zamiast odpowiedzieć mu wprost, rzekła:

– Czy pan wie, że po ataku, przedtem nim usnęła, pytała się o pana kilka razy... i o Marynię także. Usnęła z zapytaniem: „Gdzie pan Stach?”

– Moja biedaczka kochana! Ja byłbym i tak przyszedł zaraz po obiedzie. Leciałem tu ledwie żywy. Kiedy się atak rozpoczął?

– Przed południem. Od rana była smutna, jakby coś przeczuwała. Pan wie, że ona przede mną zawsze zaręcza, że jest zdrowa, musiała się jednak czuć niedobrze, bo przed samym atakiem siadła przy mnie i prosiła, żeby ją trzymać za rączkę. Wczoraj jeszcze – zapomniałam panu powiedzieć – zadawała mi takie dziwne pytania: czy prawda, że jak chore dziecko o co prosi, to mu się nigdy nie odmawia? Ja powiedziałam, że tak, chyba by prosiło o rzeczy niemożliwe do spełnienia. Coś jej chodziło widocznie po głowce, bo wieczorem, jak Marynia

wpadła na chwilę, znów zadawała nam podobne pytania. Poszła spać wesoło, ale dziś od rana skarżyła się na duszność. Szczęściem, że posłałam po doktora przed samym atakiem i że zaraz przyszedł.

– Największe szczęście to, że odszedł z taką pewnością, iż atak się nie powtórzy. Jestem zupełnie pewny, że takie jest jego przekonanie – odpowiedział Połaniecki.

Pani Emilia podniosła oczy w górę:

– Pan Bóg taki miłosierny! taki dobry! że...

I, mimo wszelkich wysiłen, poczęła łkać, albowiem stłumiona trwoga i rozpacz zmieniły się w niej teraz w radość i znalazły ujście we łzach. W tej szlachetnej i uduchowionej naturze wrodzona egzaltacya psuła wiecznie spokojny rozmyśl, skutkiem czego pani Emilia nie zdawała sobie w niczem sprawy z istotnego stanu rzeczy, i teraz naprzykład nie miała najmniejszej wątpliwości, iż choroba Litki skończyła się raz na zawsze tym ostatnim atakiem i że odtąd pocznie się dla niej okres zupełnego zdrowia.

Połaniecki zaś nie miał ani ochoty, ani serca wskazywać jej pośredniej drogi między rozpaczą a radością. Serce wezbrało mu dla niej wielką litością i przyszła na niego jedna z takich chwil, w której odczuwał wyraźniej, niż zwykle, jak głęboko, chociaż bezinteresownie, jest przywiązany do tej egzaltowanej i idealnej kobiety. Gdyby była jego siostrą, byłby ją objął i przycisnął do piersi, tymczasem ucałował jej delikatne, wychudłe ręce i rzekł:

– Chwała Bogu, chwała Bogu! Niech droga pani teraz o sobie

pomyśli, a ja idę do małej i nie ruszę się, póki się nie obudzi.

I poszedł. W pokoju Litki panował mrok, bo żaluzje były spuszczone, a na dworze słońce już zachodziło, więc tylko przez szpary pomiędzy deszczułkami przedzierało się nieco czerwonych promieni, które niedostatecznie rozświecały pokój i które wkrótce znikły, albowiem niebo poczęło się chmurzyć. Litka spała głębokim snem. Połaniecki, siadłszy przy niej, począł wpatrywać się w jej uśpioną twarz i w pierwszej chwili serce mu się ścisnęło bolesnem uczuciem. Litka leżała na wznak, z główką zwróconą do sufitu; biedne, cienkie jej rączka leżały bezwładnie na kołdrze, oczy były zamknięte, a pod oczyma głębokie cienie od rzęs. Jej bladość, która w tym czerwonym półmroku wydawała się jak woskowa i otwarte usta, a wreszcie głębokie uśpienie, nadawały jej twarzyczce pozór takiego spokoju, jaki mają twarze umarłych. Lecz ruch szlerek, którymi obszyty był jej nocny kaftanik, wskazywał, że dziecko żyje i oddycha. Oddech był nawet spokojny i bardzo regularny. Połaniecki długi czas wpatrywał się w tę chorą twarz i raz jeszcze odczuł z całą siłą to, co odczuwał często, gdy o sobie rozmyślał: mianowicie, że natura stworzyła go na ojca, że obok wybranej kobiety, dzieci mogłyby być niezmierną miłością jego życia, jego głównym celem i powodem jego istnienia. Zrozumiał to przez litość i miłość, jaką w tej chwili odczuwał dla Litki, która, obca pochodzeniem, była mu w tej chwili tak droga, jak rodzone dziecko. „Gdyby mi ją oddano na własność – pomyślał – gdyby jej zbrakło matki, wziąłbym ją na zawsze i uważałbym, że mam

dla czego żyć.”

I czuł również, że gdyby można było wejść w targ ze śmiercią, oddałby jej siebie bez wahania, byle wykupić to „kociątko,” nad którym teraz ta śmierć zdawała się unosić, jak drapieżny ptak nad gołębiem. Ogarnęła go tliwość, jakiej dotychczas nie doświadczał, i ów człowiek, z charakteru raczej szorstki i prędki, gotów był całować ręce i główkę tego dziecka, w najtkliwszej pieszczocie, takiej, na jaką nie każde nawet serce kobiece zdobyćby się mogło.

Tymczasem pociemniało. Po chwili weszła pani Emilia, osłaniając dłonią błękitną lampkę nocną.

– Śpi? – spytała cicho, stawiając lampkę na stoliku za głową Litki.

– Śpi – odpowiedział równie cicho Połaniecki.

Pani Emilia wpatrzyła się w uśpioną.

– Widzi pani – szepnął dalej Połaniecki – jak oddycha równo i spokojnie. Jutro będzie zdrowsza i silniejsza.

– Tak! – odpowiedziała z uśmiechem.

– Teraz na mamę kolej. Spać! spać! bo inaczej zacznę zrzedzić okropnie.

Jej oczy śmiały się ciągle do niego z wdzięcznością. W łagodnem, błękitnem świetle lampki nocnej wyglądała, jak zjawisko. Twarz miała zupełnie anielską i Połaniecki mimowoli pomyślał, że i ona, i Litka, wyglądają istotnie jak jakieś zaziemskie postacie, które przez czysty wypadek zabłąkały się na ten świat.

– Tak – odpowiedziała. – Teraz odpocznę. Przyszła Marynia Pławicka i profesor Waskowski. Marynia chce koniecznie zostać.

– To tem lepiej. Ona tak dobrze chodzi koło małej. Dobranoc pani.

– Dobranoc.

Połaniecki został znów sam i począł myśleć o pannie Maryni. Na samą wiadomość, że ją za chwilę zobaczy, nie mógł już myśleć o czem innem, i teraz oto stawiał sobie pytanie, w czem leży ta dziwna tajemnica natury, na mocy której on naprzykład nie pokochał pani Emilii, stanowczo piękniejszej od Maryni, prawdopodobnie lepszej, słodszej, zdolniejszej do kochania – tylko tamtą dziewczynę, którą bez porównania mniej znał i słusznie, lub niesłusznie, mniej cenił. A jednak przy każdym zbliżeniu się z Marynią budziły się w nim natychmiast te wszystkie porywy, które mężczyzna odczuwać może na widok wybranej kobiety, podczas gdy tak prawdziwie kobieca postać, jak pani Emilii, nie czyniła na nim innego wrażenia, niż gdyby była malowidłem lub rzeźbą... Dlaczego tak jest i dlaczego, im więcej w człowieku kultury, im bardziej nerwy jego stają się subtelne a wrażliwość większa, tem większą czyni różnicę między kobietą a kobietą? Połaniecki nie miał na to innej odpowiedzi, jak owa, którą dał ów doktor, zakochany w pannie Krasławskiej: „Ja patrzę na nią trzeźwo, tylko nie mogę od niej duszy odedrzeć.” Było to raczej stwierdzenie zjawiska, niż odpowiedź, na którą zresztą nie miał czasu, gdyż w tejże chwili panna Marynia wsunęła się do pokoju.

Skinęli sobie wzajem głowami, poczem on podniósł fotel i postawił go cicho przy łóżku Litki, dając na migi pannie Maryni znać, żeby siadła. Ona pierwsza poczęła mówić, a raczej szeptać:

– Niech pan pójdzie teraz na herbatę. Profesor Waskowski tam jest.

– A pani Emilia?

– Nie mogła już wysiedzieć. Mówiła, że aż jej samej dziwno, ale musi iść spać.

– Ja wiem, dlaczego. Doktor ją zahipnotyzował i dobrze zrobił. Mała naprawdę lepiej.

Panna Marynia spojrzała mu w oczy, lecz on powtórzył:

– Naprawdę lepiej... jeśli atak nie wróci, a jest nadzieja, że nie wróci.

– Ach! Bogu chwała. Niech pan teraz pójdzie na herbatę.

Lecz on wołał tak oto szeptać do niej z bliska i poufnie, więc odrzekł:

– Dobrze, dobrze, ale później. Umówmy się przytem tak, by i pani mogła wypocząć. Słyszałem, że ojciec pani był chory. Pewno pani i nad nim czuwała.

– Ojciec zdrów już, a ja chcę koniecznie zastąpić Emilkę. Mówiła mi, że jej służba nie spała także całą zeszłą noc, bo stan małej był już przed atakiem niepokojący... Trzeba, żeby teraz ktoś ciągle czuwał, więc jabym chciała tak to urządzić, żebyśmy – ja, pan i Emilka – zastępowali się kolejno.

– Dobrze. Ale dziś już zostanę. Jeśli nie tu, to będę w sąsiednim pokoju na podorędziu. Kiedy pani dowiedziała się o

ataku?

– Nie wiedziałam nic. Przyszłam, jak zwyczajnie wieczorem, dowiedzieć się, co słychać.

– A do mnie przybiegł służący pani Emilii w czasie, gdy jadłem obiad. Wyobrazi sobie pani łatwo, jakem tu leciał; nie byłem pewny, czy ją znajdę jeszcze przy życiu. Co jest przytem dziwnego, to, że w czasie obiadu rozmawialiśmy prawie ciągle o Litce z Bukackim i Waskowskim, zanim przyszedł Maszko z oznajmieniem o swoim małżeństwie.

– Pan Maszko się żeni?

– Tak. Jeszcze nowina się nie rozeszła, ale on sam oznajmił nam ją uroczyście. Żeni się z panną Krasławską, pamięta pani? z tą, która to była wówczas u Bigielów. To dobra partya dla Maszki – panna Krasławska...

Nastąpiła chwila milczenia. Panna Marynia, która, nie kochając Maszki, odrzuciła jego rękę, ale która niejednokrotnie wyrzucała sobie swoje względem niego postępowanie, w przypuszczeniu, iż naraziło go ono na zawód i cierpienia, mogła znaleźć tylko pociechę w wiadomości, że młody adwokat przeniósł cios tak łatwo. Jednakże wiadomość o tem zdziwiła ją na razie i ubodła. Kobiety, gdy z kimś współczują, chcą po pierwsze, by ów ktoś był naprawdę nieszczęśliwy, a powtórę, chcą same łagodzić nieszczęście; gdy się pokaże, że potrafi to uczynić i kto inny, doznają pewnego rozczarowania. Miłość własna panny Maryni została także podwójnie dotknięta. Nie sądziła, by tak łatwo było o niej zapomnieć, a przytem musiała przyznać, że

wyobrażenie jej o Maszce, jako o wyjątkowym człowieku, nie miało żadnej podstawy. Był on dla niej dotychczas rodzajem tuza w partyi przeciw Połanieckiemu – teraz przestał nim być. Czuli się więc, bądźcobądź, nieco upokorzona. Nie przeszkodziło jej to wprawdzie oświadczyć z pewnym akcentem prawdy Połanieckiemu, że jego nowina sprawia jej szczerą i głęboką radość, ale w gruncie rzeczy odczuwała i ku niemu jakby rodzaj urazy za to, że ją powiedział.

Połaniecki od pewnego czasu postępował z nią bardzo powściągliwie i w niczem nie zdradzał się z tem, co się w nim działo. Nie udawał zbytniego chłodu; ponieważ musieli się spotykać, więc w obejściu się z nią zachował nawet pewną życzliwą swobodę, ale ona właśnie dlatego sądziła, że przestał ją kochać. I taka jest natura ludzka, że, jakkolwiek dawna uraza ciągle żyła, a nawet zwiększała się w duszy panienki, jakkolwiek pierwsze rozczarowanie zmieniło się jakby w źródło, sączące coraz nową gorycz, przecie ta myśl, że niechęć jej jest mu już obojętną, drażniła pannę Marynię. Teraz zdawało jej się, że Połaniecki musi jednak tryumfować nad jej pomyłką co do Maszki i nad tem, że, bądźcobądź, ona, która przed niedawnym czasem miała wybór między Maszką a nim, obecnie go nie ma i że zostaje w pewnem opuszczeniu, trochę upokarzajacem.

On zaś daleki był od takich myśli. Rad był wprawdzie, że Marynia pozna, iż, wywyższając nad niego Maszkę, myliła się gruntownie, ale ani mu się śniło cieszyć, albo tryumfować z powodu jej osamotnienia, bo w każdej chwili więcej niż

kiedykolwiek gotów był otworzyć jej ramiona, przycisnąć ją do piersi i kochać. Pracował on wprawdzie nad złamaniem w sobie uczucia wytrwale i nawet z zawziętością, ale czynił to wyłącznie dlatego, że nie widział przed sobą żadnej nadziei, a poczytywał za rzecz uchybiającą swojej godności męskiej wkładać wszystkie siły duszy i serca w uczucie nieodwzajemnione. Chciał wedle własnego wyrażenia „nie dać się” i nie dawał się, jak umiał, ale pojmował to doskonale, że taka walka nuży, wyczerpuje, i że, gdy nawet kończy się zwycięstwem, przynosi, zamiast szczęścia, pustkę. A oprócz tego, daleko mu było do zwycięstwa. Po wielkich wysileniach doszedł wreszcie do tego tylko, że jego uczucie pomieszało się z goryczą. Ferment taki rozkłada wprawdzie miłość, z tej prostej przyczyny, że ją zatruwa, i z czasem mógł ją rozłożyć w sercu Połanieckiego. Ale na razie, co za znikomy rezultat! Teraz oto, siedząc nieopodal Maryni i patrząc na jej twarz i głowę, oświeconą bladym światłem lampki, mówił sobie w duszy: „Gdyby tylko chciała!” Myśl ta złościła go, ale, chcąc być z sobą szczery, musiał przyznać, że gdyby tylko chciała, pochyliłby się do jej nóg z największą gotowością. Więc co za znikomy rezultat, a zarazem co za bezdroże! Jednocześnie bowiem czuł, iż nieporozumienie między nimi tak już wyrosło, iż gdyby Marynia nawet chciała powrotu takich chwil, jakie spędzili w Krzemieniu, to miłość własna i obawa, by nie stanąć względem siebie samej w sprzeczności, zamknęłaby jej usta. Stosunek ich tak się już powikłał, że prędzej jeszcze mogliby pokochać się, niż porozumieć.

Po krótkiej rozmowie zapadła między nimi cisza, przerywana tylko oddechem chorego dziecka i lekkim a posępnym dźwiękiem szyb, w które zaciął drobny deszcz. Na dworze uczyniła się noc wilgotna jesienna, niosąca z sobą ucisk, smutek, pesymizm i zniechęcenie. Równie smutno wyglądał ów pokój, w którego mrocznych kątach zdawała się czaić śmierć. Godzina płynęła za godziną, coraz wolniej. Połanieckiego ogarnęły nagle złe przeczucia. Spojrzał na Litkę i naraz wydało mu się szaleństwem przypuszczenie, że ona może wyżyć. Próżne czuwanie! próżne nadzieje! próżne złudzenia! To dziecko musi umrzeć! musi, tem bardziej, im jest droższe, słodsze, im bardziej kochane! Za nią pójdzie pani Emilia – i potem będzie pustka prawdziwie beznadziejna! Co za życie! Oto on, Połaniecki, ma te dwie jedyne istoty na świecie, które go kochają, dla których jest czemś, więc oczywiście musi je stracić! Przy nich byłoby się o coś zahaczyć w życiu, bez nich – zostaje jedna nicość i jakaś przyszłość ślepa, głucha, bezrozumna, z twarzą idyoty...

Najenergiczniejszy człowiek potrzebuje, by go ktoś kochał. Inaczej czuje w sobie śmierć i jego energia zwraca się przeciw życiu. Taka chwila przyszła na Połanieckiego. „Nie wiem ostatecznie, dlaczegobym nie miał sobie w łeb palnąć – pomyślał – nie z rozpaczyny za niemi, ale z powodu nicości bez nich. Jeśli życie ma być bezsens, niema dobrej racyi, by na bezsens pozwolić – chyba przez ciekawość, do jakiego stopnia dojść może.”

Lecz ta myśl nie zjawiła się w nim, jako zamiar. Było to

raczej targnięcie za łańcuch nieszczęść człowieka, który się zżyma: chwila gniewu, szukającego przeciw komuby się zwrócić. W Połanieckim zwrócił się on nagle na Marynię. Sam on nie wiedział, dlaczego wydało mu się nagle, że wszystko, co się dzieje złego, dzieje się z jej powodu, że ona wniosła w ich kółko niechęć, której nie było, zmartwienie, którego nie było, że rzuciła jakby jakiś kamień w ich gładką wodę, i teraz fale, rozszerzając się coraz bardziej, ogarniają nietylko jego, ale i panią Emilię i Litkę. Jako człowiek, rządzący się rozsądkiem, nie nerwami, rozumiał całą czczość tego rodzaju zarzutów, a jednak nie mógł oprzeć się wspomnieniu, że nim Marynia przyjechała, było wszystko lepiej, że ową przeszłość mógł uważać jako szczęśliwy okres życia. Kochał oto wówczas tylko Litkę, takim jasnym, ojcowskim uczuciem, które nie przyniosło i nie mogło przynieść jednej chwili goryczy. Kto wie przytem, czy z czasem nie byłby potrafił pokochać pani Emilii! Ona wprawdzie nie miała dla niego innych uczuć, tylko przyjazne, ale może jedynie dlatego, że innych nie pragnął. Nieraz szlachetne kobiety wyrzekają się uczuć, wychodzących poza granicę przyjaźni, by nie utrudniać i nie płać życia komuś, kto mógłby być droгим, ale nie chce. Wówczas w głębi ich duszy leży cichy, ukryty smutek, znajdują jednak słodycz i pociechę w tkiwości, na jaką przyjaźń pozwala.

Połaniecki, poznawszy Marynię, oddał jej zaraz najlepszą część uczuć. Po co? dlaczego? Tylko na zgryzotę sobie. Teraz, na domiar nieszczęścia, ta Litka, która była jedynym promykiem

jego życia, umierała lub mogła umrzeć każdej chwili. Połaniecki znów wpatrzył się w nią i w duszy mówił jej:

– Zostań choć ty, dziecinko! ty nie wiesz, jakaś potrzebna i mnie i matce. Niech Bóg broni, co za życie będzie bez ciebie, drogie stworzenie!

Nagle spostrzegł, że oczy dziewczynki patrzą na niego.

Przez chwilę myślał, że się łudzi i nie śmiał się poruszyć, lecz mała poczęła się uśmiechać i wreszcie wyszeptała:

– Pan Stach...

– To ja, Lituś! Jak się czujesz?

– Dobrze, a gdzie mama?

– Zaraz przyjdzie. Wojowaliśmy z nią ogromnie, żeby poszła spać i ledwieśmy ją namówili.

Litka zwróciła głowę i, spostrzegłszy pannę Marynię, rzekła:

– A, to ciocia Marynia?

Od pewnego czasu mała mówiła jej: ciociu.

Panna Marynia wstała i wzięwszy flaszeczkę, stojącą na szafce nocnej, poczęła nalewać pod światło lampki krople na łyżeczkę, następnie podała je Litce, a gdy dziewczynka skończyła pić, przycisnęła usta do jej czoła.

Nastała chwila milczenia, poczem dziecko rzekło, jakby samo do siebie:

– Nie trzeba mamy budzić.

– Nie; nikt nie będzie budził – odpowiedział Połaniecki. – Wszystko tak będzie, jak Lituś chce.

I począł gładzić jej rączkę, leżącą na kołdrze.

Ona zaś patrzyła na niego, powtarzając, jak miała zwyczaj:
– Pan Stach... pan Stach...

Przez chwilę zdawało się, że uśnie, ale dziecko widocznie rozmyślało o czymś z wielkim wysileniem, albowiem brwi jego podnosiły się do góry; wreszcie, otworzywszy oczy, jęła spoglądać kolejno to na Połanieckiego, to na pannę Marynię.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.